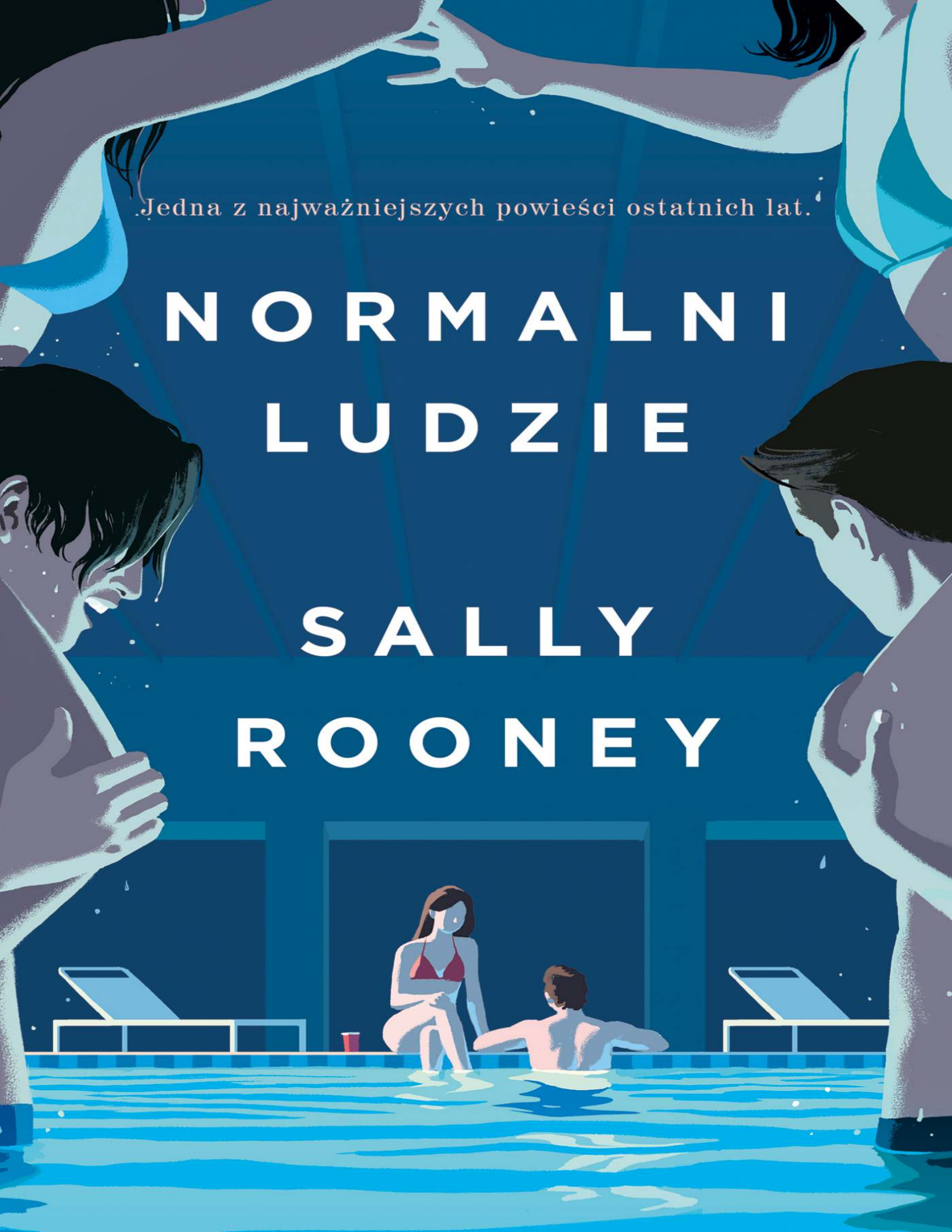




Jedna z najważniejszych powieści ostatnich lat.

NORMALNI LUDZIE

SALLY
ROONEY

Sally Rooney

NORMALNI LUDZIE

przełożył Jerzy Kozłowski



Wydano przy wsparciu finansowym Literature Ireland



Tytuł oryginału: *Normal People*

Copyright © 2018, Sally Rooney

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXX

Copyright © for the Polish translation by Jerzy Kozłowski, MMXX

Wydanie I

Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Motto](#)

[Styczeń 2011](#)

[Trzy tygodnie później \(luty 2011\)](#)

[Miesiąc później \(marzec 2011\)](#)

[Sześć tygodni później \(kwiecień 2011\)](#)

[Dwa dni później \(kwiecień 2011\)](#)

[Cztery miesiące później \(sierpień 2011\)](#)

[Trzy miesiące później \(listopad 2011\)](#)

[Trzy miesiące później \(luty 2012\)](#)

[Dwa miesiące później \(kwiecień 2012\)](#)

[Trzy miesiące później \(lipiec 2012\)](#)

[Sześć tygodni później \(wrzesień 2012\)](#)

[Cztery miesiące później \(styczeń 2013\)](#)

[Sześć miesięcy później \(lipiec 2013\)](#)

[Pięć miesięcy później \(grudzień 2013\)](#)

[Trzy miesiące później \(marzec 2014\)](#)

[Cztery miesiące później \(lipiec 2014\)](#)

[Pięć minut później \(lipiec 2014\)](#)

[Siedem miesięcy później \(luty 2015\)](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Jeden z sekretów owej przemiany mentalnościowej zwanej trafnie nawróceniem jest taki mianowicie, że dla wielu spośród nas ani niebo, ani ziemia nie stanowią nijakiego objawienia, aż czyjaś osobowość poruszy w sposób szczególny naszą istotę, nakłaniając ją, by się otworzyła.

George Eliot, *Daniel Deronda*

Styczeń 2011

Marianne otwiera Connellowi, gdy ten dzwoni do drzwi. Wciąż ma na sobie bluzkę i spódnicę ze szkolnego stroju, zdjęła tylko sweter, chodzi też w samych rajstopach, bez butów.

O, cześć – rzuca Connell.

Włóż.

Marianne odwraca się i oddala korytarzem. Connell idzie za nią, zamknąwszy za sobą drzwi, i schodzi kilka stopni w dół do kuchni, gdzie jego matka Lorraine ściąga z dłoni gumowe rękawice. Marianne siada na blacie i bierze do rąk otwarty słoik z czekoladowym kremem, w którym zostawiła łyżeczkę.

Marianne mówiła mi, że dostaliście dzisiaj wyniki próbnych egzaminów – Lorraine zwraca się do syna.

Tylko z angielskiego – odpowiada Connell. – Przysyłają z każdego przedmiotu osobno. To co, zbieramy się?

Lorraine starannie składa gumowe rękawice i chowa je pod zlewem. Potem zaczyna wyciągać z włosów szpilki. Connellowi przychodzi do głowy, że tę czynność mogłaby wykonać w samochodzie.

I podobno bardzo dobrze ci poszło.

Najlepiej z całej klasy – informuje Marianne.

To prawda – przyznaje Connell. – Marianne też uzyskała niezły wynik. Możemy już iść?

Lorraine przerywa rozwiązywanie fartucha.

Nie zdawałam sobie sprawy, że się gdzieś spieszymy – mówi.

Connell wsuwa ręce do kieszeni i tłumi pełne irytacji westchnienie, ale robi to ze słyszalnym wciągnięciem powietrza, co też brzmi jak westchnienie.

Muszę jeszcze skoczyć do suszarki i wyjąć pranie – wyjaśnia Lorraine. – I będziemy mogli ruszać. Okej?

Connell nic nie mówi, stoi tylko ze spuszczoną głową, gdy Lorraine wychodzi z kuchni.

Chcesz trochę? – pyta Marianne.

Wyciąga w jego stronę słoik z kremem. Connell jeszcze głębiej wciska ręce w kieszenie, jak gdyby chciał w nich zmieścić całego siebie.

Nie, dzięki – mówi.

Dostałeś wyniki z francuskiego?

Wczoraj.

Connell opiera się o lodówkę i patrzy, jak Marianne oblizuje łyżkę. W szkole nie rozmawiają ze sobą. Wszyscy wiedzą, że Marianne mieszka w tej białej rezydencji z podjazdem i że matka Connella jest sprzątaczką, nikt nie wie jednak o szczególnym związku łączącym te dwa fakty.

Mam ponad dziewięćdziesiąt procent – mówi Connell. – A ty z niemieckiego?

Też – odpowiada Marianne. – Chcesz się chwalić wynikami?

I co, zdobędziesz sześćset punktów?

Marianne wzrusza ramionami.

Ty pewnie tak – mówi.

Ale ty jesteś ode mnie mądrzejsza.

Nie martw się. Jestem mądrzejsza od wszystkich.

Marianne uśmiecha się szeroko. Wobec kolegów w szkole żywi jawną pogardę. Nie ma przyjaciół i przerwy obiadowe spędza samotnie, czytając powieści. Mnóstwo ludzi naprawdę nie znosi Marianne. Jej ojciec zmarł, gdy miała trzynaście lat, i Connell słyszał, że teraz Marianne ma jakieś problemy psychiczne czy coś takiego. To prawda, że jest najbardziej inteligentną osobą w szkole. Boi się zostawać z nią sam na sam, tak jak teraz, lecz łapie się też na fantazjowaniu o tym, co mógłby powiedzieć, żeby jej zaimponować.

Ale z angielskiego nie jesteś najlepsza – przypomina Connell.

Marianne oblizuje zęby niewzruszona.

Może powinieneś dawać mi korepetycje – mówi.

Connell czuje, jak pieką go uszy. Pewnie Marianne tylko się wygłupia i nie ma w tej wypowiedzi żadnego podtekstu, ale jeśli jest, to chce go tym skojarzeniem ze sobą upokorzyć, jako że ona sama uważana jest za przedmiot odrazy. Nosi brzydkie buty na grubej podeszwie i się nie maluje. Niektórzy mówią, że nie goli nóg,

w ogóle niczego. Connell słyszał kiedyś, że pobrudziła się lodami czekoladowymi w szkolnej stołówce, a potem poszła do toalety, zdjęła bluzkę i próbowała zmyć plamę w umywalce. To znana anegdota na jej temat, wszyscy ją słyszeli. Gdyby Marianne chciała, mogłaby w szkole ostentacyjnie witać się z Connellem. Do zobaczenia po południu, mogłaby powiedzieć w obecności wszystkich. Niewątpliwie postawiłaby go wtedy w niezręcznej sytuacji, w czym zdaje się zwykle znajdować przyjemność. Nigdy jednak tego nie zrobiła.

O czym rozmawiałeś dzisiaj z profesor Neary? – pyta Marianne.

Och. O niczym. Nie wiem. O egzaminach.

Marianne kręci łyżką w słoiku.

Ona chyba na ciebie leci, co? – pyta.

Connell przygląda się obrotom łyżki. Uszy wciąż mocno go pieką.

Skąd taki pomysł? – mówi.

Boże, chyba się z nią nie umawiasz?

To oczywiste. Myślisz, że takie żarty są śmieszne?

Przepraszam – rzuca Marianne.

Na jej twarzy maluje się skupienie, jak gdyby próbowała przebić się wzrokiem przez oczy do wnętrza jego głowy.

Masz rację, to nie jest śmieszne – stwierdza. – Przepraszam.

Connell kiwa głową, przez chwilę rozgląda się po kuchni, wsuwa czubek buta w szczelinę między płytkami.

Czasami mam wrażenie, że rzeczywiście dziwnie się przy mnie zachowuje – przyznaje. – Ale nikomu bym o tym nie powiedział.

Ona flirtuje z tobą nawet na lekcjach.

Naprawdę tak sądzisz?

Marianne kiwa głową. Connell pociera szyję. Neary uczy ich ekonomii. Jego rzekome uczucia do niej są w szkole szeroko komentowane. Niektórzy twierdzą nawet, że wysłał jej zaproszenie do znajomych na Facebooku, co nie jest prawdą, nigdy by się na coś takiego nie zdobył. W zasadzie, jeśli chodzi o nią, nie robi ani nie mówi nic, po prostu siedzi cicho, rejestrując, co robi i mówi ona. Niekiedy zatrzymuje go po lekcji, żeby porozmawiać o tym, dokąd zmierza jego życie, a raz dotknęła nawet węzła jego szkolnego krawata. Connell nie może nikomu powiedzieć o jej zachowaniu, bo

pomyśleliby, że się przechwala. Na lekcjach jest zbyt zażenowany i zirytowany, żeby się skoncentrować, po prostu siedzi w ławce, wpatrując się w podręcznik, aż rozmazują mu się przed oczami wykresy.

Wszyscy ciągle się mnie czepiają, że niby na nią lecę czy coś – skarży się. – Ale tak naprawdę ona mi się w ogóle nie podoba. No bo chyba nie myślisz, że jakoś reaguję, gdy ona się tak zachowuje?

Przynajmniej nie widziałam.

Connell bezwiednie wyciera dłonie w szkolną koszulę. Wszyscy są tak bardzo przekonani o jego fascynacji profesor Neary, że czasem zaczyna wątpić w podszepty własnego instynktu. A co, jeśli na jakimś poziomie – poniżej albo powyżej własnego pola percepcji – naprawdę jej pożąda? W gruncie rzeczy nie wie nawet, jakie to powinno być uczucie. Wcześniej, ilekroć się z kimś kochał, to doświadczenie było tak stresujące, że stawało się niezbyt przyjemne, co z kolei skłaniało go do podejrzeń, że coś musi być z nim nie tak i że nie jest w stanie zbliżyć się do kobiety, że jest w jakiś sposób upośledzony. Po stosunku leży i myśli: To było tak straszne, że aż robi mi się niedobrze. Czy tylko on tak ma? Czy mdłości odczuwane w chwilach, gdy profesor Neary pochyla się nad nim w czasie lekcji, są jego sposobem odczuwania erotycznej podniety? Skąd ma to wiedzieć?

Jeśli chcesz, mogę pójść w twoim imieniu do Lyonsa – proponuje Marianne. – Nie wygadam, że wiem coś od ciebie, powiem, że sama zauważyłam.

Jezu, nie. Wykluczone. Nikomu o tym nie mów, dobra?

Dobra, w porządku.

Spogląda na nią, upewnia się, że mówi poważnie, i kiwa głową.

Nie twoja wina, że ona tak się przy tobie zachowuje – stwierdza Marianne. – Nie robisz nic złego.

Connell pyta ścisłym głosem:

Ale dlaczego wszystkim się wydaje, że ona mi się podoba?

Może dlatego, że często się czerwienisz, gdy z tobą rozmawia. Ale wiesz, ty się czerwienisz z byle powodu, po prostu taka już specyfika twojej karnacji.

Connell wybucha krótkim, smętnym śmiechem.

Dzięki – rzuca.

Ale to prawda.

No, zdaję sobie sprawę.

W tej chwili też się czerwienisz – zauważa Marianne.

Connell zamyka oczy, wciska język w podniebienie. Słyszy, że Marianne się śmieje.

Dlaczego musisz wszystkich krytykować? – pyta ją.

Ja cię nie krytykuję. Nie obchodzi mnie, czy się czerwienisz, nikomu nie powiem.

Nie możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie, tylko dlatego, że nikomu o tym nie powiesz.

Okej – rzuca Marianne. – Przepraszam.

Connell odwraca się i patrzy na ogród za oknem. Teren wokół rezydencji właściwie trudno byłoby nazwać ogrodem. Jest tam kort tenisowy i duża kamienna rzeźba o kształtach kobiety. Connell ogląda więc „ogród” i przysuwa twarz blisko chłodnej powierzchni szyby. Gdy w szkole opowiadają tę historię o Marianne piorącej bluzkę w umywalce, zachowują się, jakby to było po prostu śmieszne, Connell przypuszcza jednak, że prawdziwym celem tej anegdoty jest coś innego. Marianne nigdy się nie spotykała z nikim ze szkoły, nikt nigdy nie widział jej rozebranej, nikt nie wie nawet, czy lubi chłopców, czy dziewczyny, z nikim o tym nie rozmawia. Innym to się nie podoba i Connell uważa, że dlatego opowiadają tę historię – żeby w pewnym sensie pogapić się na coś, czego nie mogą obejrzeć.

Nie chcę się z tobą kłócić – dodaje Marianne.

Nie kłóćmy się.

Wiem, że prawdopodobnie mnie nie cierpisz, ale jesteś jedyną osobą, która w ogóle ze mną gada.

Nigdy nie powiedziałem, że cię nie cierpię – protestuje Connell.

To przykuwa jej uwagę i Marianne podnosi wzrok, Connell odwraca od niej spojrzenie zmieszany, ale widzi kątem oka, że Marianne się w niego wpatruje. Gdy z nią rozmawia, ma poczucie całkowitej poufności. Mógłby jej powiedzieć o sobie wszystko, nawet najdziwniejsze rzeczy, a ona nigdy by ich nie powtórzyła, wie o tym. Przebywanie z nią na osobności jest jak opuszczenie pokoju

z normalnym życiem i zamknięcie za sobą drzwi. Nie boi się jej, Marianne jest przy nim całkowicie wyluzowana, obawia się natomiast przebywania w jej towarzystwie ze względu na zastanawiający sposób, w jaki sam się przy niej zachowuje, ze względu na rzeczy, które mówi, a których normalnie nigdy by nie powiedział.

Kilka tygodni wcześniej, gdy czekał w holu na Lorraine, Marianne zjawiała się na schodach w szlafroku. Był to zwykły biały szlafrok, klasycznie przewiązany w talii. Miała mokre włosy, a jej skóra błyszczała, jakby wtarła w nią przed chwilą krem. Gdy ujrzała Connella, zawahała się i przystanęła na schodach. Nie wiedziałam, że tu jesteś, przepraszam – powiedziała. Może sprawiała wrażenie zmieszanej, ale nie jakoś szczególnie. Potem weszła z powrotem na górę do swojego pokoju. Po jej odejściu Connell stał w holu i czekał. Wiedział, że Marianne prawdopodobnie się teraz ubiera i cokolwiek będzie miała na sobie, gdy zejdzie, będą to ubrania, które wybrała już po ich krótkim spotkaniu. W każdym razie Lorraine była gotowa do wyjścia, zanim Marianne ponownie się zjawiała, nie udało mu się więc zobaczyć, co włożyła. Nie żeby specjalnie mu na tym zależało. Z pewnością nie powie nikomu w szkole, że widział ją w samym szlafroku ani że wyglądała na zmieszaną, nikomu nic do tego.

Cóż, ja tam ciebie lubię – oznajmia Marianne.

Przez kilka sekund Connell się nie odzywa i intymność tej chwili jest potężna, napiera w sposób niemal fizyczny na jego twarz i ciało. Potem do kuchni wraca Lorraine, owijając szyję szalikiem. Puka cicho do drzwi, mimo że są już otwarte.

Możemy? – pyta.

Tak – odpowiada Connell.

Dziękuję za wszystko, Lorraine – mówi Marianne. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Connell przechodzi już przez próg kuchennych drzwi, gdy jego matka mówi:

Może byś się tak pożegnał, co?

Connell odwraca się, żeby zerknąć przez ramię, przekonuje się jednak, że nie jest w stanie spojrzeć Marianne w oczy, kieruje więc swoje słowa do podłogi.

Racja. Na razie – rzuca. Nie czeka na jej odpowiedź.

W samochodzie jego matka zapina pas bezpieczeństwa i kręci głową.

Mógłbyś być dla niej miłszy – mówi. – Dziewczyna nie ma w szkole łatwego życia.

Connell wsuwa kluczyk do stacyjki, zerka w lusterko wsteczne.

Jestem dla niej miły – oznajmia.

To tak naprawdę bardzo wrażliwa osoba – zaznacza Lorraine.

Możemy zmienić temat?

Lorraine się krzywi. Connell patrzy przed siebie i udaje, że tego nie zauważa.

Trzy tygodnie później (luty 2011)

Marianne siedzi przed toaletką i przygląda się w lustrze swojej twarzy. Policzkom i podbródkowi brakuje wyrazistości. Twarz niczym wytwór technologii komputerowej, z oczami jak mrugające kursory. Może też przywozić na myśl odbijający się w czymś księżyc, niewyraźny i rozmyty. Wyraża wszystko jednocześnie, co jest równoznaczne z tym, że nie wyraża niczego. Makijaż na tę okazję byłby, dochodzi do wniosku, czymś żalosnym. Nie przerywając kontaktu wzrokowego z samą sobą, zanurza palec w otwartym słoiczku z błyszczkiem i nakłada go na usta.

Na dole, gdy zdejmuje z wieszaka płaszcz, z salonu wychodzi Alan, jej brat.

Dokąd to? – pyta.

Wychodzę.

Gdzie?

Marianne wsuwa ręce do rękawów płaszcza i poprawia kołnierz. Zaczyna się denerwować i ma nadzieję, że jej milczenie wyraża zuchwalstwo, nie brak zdecydowania.

Przejsć się – mówi.

Alan staje pod drzwiami.

Przecież wiem, że nie idziesz się spotkać z przyjaciółmi – mówi. – Bo ich nie masz, zgadza się?

Tak.

Marianne uśmiecha się łagodnie, mając nadzieję, że ten gest uległości udobrucha brata i ten odsunie się od drzwi. Tymczasem Alan mówi:

Dlaczego to robisz?

Co?

Tak głupio się uśmiechasz.

Naśladuje wyraz jej twarzy, wyszczerzając się paskudnie. Chociaż niby się uśmiecha, siła i przerysowanie tej kreacji sprawiają, że wygląda na wściekłego.

Cieszysz się, że nie masz przyjaciół? – pyta.

Nie.

Wciąż się uśmiechając, Marianne stawia dwa małe kroki do tyłu, a potem odwraca się i zaczyna iść w stronę kuchni, gdzie przez taras można wyjść do ogrodu. Alan depta jej po piętach. Chwyta ją za ramię i odciąga od drzwi. Marianne czuje, jak zaciskają jej się szczęki i jak jego palce ściskają przez płaszcz jej ramię.

A tylko spróbuj się poskarżyć mamie – ostrzega Alan.

Nie – odpowiada Marianne – nie. Idę po prostu na spacer. Dziękuję.

Puszcza ją i Marianne wymyka się na taras, zamyka za sobą drzwi. Na dworze powietrze wydaje się bardzo zimne i Marianne zaczyna szczekać zębami. Obchodzi dom i podjazdem dostaje się na ulicę. Czuje pulsowanie w miejscu, gdzie Alan ścisnął jej ramię. Wyciąga z kieszeni komórkę i układa esemesa, co rusz wybierając zły klawisz, więc kasuje i pisze od nowa. Wreszcie wysyła: Już idę. Zanim schowa telefon, przychodzi odpowiedź: super do zobaczenia.

Pod koniec poprzedniego semestru szkolna drużyna piłkarska doszła do finału jakichś rozgrywek i wszystkich uczniów zwolniono z trzech ostatnich lekcji, żeby poszli na mecz. Marianne nigdy nie oglądała drużyny podczas gry. Nie interesowała się sportem i lekcje wychowania fizycznego tylko ją stresowały. W autobusie wiozącym ich na mecz słuchała muzyki i nikt się do niej nie odzywał. Za oknem: czarne krowy, zielone łąki, białe domy z brązowymi dachówkami. Zawodnicy siedzieli razem z przodu autobusu, pili wodę i poklepywali się po plecach, żeby dodać sobie otuchy. Marianne ogarnęło poczucie, że jej prawdziwe życie rozgrywa się gdzieś bardzo daleko, bez jej udziału, i nie miała pojęcia, czy się kiedykolwiek dowie, gdzie ono jest i czy stanie się jego częścią. To uczucie nachodziło ją często w szkole, aczkolwiek nie towarzyszyły mu żadne konkretne obrazy, które by podpowiadały, jak owo prawdziwe życie miałoby wyglądać ani jak miałyby się w nim czuć. Wiedziała jedno: gdy się zacznie, nie będzie musiała go sobie wyobrażać.

Do końca meczu nie padało. Ściągnięto ich tam, żeby wznosili wokół boiska dopingujące okrzyki. Marianne stała blisko bramki razem z Karen i kilkoma innymi dziewczynami. Wszyscy oprócz Marianne najwyraźniej znali na pamięć szkolne hasła, których ona nigdy wcześniej nie słyszała. Po pierwszej połowie było 0:0, a w przerwie profesor Keaney rozdawała uczniom soki i batoniki energetyczne. Na drugą połowę meczu drużyny zamieniły się stronami i teraz szkolni napastnicy grali blisko miejsca, gdzie stała Marianne. Connell Waldron był środkowym napastnikiem. Widziała go na boisku w piłkarskim stroju, lśniących białych spodenkach i szkolnej koszulce z numerem dziewięć na plecach. Miał znakomitą postawę, prezentował się lepiej niż wszyscy inni zawodnicy. Jego sylwetka była naniesioną pędzlem długą elegancką linią. Gdy piłka toczyła się w ich stronę, zwykle biegał w kółko i czasem wyrzucał jedną rękę do góry, a potem znowu stawał w miejscu. Obserwowanie go było przyjemnością, choć pewnie nie wiedział, gdzie stoi Marianne, ani go to nie obchodziło. Kiedyś po szkole może mu powie, że go obserwowała, a on roześmieje się i stwierdzi, że straszny z niej dziwoląg.

W siedemdziesiątej minucie Aidan Kennedy pobiegł lewą stroną boiska i podał do Connella, który strzelił z rogu pola karnego i piłka poszybowała nad głowami obrońców do bramki. Wszyscy zaczęli krzyczeć, nawet Marianne, a Karen otoczyła ją jedną ręką w pasie i ścisnęła. Razem wiwatowały, uczestniczyły w czymś magicznym, co niwelowało zwyczajne powiązania towarzyskie między nimi. Profesor Keaney gwizdała i tupiała. Na boisku Connell i Aidan obejmowali się jak bracia, którzy spotkali się po latach rozłąki. Jaki piękny był wtedy Connell. Marianne przyszło do głowy, że bardzo chciałyby go zobaczyć, jak się z kimś kocha; to nie musiałyby być ona, to mogłyby być ktokolwiek. Pięknie byłoby po prostu mu się przyglądać. Właśnie tego rodzaju myśli, wiedziała o tym, odróżniały ją w szkole od innych, czyniły z niej „dziwoląga”.

Wszyscy uczniowie z klasy Marianne zdają się uwielbiać szkołę i uważać ją za coś normalnego. Codzienne wkładanie tych samych mundurków, przestrzeganie narzuconych reguł, monitorowanie i karanie przejawów złego zachowania, to wszystko jest dla nich

normalne. Nie mają poczucia, że znajdują się w opresyjnym środowisku. Marianne w zeszłym roku pokłóciła się z nauczycielem historii, profesorem Kerriganem, bo przyłapał ją na wyglądaniu przez okno w czasie lekcji, i nikt z całej klasy się za nią nie ujął. Wydawało jej się czymś całkiem szalonym, że musi codziennie rano wkładać mundurek i tłoczyć się w gigantycznym gmachu przez cały dzień, przy czym nie może nawet skierować wzroku tam, gdzie chce, bo nawet ruch gałek ocznych podlega ocenie szkolnego sądu.

Nie uczysz się, jeśli wyglądasz przez okno i myślisz o niebieskich migdałach – oznajmił Kerrigan. Marianne, która wtedy już nie panowała nad sobą, odpysknęła:

Proszę się nie łudzić, od pana niczego się nie nauczę.

Connell powiedział niedawno, że pamięta ten incydent, odniósł wtedy wrażenie, że potraktowała profesora Kerrigana zbyt surowo, a przecież był on jednym z rozsądniejszych nauczycieli.

Ale rozumiem, co chciałaś powiedzieć – dodał Connell. – Że czujesz się w szkole trochę jak w więzieniu, to rozumiem. Powinien ci pozwolić patrzeć w okno, tu się zgadzam. Nie robiłaś nic złego.

Po tamtej rozmowie w kuchni, kiedy mu powiedziała, że go lubi, Connell zaczął bywać w jej domu częściej. Przyjeżdżał wcześniej, żeby odebrać matkę i posiedzieć w salonie, nie mówiąc zbyt wiele, albo postać przy kominku z rękami w kieszeniach. Marianne nigdy nie pytała, dlaczego przychodzi. Zamieniali kilka słów albo ona mówiła, a on potakiwał. Polecił jej do przeczytania *Manifest komunistyczny*, spodoba jej się, powiedział i zaproponował, że na wszelki wypadek zapisze jej tytuł. Znam tytuł *Manifestu komunistycznego* – rzekła. Connell wzruszył ramionami, okej. Po chwili dodał z uśmiechem:

Wymądrzasz się, a nawet go nie czytałaś.

Roześmiała się wtedy wbrew sobie i on też zaczął się śmiać. Gdy się tak śmiali, nie mogli spojrzeć sobie w oczy, musieli kierować wzrok w kąty pokoju lub pod nogi.

Connell chyba rozumiał jej odczucia związane ze szkołą; powiedział, że lubi słuchać jej opinii.

Możesz się ich nasłuchać na lekcjach – stwierdziła.

Odpowiedział rzeczowo:

W klasie zachowujesz się inaczej, tak naprawdę nie jesteś taka.

Uważał najwyraźniej, że Marianne ma dostęp do całego wachlarza różnych tożsamości i bez trudu prześlizguje się od jednej do drugiej. To ją zaskoczyło, bo zwykle czuła się uwieczona w jednej osobowości, która zawsze jest taka sama, niezależnie od tego, co Marianne robi i mówi. W przeszłości próbowała być inna, w ramach pewnego rodzaju eksperymentu, ale nigdy jej się to nie udało. Jeśli wydawała się inna Connellowi, ta różnica nie tkwiła w niej samej, w jej osobie, lecz zachodziła gdzieś między nimi, w dynamice ich relacji. Czasami go rozśmieszała, w inne dni natomiast był mało mówny, nieprzenikniony i po jego wyjściu czuła się pobudzona, zdenerwowana, pełna energii i zarazem potwornie wycieńczona.

W zeszłym tygodniu poszedł za nią do gabinetu, gdzie próbowała znaleźć egzemplarz książki *Następnym razem pożar*, żeby mu ją pożyczyć. Stał tam, przeglądając tomy na półkach, z rozpiętą pod szyją koszulą i poluzowanym szkolnym krawatem. Znalazła tomik i wręczyła mu, a on usiadł pod oknem i zaczął czytać tekst na czwartej stronie okładki. Usiadła obok i spytała, czy jego kumple Eric i Rob wiedzą, że Connell tak dużo czyta poza lekturami.

Ich nie interesują takie rzeczy – odparł.

Chcesz powiedzieć, że nie są zainteresowani otaczającym ich światem?

Connell zrobił minę, tę co zawsze, gdy krytykowała jego przyjaciół: niezbyt ekspresyjne zmarszczenie brwi.

Nie w ten sam sposób – powiedział. – Mają własne zainteresowania. Wątpię, żeby chcieli przeczytać książkę o rasizmie i tego typu rzeczach.

Tak, są zbyt zajęci przechwalaniem się, z kim sypiają – zadrwiła.

Przez sekundę po tej uwadze milczał, nadstawiając ucha, ale nie wiedział dokładnie, jak miałby zareagować.

Tak, trochę tak – przyznał. – Nie bronię ich, wiem, że potrafią być wkurzający.

Nie przeszkadza ci to?

Znów zamilkł na chwilę.

Zwykle nie – rzekł. – Bywa, że przeginają, i wtedy oczywiście działają mi na nerwy. Ale koniec końców są moimi przyjaciółmi,

rozumiesz. Ty odbierasz to inaczej.

Spojrzała na niego, on jednak cały czas wpatrywał się w grzbiet książki.

Jak to inaczej? – spytała.

Wzruszył ramionami, wyginając okładkę w jedną i drugą stronę. Poczowała frustrację. Twarz i ręce miała gorące. Connell ciągle wpatrywał się w książkę, chociaż na pewno zdążył przeczytać wszystko, co napisano na okładce. Była wyczulona na obecność jego ciała, wychwytywała nawet mikroskopijne zmiany, jak gdyby zwykły rytm jego oddechu mógł spowodować jej złe samopoczucie.

Niedawno mówiłaś, pamiętasz, że mnie lubisz – powiedział. – W kuchni, gdy rozmawialiśmy o szkole.

No.

Miałaś na myśli, że co, że lubisz mnie jak kumpla?

Wbiła wzrok w kolana. Ubrana była w sztruksową spódnicę i w świetle padającym z okna zauważyła na niej kłaczki kurzu.

Nie, nie tylko jak kumpla – wyznała.

Aha, dobra. Tak się zastanawiałem.

Siedział tam, kiwając głową.

Nie bardzo wiem, co ja sam czuję – dodał. – Myślę, że gdyby do czegoś między nami doszło, w szkole byłoby trochę głupio.

Nikt nie musiałby się dowiedzieć.

Spojrzał wprost na nią, całkowicie na niej skupiony. Wiedziała, że ją pocałuje, i tak też się stało. Miał miękkie wargi. Jego język wsunął się lekko do jej ust. I po chwili było po wszystkim, a on się od niej odsuwał. Przypomniawszy sobie chyba, że trzyma książkę, bo znów zaczął ją oglądać.

To było miłe – powiedziała.

Kiwnął głową, przełknął ślinę i raz jeszcze spojrzał w dół na książkę. Wydawał się tak bardzo zmieszany, jak gdyby samo wspomnienie o pocałunku było z jej strony nietaktem, i Marianne zaczęła się śmiać. Wyglądał teraz na rozdrażnionego.

Dobra – rzucił. – Z czego się śmiesz?

Z niczego.

Zachowujesz się, jakbyś nigdy się z nikim nie całowała.

Bo się nie całowałam – przyznała.

Przyłożył dłoń do swojej twarzy. Marianne znowu się roześmiała, nie mogła się powstrzymać, a po chwili on śmiał się razem z nią. Miał bardzo czerwone uszy i kręcił głową. Po kilku sekundach wstał, trzymając w dłoni książkę.

Tylko nie rozpowiadaj o tym w szkole, okej? – poprosił.

Jakbym w ogóle z kimś gadała.

Wyszedł z pokoju. Marianne bezwładnie osunęła się na podłogę, klapnęła na nią z wyciągniętymi nogami jak szmaciana lalka. Gdy tak siedziała, odniosła wrażenie, że Connell odwiedzał jej dom po to tylko, aby ją przetestować, a ona ten test zdała i ich pocałunek był wiadomością obwieszczającą: zdałaś. Pomyślała o tym, jak się śmiał, gdy wyznała, że jeszcze z nikim się nie całowała. W przypadku innej osoby taki śmiech byłby czymś okrutnym, ale z nim było inaczej. Oboje rozśmieszała sytuacja, w której się razem znaleźli, chociaż jak opisać tę sytuację i co było w niej śmiesznego, tego Marianne nie wiedziała.

Nazajutrz rano przed niemieckim obserwowała kolegów z klasy, którzy spychali się z kaloryferów, krzycząc i rechocząc. Po rozpoczęciu lekcji wszyscy słuchali w ciszy nagrania: pewna Niemka opowiadała o przyjęciu, na które nie trafiła. *Es tut mir sehr leid*. Po południu zaczęło śnieżyć, grube szare płatki przelatywały za oknami i roztopiały się na żwirze. Wszystko silnie oddziaływało na zmysły: zatechły zapach sal lekcyjnych, brzękliwy dźwięk dzwonka między lekcjami, ciemne, surowe kształty drzew stojących jak zjawy wokół boiska do koszykówki. Powolne, rutynowe odrabianie zadań długopisami w różnych kolorach na białych kartkach w niebieskie linie. Connell, jak zwykle, nie odzywał się do Marianne w szkole ani nawet na nią nie zerkał. Ona obserwowała go z drugiego końca klasy, gdy odmieniał czasowniki, przygryzając koniec długopisu. Albo w stołówce, w czasie obiadu, gdy uśmiechał się z jakiegoś powodu w towarzystwie kumpli. Ich sekret ciążył przyjemnie w jej ciele, napierając na kości miednicy, gdy się poruszała.

Tego dnia nie widziała go po szkole, następnego też nie. W czwartek po południu jego matka znowu u nich sprzątała, a on przyjechał po nią wcześniej. Marianne musiała otworzyć drzwi, bo w domu nikogo nie było. Przebrał się po szkole i zamiast

przepisowego mundurka miał na sobie czarne dżinsy i sportową bluzę. Gdy go zobaczyła, w pierwszym odruchu chciała uciec i ukryć twarz.

Lorraine jest w kuchni – poinformowała. Po czym odwróciła się, weszła na górę do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Leżała twarzą w dół na łóżku, wypuszczając powietrze w poduszkę. W ogóle to kim jest ten cały Connell? Czuła, że zna go bardzo dobrze, ale jakie miała podstawy, żeby tak czuć? Tylko dlatego, że raz ją pocałował, bez żadnego wyjaśnienia, a potem poprosił, żeby nikomu o tym nie mówiła? Po minucie lub dwóch usłyszała pukanie do drzwi i usiadła na łóżku.

Proszę – rzuciła.

Otworzył drzwi i rzuciwszy jej pytające spojrzenie, jak gdyby sprawdzał, czy jest mile widziany, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Gniewasz się na mnie? – spytał.

Nie. Dlaczego miałabym się gniewać?

Wzruszył ramionami. Powolnym krokiem podszedł do łóżka i usiadł. Marianne siedziała po turecku, z dłońmi zaciśniętymi na kostkach. Przez chwilę nic nie mówili. Potem on wsunął się na łóżko obok niej. Dotknął jej nogi, a Marianne oparła się o poduszkę. Zapytała śmiało, czy znowu ją pocałuje.

Jak myślisz? – spytał.

Uznała tę odpowiedź za w najwyższym stopniu tajemniczą i finezyjną. W każdym razie zaczął ją całować. Powiedziała mu, że to miłe, a on nie powiedział nic. Marianne poczuła, że robi wszystko, żeby ją polubił, żeby przyznał na głos, że ją lubi. Wsunął dłoń pod jej szkolną bluzkę. Szepnęła mu do ucha:

A może się rozbierzemy?

Jego dłoń sięgnęła do stanika.

Wykluczone – rzucił. – I tak przeginamy, bo Lorraine jest na dole. – Mówiąc o matce, używał jej imienia.

Ona tu nigdy nie wchodzi – poinformowała Marianne.

Connell pokręcił głową i powiedział:

Nie, powinniśmy przestać. – Usiadł i spojrzał na nią z góry.

Ale się wahałeś przez chwilę, kusiło cię – zauważyła.

Wcale nie.
Ja cię kusiłam.
Kręcił głową, uśmiechając się.
Jesteś naprawdę dziwna – oznajmił.

Teraz Marianne stoi na podjeździe przed jego domem, gdzie zaparkowany jest jego samochód. Przesłał jej adres esemesem, dom numer 33, segment w szeregowcu o ścianach pokrytych kamyczkowym tynkiem, z firankami w oknach i maleńkim wybetonowanym podwóreczkiem. Widzi zapalone światło w oknie na piętrze. Trudno uwierzyć, że on naprawdę tu mieszka, w domu, w którym nigdy nie była, którego nigdy nie widziała. Jest ubrana w czarny sweter, szarą spódnicę, tanią czarną bieliznę. Nogi ma starannie ogolone, jej pachy są gładkie i lepkie od dezodorantu, jest lekko zakatarzona. Wciska dzwonek przy drzwiach i słyszy kroki Connella, gdy ten schodzi na parter. Otwiera drzwi. Zanim ją wpuszcza, zerka za nią, żeby sprawdzić, czy ktoś widział jej nadejście.

Miesiąc później (marzec 2011)

Rozmawiają o wyborze kierunku studiów i uczelni. Marianne leży z prześcieradłem niedbale naciągniętym na ciało, a Connell siedzi z MacBookiem na kolanach. Ona już wybrała historię i nauki polityczne w dublińskim Trinity College. On wpisał Wydział Prawa w Galway, teraz jednak myśli, że mógłby to zmienić, ponieważ, jak zauważyła Marianne, prawo go nie interesuje. Nie jest nawet w stanie zwizualizować siebie jako prawnika, który nosi krawat i tak dalej i przypuszczalnie pomaga w skazywaniu przestępców. Wpisał ten wydział, bo po prostu nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Powinieneś iść na anglistykę – sugeruje Marianne.

Naprawdę tak myślisz czy żartujesz?

Naprawdę tak myślę. To jedyny przedmiot w szkole, który lubisz. A w wolnym czasie nic, tylko byś czytał.

Connell wpatruje się w zamyśleniu w ekran laptopa, a potem przenosi wzrok na spowijające jej ciało cienkie żółte prześcieradło, które rzuca liliowy trójkątny cień na jej pierś.

Nie tylko czytał – zaprzecza.

Marianne uśmiecha się.

Poza tym byś studiował z samymi dziewczynami – mówi – więc mógłbyś tam zgrywać Don Juana.

Tak. Nie wiem tylko, co potem z pracą.

A kogo to obchodzi? Gospodarka i tak leży i kwiczy.

Ekran laptopa zgasł i Connell stuka w touchpada, żeby znowu się włączył. Strona z rejestracją na studia świeci mu w oczy.

Gdy kochali się pierwszy raz, Marianne została u niego na noc. Connell nigdy wcześniej nie był z dziewczyną. W sumie uprawiał seks tylko kilka razy, i to zawsze z dziewczynami, które później rozpowiadały o tym całej szkole. Musiał wysłuchiwać o swoich wyczynach w szatni: o wszystkich potknięciach i, co gorsza, o straszliwych próbach okazywania czułości, odgrywanych w formie

przerysowanej pantomimy. Z Marianne było inaczej, bo wszystko zostawało między nimi, nawet rzeczy niezręczne i trudne. Mógł przy niej powiedzieć i zrobić cokolwiek, wiedząc, że później nikt się o tym nie dowie. Myśl o tym powodowała lekkie zawroty głowy, odurzenie. Gdy tamtej nocy pieścił Marianne, była tak wilgotna; przewracając z rozkoszy oczy, wyszeptała:

Boże, tak. I mogła to powiedzieć, bo też wiedziała, że nikt się o tym nie dowie. Bał się, że od samego dotykania jej w ten sposób dostanie orgazmu.

Rano w przedpokoju pocałował ją na pożegnanie; jej usta miały alkaliczny posmak, jak pasta do zębów.

Dzięki – rzuciła. I wyszła, zanim Connell zrozumiał, za co mu się dziękuje. Wrzucił pościel do pralki i wyjął świeżą z szafki. Myślał o tym, jak skrytą i niezależną osobą jest Marianne, oto mogła przyjść do jego domu, pozwolić mu się z sobą kochać i nie czuła potrzeby opowiadania o tym komukolwiek. Po prostu pozwalała rzeczom się dziać, jak gdyby nic nie miało dla niej większego znaczenia.

Po południu do domu wróciła Lorraine. Zanim jeszcze odłożyła na stół klucze, spytała:

Pralka chodzi?

Connell kiwnął głową. Kucnęła i spojrzała przez okrągłą szybkę do bębna, gdzie w pianie kręciła się jego pościel.

Nie zamierzam pytać – powiedziała.

O co?

Zaczęła nalewać wodę do czajnika, gdy on oparł się o kuchenny blat.

Dlaczego się pierze twoja pościel – odparła. – Nie pytam.

Przewrócił oczami po to tylko, żeby coś zrobić z twarzą.

Zawsze myślisz o najgorszym – rzekł.

Roześmiała się, stawiając czajnik na podstawce, i wcisnęła przycisk.

Bardzo cię przepraszam – rzuciła – ale w twojej szkole chyba nikt nie ma tak wyrozumiałej matki. Dopóki się zabezpieczasz, możesz robić, co tam sobie chcesz.

Nie odpowiedział. Czajnik zaczął szumieć i Lorraine wyjęła z szafki czysty kubek.

A więc? – dopytywała. – Czy to znaczy „tak”?

Co „tak”? To chyba oczywiste, że pod twoją nieobecność nie uprawiałem seksu bez zabezpieczenia. Jezu.

No, mów dalej. Jak ona ma na imię?

Wyszedł wtedy z kuchni, ale wchodząc na górę, słyszał śmiech Lorraine. Jego życie zawsze jest dla niej źródłem rozrywki.

W szkole w poniedziałek musiał unikać spojrzeń w stronę Marianne i jakichkolwiek z nią kontaktów. Nosił ten sekret jak coś dużego i gorącego, jak zbyt pełną tacę z parującymi napojami, którą musiał zabierać ze sobą wszędzie, starając się nie rozlać ani kropli. Ona natomiast zachowywała się tak jak zawsze, jakby nic się nie stało, jak zwykle czytała książkę przy szafkach i wdawała się w bezsensowne sprzeczki. Na przerwie obiadowej we wtorek Rob zaczął go wypytywać o pracę matki Connella w domu Marianne, ale Connell tylko jadł i starał się zachowywać kamienną twarz.

Nie bywasz tam? – spytał Rob. – W tej ich rezydencji?

Connell potrząsnął torebką chipsów, którą trzymał w dłoni, i zajrzał do niej.

Tak, byłem kilka razy – odpowiedział.

Jak tam jest w środku?

Wzruszył ramionami.

Nie wiem – rzekł. – Dużo przestrzeni, wiadomo.

Jak ona się zachowuje w swym naturalnym środowisku? – spytał Rob.

Nie wiem.

Pewnie cię bierze za swojego lokaja, co?

Connell wytarł usta wierzchem dłoni. Czuł, że są zatłuszczone. Chipsy były za słone i rozboleła go głowa.

Wątpię – rzekł.

Ale twoja stara jest u niej służącą, co nie?

Nie, tylko tam sprząta. Przychodzi dwa razy w tygodniu, nie sądzę, żeby często ze sobą rozmawiały.

Czy Marianne ma dzwoneczek, którym przyzywa służbę? – wygłupiał się Rob.

Connell nic nie powiedział. W tym momencie nie rozumiał, co robi z Marianne. Po rozmowie z Robem powiedział sobie, że to koniec, po prostu raz się z nią przespał, żeby sprawdzić, jak to jest, i nie będzie jej więcej widywał. Ale już w chwili, gdy formułował w myślach te słowa, w drugiej części głowy słyszał inny głos, który mówił: Będiesz. Ta część jego świadomości była mu obca, ów niewyjaśniony instynkt, by ulegać perwersyjnym i skrytym pragnieniom. Tego popołudnia łapał się na tym, że fantazjuje o niej na lekcjach – na matematyce albo kiedy mieli grać w palanta. Gdy myślał o jej niewielkich, wilgotnych ustach, brakowało mu powietrza i musiał się wysilić, żeby znowu wypełnić płuca.

Tego samego dnia po szkole pojechał do niej. Przez całą drogę miał w samochodzie włączone głośno radio, żeby nie myśleć o tym, co robi. Gdy weszli na górę, nie odzywał się, pozwalał jej mówić.

Cudownie – powtarzała. – Jak przyjemnie.

Jej ciało było miękkie i białe jak surowe ciasto. Gdy w nią wchodził, wydawało mu się, że pasuje do niego idealnie. Cieleśnie wszystko między nimi grało i zaczynał rozumieć, dlaczego niektórzy dopuszczają się szaleństw powodowani względami seksualnymi. Co więcej, zaczynał rozumieć wiele rzeczy ze świata dorosłych, które wcześniej wydawały mu się zagadkowe. Dlaczego jednak Marianne? Przecież nie była specjalnie atrakcyjna. Niekтары uważali, że jest najbrzydszą dziewczyną w szkole. Kto chciałby to z nią robić? A jednak był tam, kimkolwiek był, i robił to. Spytała go, czy jest mu przyjemnie, a on udał, że jej nie słyszy. Opierała się na dłoniach i kolanach, więc nie widział jej twarzy, nie mógł z niej wyczytać, co myśli. Po kilku sekundach dużo cichszym głosem zapytała:

Robię coś nie tak?

Zamknął oczy.

Nie – powiedział. – Jest dobrze.

Po chwili jej oddech stał się nierówny. Connell przyciągnął jej biodra do swojego ciała, a potem lekko ją puścił. Wydała dźwięk, jakby się dusiła. Zrobił to raz jeszcze i Marianne powiedziała, że dochodzi.

To dobrze – rzekł, jakby mówił o czymś najzwyczajniejszym w świecie. Jego decyzja o przyjeździe do domu Marianne wydawała

się teraz jak najbardziej słuszna i mądra, była może jedyną mądrą rzeczą, jaką zrobił w całym swoim życiu.

Gdy skończyli, zapytał ją, co ma zrobić z prezerwatywą. Nie podnosząc twarzy z poduszki, zaproponowała:

Możesz ją po prostu zostawić na podłodze. Jej twarz była różowa i wilgotna. Postąpił zgodnie z jej sugestią, a potem położył się na wznak i zaczął wpatrywać w lampki na suficie.

Tak bardzo cię lubię – powiedziała Marianne. Connell czuł przyjemny smutek, który niemal doprowadzał go do łez. Chwile emocjonalnego bólu przychodziły w ten sposób, bezsensowne, a przynajmniej nieczytelne. Marianne wiodła radykalnie wolne życie, dostrzegał to wyraźnie. Jego krępowały przeróżne obawy. Przejmował się tym, co o nim sądzą inni. Przejmował się nawet tym, co o nim sądzi Marianne, to było teraz oczywiste.

Wiele razy próbował przelać swoje myśli o Marianne na papier, usiłując coś z nich zrozumieć. Robił to pod wpływem pragnienia, by dokładnie opisać, jak Marianne wygląda i jak mówi. Jej włosy i ubrania. Egzemplarz *W stronę Swanna*, który czyta podczas obiadu w szkolnej stołówce, z ciemnym francuskim obrazem na okładce i miętowym grzbietem. Jej długie palce przewracające kartki. Jej życie nie wygląda jak życie innych. Czasem zachowuje się w sposób tak wyrafinowany, że czuje się przy niej ignorantem, ale potrafi być też bardzo naiwna. Connell chce zrozumieć, jak funkcjonuje jej umysł. Gdy w czasie rozmowy Connell postanawia nic nie mówić, Marianne po sekundzie lub dwóch pyta: „Co?”. W tym „Co?” zdaje się mieścić naprawdę wiele: nie tylko wnikliwe skupienie na jego zachowaniu, które pozwala w ogóle zadać to pytanie, lecz także chęć totalnego porozumienia, wrażenie, że każde przemilczenie jest niemile widzianym dystansem między nimi. Spisuje te wszystkie refleksje, długie, rozwlekłe, ze zbyt wieloma zdaniami podrzędnymi, czasem rozdzielone zdyszczanymi średnikami, jak gdyby chciał odtworzyć dokładną kopię Marianne na piśmie, jak gdyby mógł ją zachować w pełni do przyszłej analizy. Potem przewraca kartkę w notesie na nową stronę, żeby nie patrzeć na to, co już zapisał.

O czym teraz myślisz? – pyta Marianne.

Odgarnia włosy za ucho.

O studiach – odpowiada Connell.

Powinieneś się starać o miejsce na anglistyce w Trinity.

Connell znowu wpatruje się w stronę internetową. Ostatnio dręczy go poczucie, że właściwie jest dwiema oddzielnymi osobami i wkrótce będzie musiał wybrać, którą z nich być w pełnym wymiarze, a którą porzucić. W Carricklea ma swoje życie, ma przyjaciół. Gdyby poszedł na studia w Galway, mógłby tak naprawdę pozostać w tym samym kręgu znajomych i prowadzić życie, jakie zawsze planował – uzyskać dyplom, związać się z fajną dziewczyną. Ludzie by mówili, że mu się powiodło. Jednak mógłby też tak jak Marianne podjąć studia w Trinity. Życie wyglądałoby wtedy inaczej. Zaczęłyby chodzić na uroczyste kolacje i prowadzić rozmowy o sytuacji gospodarczej w Grecji. Mógłby posuwać jakieś dziewczyny o ekscentrycznym wyglądzie, które okazywałyby się potem biseksualne. Czytałem *Złoty notes*, mógłby im mówić. To prawda, przeczytał. Potem nigdy by nie wrócił do Carricklea, wyjechałby gdzieś, do Londynu, do Barcelony. Ludzie niekoniecznie by myśleli, że mu się powiodło; niektórzy mogliby uważać, że wręcz przeciwnie, inni natomiast całkowicie by o nim zapomnieli. Co by powiedziała Lorraine? Chciałaby, żeby był szczęśliwy i nie przejmował się tym, co myślą inni. Tymczasem stary Connell, ten, którego znają wszyscy jego kumple: ta osoba w pewnym sensie by umarła, gorzej, zostałaby pogrzebana żywcem i wrzeszczała na całe gardło spod ziemi.

Wtedy oboje bylibyśmy w Dublinie – zauważa Connell. – Pewnie byś udawała, że mnie nie znasz, gdybyśmy na siebie przypadkiem wpadli, mogę się założyć.

Marianne początkowo nic nie mówi. Im dłużej milczy, tym bardziej Connell się denerwuje, bo może naprawdę udawałaby, że go nie zna, i myśl o tym, że byłby niewart jej uwagi, rozbudza w nim uczucie paniki, nie tylko dotyczące Marianne osobiście, ale swojej przyszłości, swoich szans.

W końcu Marianne oznajmia:

Nigdy bym nie udawała, że cię nie znam.

Po tych słowach zapada niezmiernie intensywne milczenie. Przez kilka sekund Connell leży nieruchomo. Oczywiście on udaje w szkole, że nie zna Marianne, ale wolałby nie poruszać tego tematu. Tak po prostu już być musi. Gdyby ludzie się dowiedzieli, co wyprawia z Marianne w tajemnicy, jednocześnie ignorując ją każdego dnia w szkole, jego życie by się skończyło. Szedłby korytarzem i śledziłyby go spojrzenia wszystkich, jakby był seryjnym zabójcą albo kimś jeszcze gorszym. Jego przyjaciele nie uważają go za dewianta, osobę, która byłaby w stanie zwrócić się do Marianne Sheridan w biały dzień, całkiem na trzeźwo: Mogę ci się spuścić w usta? Wśród kumpli zachowuje się normalnie. On i Marianne mają swoje prywatne życie w jego pokoju, gdzie nikt im nie przeszkadza, nie ma więc powodu, żeby mieszać ze sobą te dwa odrębne światy. Mimo wszystko domyśla się, że w tej rozmowie stracił czujność, umożliwił poruszenie owego tematu, chociaż tego nie chciał, i teraz musi coś powiedzieć.

Naprawdę? – pyta.

Naprawdę.

No dobrze, w takim razie wpisuję anglistykę w Trinity.

Serio?

Tak. Nie zależy mi aż tak na pracy po studiach.

Marianne posyła mu lekki uśmieszek, jak gdyby miała poczucie, że wygrała spór. Connell lubi dawać jej to poczucie. Przez chwilę możliwe wydaje mu się zatrzymanie obydwu światów, obu wersji swojego życia, oraz poruszanie się między jednym a drugim tak, jakby się przechodziło z pokoju do pokoju. Może się cieszyć szacunkiem kogoś takiego jak Marianne, a jednocześnie być lubiany w szkole, może formułować potajemnie opinie i preferencje, nie musi dojść do żadnego konfliktu, nie musi wybierać jednego, odrzucając drugie. Z odrobiną sprytu mógłby wieść dwie całkowicie oddzielne egzystencje bez odnoszenia się do najważniejszego pytania, mianowicie co ze sobą zrobić i jaką osobą sam jest. To myśl tak kojąca, że przez kilka sekund unika spojrzenia Marianne, chcąc zachować w sobie owo przekonanie chwilę dłużej. Wie, że gdy na nią spojrzy, nie będzie już w stanie w to wierzyć.

Sześć tygodni później (kwiecień 2011)

Mają na liście jej nazwisko. Marianne pokazuje bramkarzowi dowód. Gdy dostaje się do środka, wewnątrz jest słabo oświetlone, przepastne, fioletowawe, z długimi kontuarami barów po obu stronach i schodami prowadzącymi w dół na parkiet. Zapach zwietrzałego alkoholu i płaski, brzękliwy dźwięk suchego lodu. Część dziewczyn z komitetu organizacyjnego siedzi już wokół stołu, przeglądając listy.

Cześć – rzuca Marianne.

Odwracają głowy i patrzą na nią.

Hej – mówi Lisa. – Ktoś się dzisiaj odstawił, co?

Wyglądasz bosko – chwali ją Karen.

Rachel Moran nie mówi nic. Wszyscy wiedzą, że Rachel jest w szkole największą gwiazdą, nikomu jednak nie wolno o tym wspominać. Wszyscy za to muszą udawać, że nie zauważają, iż ich życie towarzyskie jest wyraźnie zhierarchizowane, niektórzy zajmują miejsca na samym szczycie, inni tłoczą się pośrodku, pozostali jeszcze niżej. Marianne czasem widzi się na dolnym szczeblu drabiny, czasem zaś całkowicie poza drabiną; nie podlega jej mechanizmom, jako że właściwie nie dba o sympatię innych ani w żaden sposób o nią nie zabiega. Z jej punktu widzenia nie jest oczywiste, jakie korzyści przynosi drabina nawet tym, którzy znajdują się na samej górze. Pociera ramię i mówi:

Dzięki. Czy ktoś ma ochotę na drinka? Bo idę do baru.

Myślałam, że nie pijesz alkoholu – odzywa się Rachel.

Ja poproszę west coast – mówi Karen. – Jeśli jesteś pewna.

Marianne do tej pory z alkoholi próbowała jedynie wina, gdy jednak podchodzi do baru, postanawia zamówić dzin z tonikiem. I gdy składa zamówienie, barman patrzy wprost na jej piersi. Marianne nie miała pojęcia, że mężczyźni robią takie rzeczy poza filmami i telewizją, i doświadczenie to przyprawia ją o dreszczyk kobiecej satysfakcji. Ma na sobie cienką czarną sukienkę, która

przylega do ciała. Klub jest wciąż jeszcze prawie pusty, chociaż impreza już się praktycznie rozpoczęła. Przy stole Karen dziękuje jej wylewnie za napój.

Oddam ci kasę – mówi.

Daj spokój – zbywa ją Marianne, machając ręką.

W końcu ludzie zaczynają się schodzić. Włącza się muzyka, dudniący remiks Destiny's Child, a Rachel podaje Marianne bloczek z biletami loterii, objaśniając system cen. Marianne została włączona do komitetu organizacyjnego balu maturalnego przypuszczalnie na zasadzie jakiegoś żartu, ale mimo to musi pomagać przy zbiórkach pieniędzy takich jak ta. Z biletami w ręku wciąż trzyma się blisko dziewczyn. Przywykła obserwować tych ludzi z oddali, z niemal naukowym zaciekawieniem, ale tego wieczoru, kiedy musi konwersować i uprzejmie się uśmiechać, nie jest już obserwatorką, tylko intruzką, i to dziwaczną. Sprzedaje kilka biletów, wydając resztę z sakiewki trzymanej w torebce, zamawia znowu drinki, spogląda w stronę drzwi i odwraca z rozczarowaniem wzrok.

Chłopaki się trochę spóźniają – zauważa Lisa.

Marianne wie, o których chłopakach mowa: są to Rob, z którym Lisa raz chodzi, raz zrywa, i jego kumple: Eric, Jack Hynes i Connell Waldron. Ich spóźnienie nie umknęło uwagi Marianne.

Jeśli się nie zjawia, ukatrupię Connella – zapowiada Rachel. – Obiecał mi wczoraj, że będą na pewno.

Marianne się nie odzywa. Rachel często mówi o Connellu w ten sposób, robiąc aluzje do prywatnych rozmów, które się między nimi odbyły, jak gdyby byli powiernikami. Connell ignoruje to zachowanie, lecz także ignoruje uwagi rzucane na ten temat przez Marianne, gdy są sami.

Pewnie jeszcze siedzą u Roba i tankują – zgaduje Lisa.

Zanim tu dotrą, będą ubzdryngoleni na maksa – dodaje Karen.

Marianne wyjmuje z torebki telefon i pisze do Connella esemesa: Ożywiona dyskusja na temat twojej nieobecności. Masz zamiar w ogóle się stawić? W ciągu trzydziestu sekund nadchodzi odpowiedź: tak jack własnie sie porzygal, wiec musieliśmy go odstawić do taksówki etc ale juz jedziemy. Jak ci idzie brylowanie

w towarzystwie? Marianne odpisuje: Jestem nową szkolną gwiazdą. Noszą mnie na rękach wokół parkietu i skandują moje imię. Chowa telefon do torebki. Nic nie byłoby dla niej w tym momencie bardziej upajające niż zakomunikowanie dziewczynom: Niedługo będą. Jak przerażająco i oszałamiająco w tej jednej chwili zmieniłby się jej status, jak bardzo byłoby to destabilizujące, jak bardzo destrukcyjne.

Chociaż Marianne nigdy nie mieszkała poza Carricklea, nie jest to miasteczko, które zna szczególnie dobrze. Nie chodzi do pubów przy głównej ulicy, a przed tym wieczorem nigdy się nie bawiła w jedynym miejscowym nocnym klubie. Nigdy też nikogo nie odwiedzała na osiedlu Knocklyon. Nie zna nazwy rzeki, której brązowe i brudne wody przepływają obok marketu i za kościelnym parkingiem, porywając z prądem cienkie foliowe torby, nie wie też, dokąd rzeka płynie dalej. Kto miałby jej powiedzieć? Opuszcza dom po to tylko, żeby pójść do szkoły i na niedzielną obowiązkową mszę, a teraz także aby odwiedzić Connella, gdy jest sam. Wie, jak długo trwa spacer do Sligo – dwadzieścia minut – ale umiejscowienie innych sąsiednich miasteczek, a także ich wielkość względem Carricklea są dla niej tajemnicą. Coolaney, Skreen, Ballysadare – jest całkiem pewna, że wszystkie znajdują się w sąsiedztwie i ich nazwy brzmią znajomo, nie wie jednak, gdzie leżą. Nigdy nie była w ośrodku sportowym. Nigdy nie chodziła pić do opuszczonej fabryki kapeluszy, chociaż przejeżdżała obok, gdy wieziono ją samochodem.

Podobnie nie byłaby w stanie wskazać, które rodziny w miasteczku uważa się za porządne, a które nie. A chciałyby wiedzieć takie rzeczy, żeby móc je odrzucić jeszcze bardziej zdecydowanie. Sama pochodzi z dobrej rodziny, a Connell ze złej, wie tylko tyle. Waldronowie nie mają w Carricklea dobrej opinii. Jeden z braci Lorraine siedział kiedyś w więzieniu, Marianne nie wie za co, a drugi kilka lat temu miał wypadek motocyklowy przy rondzie i o mało nie zginął. No i oczywiście Lorraine zaszła w ciążę w wieku siedemnastu lat i rzuciła szkołę, żeby urodzić dziecko. Mimo to Connella uważa się teraz za całkiem niezłą partię. Dobrze

się uczy, gra jako środkowy napastnik w szkolnej drużynie, jest przystojny, cichy, nie wdaje się w bójki. Wszyscy go lubią. Nawet matka Marianne mawia z aprobatą: Ten chłopak nie wrodził się w Waldronów. Matka Marianne jest notariuszką. Jej ojciec też był notariuszem.

W zeszłym tygodniu Connell napomknął o czymś, co nazwał „widmem”. Marianne nigdy o tym nie słyszała i musiała go zapytać, co to takiego. Uniósł brwi.

Widmo – powiedział. – Osiedle widmo, Mountain View. Zaraz za naszą szkołą.

Marianne zdawała sobie niejasno sprawę z istnienia jakiejś budowy na działce za szkołą, nie wiedziała jednak, że stoi tam teraz osiedle i że nikt tam nie mieszka.

Ludzie chodzą tam, żeby się napić – dodał Connell.

Ach – rzekła Marianne. Spytała, jak tam jest. Szkoda, że nie może jej pokazać, bo ciągle ktoś się tam kręci, powiedział. Connell często robi bez troskie uwagi o tym, że czegoś żałuje.

Szkoda, że już musisz iść, mówi, kiedy Marianne wychodzi, albo: Szkoda, że nie możesz zostać na noc. Gdyby naprawdę było mu szkoda, wtedy te rzeczy by się nie działy. Connell zawsze dostaje to, czego chce, a potem rozczuła się nad sobą, gdy to, czego chce, go nie uszczęśliwia.

W każdym razie zabrał ją w końcu na osiedle widmo. Podjechali tam pewnego popołudnia jego samochodem i dopiero gdy Connell sprawdził, czy nikogo tam nie ma, Marianne mogła z nim pójść. Domy były ogromne, z gołymi betonowymi fasadami i zarośniętymi trawnikami. Niektóre puste otwory okienne pokryto plastikowymi płachtami, które łopotały głośno na wietrze. Padał deszcz, a Marianne zostawiła kurtkę w samochodzie. Skuliła się, zerkając na mokre dachy kryte łupkami.

Chcesz zajrzeć do środka? – spytał Connell.

Drzwi z numerem 23 nie zamknięto na klucz. Wewnątrz było ciszej i ciemniej. Panował tam potworny bałagan. Czubkiem buta Marianne zahaczyła o pustą butelkę po cydrze. Podłoga usiana była niedopałkami i ktoś do pustego poza tym pokoju wciągnął materac.

Był mocno poplamiony, między innymi czymś, co wyglądało jak krew.

Straszny syf – skomentowała na głos Marianne. Connell nic nie mówił, tylko się rozglądał.

Często tu przesiadujesz? – spytała.

Zareagował czymś w rodzaju wzruszenia ramion.

Niezbyt – powiedział. – Kiedyś częściej, ale to było kiedyś.

Proszę cię, powiedz mi, że nigdy nie uprawiałeś seksu na tym materacu.

Uśmiechnął się z nieobecnym wyrazem twarzy.

Nie – rzekł. – Tym, twoim zdaniem, zajmuję się w weekendy?

Tak jakby.

Nie odpowiedział, przez co poczuła się jeszcze gorzej. Connell kopnął zgniecioną puszkę po piwie Dutch Gold, która potoczyła się w stronę drzwi balkonowych.

Ten dom jest prawdopodobnie trzy razy większy od mojego – stwierdził. – Jak myślisz?

Poczuła się głupio, że nie zgadła, o czym pomyślał.

Możliwe – odpowiedziała. – Chociaż oczywiście nie byłam na piętrze.

Cztery sypialnie.

Jezu.

Stoją puste, nikt w nich nie mieszka – kontynuował. – Dlaczego ich komuś nie oddadzą, skoro nie mogą ich sprzedać? Nie wygłupiam się, serio pytam.

Wzruszyła ramionami. Tak naprawdę nie rozumiała dlaczego.

To ma jakiś związek z kapitalizmem – powiedziała.

Tak. Wszystko ma, na tym polega problem, prawda?

Kiwnęła głową. Spojrzał na nią, jak gdyby wybudzał się ze snu.

Zimno ci? – spytał. – Wyglądasz na zmarzniętą.

Uśmiechnęła się, potarła nos. Rozpiął puchową kurtkę i zarzucił ją na ramiona Marianne. Stali bardzo blisko siebie. Położyłaby się na podłodze i pozwoliłaby mu po sobie przejść, gdyby tego chciał, wiedział o tym.

Gdy wychodzę w weekendy czy w ogóle – powiedział – nie wyrywam innych dziewczyn ani nic takiego.

Marianne uśmiechnęła się i powiedziała:

Nie, to one pewnie wyrywają ciebie.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu i utkwiał wzrok w swoich butach.

Masz bardzo zabawne wyobrażenie na mój temat – rzekł.

Zacisnęła palce wokół jego szkolnego krawata. Po raz pierwszy w życiu mogła wypowiadać szokujące opinie i używać brzydkich słów, więc korzystała z okazji.

Gdybym chciała, żebyś mnie tu zerznął – spytała – zrobiłbyś to?

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, jego dłonie poruszyły się jednak pod jej pulowerem na znak, że jej słucha. Po kilku sekundach odpowiedział:

Tak. Gdybyś chciała, to tak. Zawsze zmuszasz mnie do tego, żebym robił najdziwniejsze rzeczy.

Co to znaczy? – spytała. – Nie mogę cię do niczego przymusić.

Możesz, możesz. Myślisz, że jest jeszcze ktoś, z kim robiłbym te rzeczy? Poważnie, myślisz, że ktoś inny mógłby zmusić mnie do tego, żeby zakradać się po szkole i robić to wszystko?

Więc co? Mam cię zostawić w spokoju?

Spojrzał na nią, wyraźnie zaskoczony tym, jaki obrót przyjęła ta rozmowa. Kręcąc głową, powiedział:

Gdybyś to zrobiła...

Spojrzała na niego, ale on nic już nie powiedział.

Gdybym to zrobiła, to co?

Nie wiem. To znaczy, gdybyś nie chciała się już więcej spotykać? Szczerze bym się zdziwił, bo wydaje mi się, że lubisz te nasze spotkania.

A gdybym tak poznała kogoś innego, kto by mnie lubił bardziej?

Roześmiał się. Odwróciła się ze złością, uwolniła z jego objęć i zaplotła ręce wokół tułowia. Powiedział: hej, ale nie zareagowała. Stała przodem do obrzydliwego materaca zabrudzonego rdzawymi plamami. Podeszedł do niej delikatnie od tyłu, podniósł jej włosy i pocałował ją w kark.

Przepraszam, że się zaśmiałem. Wpadam w panikę, gdy mówisz, że nie chcesz się ze mną spotykać. Myślałem, że mnie lubisz.

Zamknęła oczy.

Bo lubię – powiedziała.

No ale gdybyś poznała kogoś innego, kogo lubiłabyś bardziej, wkurzyłbym się, okej? Skoro o to pytasz, nie byłbym zachwycony. W porządku?

Twój kumpel Eric powiedział dziś przy wszystkich, że mam płaskie piersi.

Connell znieruchomiał. Wyczuwała jego oddech.

Nie słyszałem – rzucił.

Byłeś wtedy w toalecie czy gdzieś. Powiedział, że wyglądam jak deska do prasowania.

Kurwa, co za fiut. Dlatego jesteś dzisiaj nie w sosie?

Wzruszyła ramionami. Connell objął ją w talii.

On cię próbuje tylko sprowokować – wyjaśnił. – Gdyby myślał, że ma u ciebie choćby cień szansy, inaczej by śpiewał. Po prostu uważa, że patrzysz na niego z góry.

Znów wzruszyła ramionami i zagryzła dolną wargę.

Nie masz się czym martwić, jeśli chodzi o wygląd – zapewnił ją Connell.

Hmm.

Nie tylko twoja inteligencja mi się w tobie podoba.

Roześmiała się zawstydzona.

Potań nosiem o jej ucho i dodał:

Tęskniłbym, gdybyś nie chciała się więcej ze mną widywać.

Tęskniłbyś, bo nie sypialibyśmy ze sobą? – spytała.

Położył dłoń na jej biodrze i zaczął nią kołysać tuż przy swoim ciele.

Tak, bardzo – odpowiedział.

Możemy już jechać do ciebie?

Kiwnął głową. Przez kilka sekund stali tam po prostu w bezruchu, on z zaplecionymi wokół niej ramionami, ona z jego oddechem w swoim uchu. Wielu ludzi przechodzi przez życie, pomyślała Marianne, nie doświadczając z nikim takiej bliskości.

W końcu po jej trzecim dzinie z tonikiem drzwi otwierają się z hukiem i zjawiają się chłopcy. Dziewczyny z komitetu organizacyjnego wstają i zaczynają się z nimi droczyć, besztając ich

za spóźnienie. Marianne trzyma się z tyłu, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z Connellem, lecz on ucieka spojrzeniem. Ubrany jest w białą koszulę z kołnierzykiem przypinanym na guziki i te same adidas, w których chodzi wszędzie. Pozostali chłopcy też mają na sobie koszule, ale bardziej eleganckie, bardziej lśniące i do tego skórzane buty wizytowe. W powietrzu wyczuwa się ciężki, przenikliwy zapach wody po goleniu. Eric przechwytuje spojrzenie Marianne i nagle puszcza Karen; ruch jest na tyle wyraźny, że wszyscy inni też się odwracają w jej stronę.

Marianne – mówi Eric – co za metamorfoza.

Marianne nie jest w stanie od razu stwierdzić, czy komplement jest szczery, czy Eric z niej szydzi. Wszyscy chłopcy patrzą teraz na nią, wszyscy oprócz Connella.

Mówię poważnie – dodaje Eric. – Świetna sukienka, bardzo sexy.

Rachel zaczyna się śmiać, pochyla się, żeby powiedzieć coś Connellowi na ucho. On odwraca lekko twarz i nie śmieje się razem z nią. Marianne czuje w głowie ciśnienie, które chciałaby rozładować krzykiem lub płaczem.

Chodź, zatańczymy – proponuje jej Karen.

Nigdy nie widziałam Marianne tańczącej – stwierdza Rachel.

No to teraz masz okazję – odpowiada Karen.

Bierze Marianne za rękę i ciągnie ją w stronę parkietu. Leci właśnie kawałek Kanye’a Westa, ten z samplem Curtisa Mayfielda. Marianne wciąż ściska w jednej ręce bloczek z biletami i czuje, że druga ręka wilgotnieje w dłoni Karen. Parkiet jest zatłoczony i przez jej buty do nóg przenikają basowe wibracje. Karen, lekko wstawiona, opiera rękę na ramieniu Marianne i mówi jej do ucha:

Nie zwracaj uwagi na Rachel, jest w podłym humorze.

Marianne kiwa głową, poruszając ciałem w rytm muzyki. Czuje alkoholowe odurzenie, rozgląda się po sali, chce wiedzieć, gdzie jest Connell. Zauważa go natychmiast: stoi na szczycie schodów. Obserwuje ją. Muzyka jest tak głośna, że Marianne czuje w sobie jej pulsowanie. Inni wokół niego rozmawiają i śmieją się. On tylko na nią patrzy i nic nie mówi. Pod jego spojrzeniem jej ruchy wydają się wyolbrzymione, skandaliczne, a ciężar ręki Karen na jej ramieniu

jest zmysłowy i gorący. Porusza biodrami i jedną ręką przeczesuje rozpuszczone włosy.

Karen mówi jej do ucha:

Cały czas się na ciebie gapi.

Marianne zerka na Connella, a potem z powrotem na Karen, nic nie mówiąc, starając się, żeby jej twarz też niczego nie zdradzała.

Teraz rozumiesz, dlaczego Rachel jest na ciebie taka cięta – dodaje Karen.

Marianne wychwytyje zapach coolera w oddechu Karen, a gdy ta otwiera usta, widzi jej plomby. W tym momencie tak bardzo ją lubi. Tańczą jeszcze przez jakiś czas, a potem wchodzi na górę razem, trzymając się za ręce, zdyszane, uśmiechnięte bez powodu. Eric i Rob udają, że się kłócą. Connell niemal niepostrzeżenie zbliża się do Marianne i ich ramiona się stykają. Marianne chce podnieść jego dłoń i ssać jego palce jeden po drugim.

Rachel odwraca się do niej i mówi:

Może byś tak w wolnej chwili spróbowała sprzedać kilka biletów?

Marianne uśmiecha się i ten uśmiech, który wypływa na jej twarz, jest triumfujący, niemal szyderczy.

Okej – rzuca.

Zdaje się, że ci kolesie by chcieli kupić – mówi Eric.

Ruchem głowy wskazuje drzwi, gdzie pojawili się starsi chłopcy. Nie powinno ich tutaj być, klub ogłosił, że to impreza tylko dla posiadaczy zaproszeń. Marianne nie wie, kim są, może czyimiś braćmi albo kuzynami, a może po prostu zwykłymi dwudziestokilkulatkami, którzy lubią się kręcić na tego typu szkolnych imprezach. Widzą machającego do nich Erica i podchodzą bliżej. Marianne zagląda do torebki, szukając w niej sakiewki na gotówkę, na wypadek gdyby chcieli kupić bilety na loterię.

Jak leci, Eric? – mówi jeden z nich. – Kim jest twoja przyjaciółka?

To Marianne Sheridan – odpowiada Eric. – Pewnie znasz jej brata, Alana. Z tego samego rocznika co Mick.

Mężczyzna kiwa tylko głową, taksując Marianne wzrokiem od góry do dołu. Jego zainteresowanie jest jej obojętne. Muzyka gra zbyt głośno, by można było usłyszeć, co Rob mówi na ucho Ericowi, Marianne czuje jednak, że ma to jakiś związek z nią.

Zamówię ci drinka – proponuje mężczyzna. – Na co masz ochotę?
Nie, dziękuję – odpowiada Marianne.

Wtedy mężczyzna obejmuje ją jedną ręką.

Marianne zauważa, że jest bardzo wysoki. Wyższy od Connella. Jego palce pocierają jej gołą skórę na ramieniu. Próbuje strząsnąć z siebie tę dłoń, ale on jej nie puszcza. Jeden z jego kumpli zaczyna się śmiać i Eric śmieje się razem z nim.

Ładna kiecka – mówi mężczyzna.

Możesz mnie puścić? – prosi Marianne.

Bardzo duży dekolt, no nie?

Jednym ruchem zsuwa rękę z jej ramienia i na oczach wszystkich ściska jej prawą pierś. W jednej chwili Marianne wyrывa mu się, podciąga dekolt sukienki aż po obojczyki, do jej twarzy nabiega krew. Pieką ją oczy i czuje ból w miejscu, gdzie zaciskały się jego palce. Słyszy za sobą ich śmiech. Śmieje się Rachel – wysoki fletowy dźwięk w uszach Marianne.

Nie odwracając się, wychodzi z klubu i pozwala, żeby zatrzasnęły się za nią drzwi. Jest teraz w korytarzu z szatnią i nie pamięta, czy wyjście jest z prawej, czy z lewej strony. Cała się trzęsie. Szatniarz pyta ją, czy się dobrze czuje. Marianne nie wie już, jak bardzo jest pijana. Stawia kilka kroków w stronę drzwi na lewo, a potem opiera się plecami o ścianę i zaczyna osuwać na podłogę. Pierś, którą chwycił mężczyzna, nie przestaje jej boleć. Nie żartował, chciał zadać jej ból. Marianne siedzi teraz na podłodze, przyciskając kolana do piersi.

Na końcu korytarza drzwi znowu się otwierają i wychodzi Karen, a za nią Eric, Rachel i Connell. Widzą Marianne na podłodze i Karen podbiega do niej, gdy pozostała trójka stoi tam, gdzie stała, może nie wiedząc, co zrobić, albo nie chcąc niczego robić. Karen przykuca przed Marianne i dotyka jej dłoni. Marianne nie wie, gdzie ma podziać szczypiące oczy.

Nic ci nie jest? – pyta Karen.

Wszystko w porządku – oznajmia Marianne. – Przepraszam. Chyba za dużo wypiałam.

Zostaw ją – mówi Rachel.

Słuchaj no, to był tylko taki żart – wyjaśnia Eric. – Pat to nawet całkiem równy gość, gdy się go lepiej pozna.

Moim zdaniem to było śmieszne – oznajmia Rachel.

W tym momencie Karen odwraca się do nich gwałtownie.

Więc co tu w ogóle robicie, skoro uważacie, że to było takie śmieszne? – pyta. – Wracajcie do swojego kumpla Pata, jeśli sądzicie, że molestowanie młodocianych jest takie zabawne.

Że niby Marianne jest młodociana? – pyta Eric.

Wszyscy się śmiali – dodaje Rachel.

To nieprawda – wtrąca Connell.

Oglądają się na niego. Marianne też przenosi na niego wzrok. Ich spojrzenia się spotykają.

Nic ci nie jest, prawda? – pyta Connell.

O, może jeszcze ją pocałujesz w bubu? – drwi Rachel.

Jego twarz jest teraz zarumieniona i Connell podnosi rękę do czoła. Wszyscy wciąż się na niego patrzą. Marianne czuje na plecach chłód ściany.

Rachel – mówi Connell – mogłabyś się łaskawie odpiardolić?

Marianne widzi, że Karen i Eric spoglądają po sobie rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. W szkole Connell nigdy się tak nie odzywa ani nie zachowuje. Przez te wszystkie lata ani razu nie widziała u niego jakiegokolwiek agresywnej reakcji, nawet gdy go prowokowano. Rachel tylko odrzuca głowę do tyłu i wchodzi z powrotem do klubu. Drzwi zatrząskują się ciężko. Connell jeszcze przez chwilę pociera czoło. Karen mówi coś bezgłośnie do Erica, poruszając tylko ustami, Marianne nie wie co. Potem Connell spogląda na Marianne i pyta:

Chcesz jechać do domu? Jestem samochodem, mogę cię podwieźć.

Marianne kiwa głową. Karen pomaga jej się podnieść z podłogi. Connell wciska dłonie do kieszeni, jak gdyby nie chciał przez przypadek jej dotknąć.

Przepraszam za to całe zamieszanie – Marianne zwraca się do Karen. – Głupio mi. Nie jestem przyzwyczajona do alkoholu.

Nie twoja wina – pociesza ją Karen.

Dziękuję ci, że jesteś dla mnie taka miła – mówi Marianne.

Raz jeszcze ściskają sobie dłonie. Marianne rusza za Connellem w stronę wyjścia i obchodzą razem budynek hotelu do miejsca, gdzie stoi zaparkowany jego samochód. Na dworze jest ciemno i zimno, a odgłosy muzyki z klubu wybijają za nimi stłumiony rytm. Marianne siada na miejscu pasażera i zapina pasy. Connell zamyka drzwi od strony kierowcy i wsuwa do stacyjki kluczyk.

Przepraszam, że narobiłam zamieszania – powtarza Marianne.

Nie – mówi Connell. – To ja przepraszam, że inni tak głupio się wobec ciebie zachowali. Po prostu uważają, że Pat to taki świetny gość, bo czasem organizuje w swojej chacie imprezy. Najwyraźniej, jeśli organizujesz u siebie imprezy, masz prawo gnębić innych, nie wiem.

To naprawdę bolało. To, co zrobił.

Connell się nie odzywa. Po prostu ściska kierownicę, jakby ugniatał ciasto. Wbija wzrok w swoje kolana i robi szybki wydech, niemal odkaszlnięcie.

Przepraszam – mówi. I uruchamia silnik. Przez kilka minut jadą w milczeniu, Marianne schładza czoło, opierając je o szybę.

Chcesz wejść do mnie na chwilę? – pyta Connell.

Lorraine nie ma w domu?

Connell wzrusza ramionami. Stuka palcami w kierownicę.

Prawdopodobnie już się położyła – wyjaśnia. – Moglibyśmy po prostu posiedzieć razem, zanim cię odwiozę. W porządku, jeśli nie masz ochoty.

A jeśli jeszcze się nie położyła?

Szczerze mówiąc, ona się specjalnie nie przejmuje tymi sprawami. Naprawdę myślę, że jej to w ogóle nie obchodzi.

Marianne wygląda na miasteczko za oknem. Rozumie, o czym mówi Connell: że jest mu wszystko jedno, czy jego matka się o nich dowie. Może już wie.

Mam wrażenie, że Lorraine jest naprawdę świetnym rodzicem – zauważa Marianne.

Tak. Masz rację.

Musi być z ciebie dumna. Jesteś jedynym chłopakiem w szkole, który wyrósł na ludzi.

Connell zerka w jej stronę.

Jak to: wyrósł na ludzi? – pyta.

Nie wiesz? Wszyscy cię lubią. I w przeciwieństwie do większości chłopaków jesteś naprawdę miły.

Connell robi minę, której Marianne nie potrafi zinterpretować, jakby podnosił brwi albo je marszczył. Gdy docierają do jego domu, we wszystkich oknach jest ciemno, Lorraine poszła już spać. W pokoju Connella kładą się na łóżku i szepczą do siebie. On jej mówi, że jest piękna. Nigdy jeszcze nikt jej tego nie powiedział, chociaż czasem w duchu podejrzewała, że może tak być, co innego jednak, gdy usłyszysz się coś takiego od drugiej osoby. Podnosi jego dłoń do piersi, gdzie ją boli, a on ją całuje. Jej twarz jest wilgotna, płakała. Całuje jej szyję.

Wszystko w porządku? – pyta. Gdy Marianne kiwa głową, odgarnia jej włosy gładko do tyłu i mówi: – Wiesz, masz prawo czuć się roztrzęsiona.

Marianne leży z twarzą opartą o jego tors. Czuje się jak wyżymany miękki kawałek materiału, z którego kapie woda.

Ty nigdy byś nie uderzył dziewczyny, prawda?

Boże, nie. Oczywiście, że nie. Skąd w ogóle takie pytanie?

Nie wiem.

Myślisz, że jestem damskim bokserem?

Marianne bardzo mocno wciska twarz w jego klatkę piersiową.

Mój tata kiedyś bił mamę – mówi.

Przez kilka sekund, które wydają się niewiarygodnie długie, Connell milczy. W końcu się odzywa:

Jezu, przykro mi. Nie wiedziałem.

W porządku – mówi Marianne.

A ciebie bił?

Czasami.

Connell znowu milczy. Pochyla się i całuje ją w czoło.

Tobie nigdy bym nie zrobił krzywdy, okej? – deklaruje. – Nigdy.

Marianne kiwa głową i nic nie mówi.

Jestem z tobą naprawdę szczęśliwy – dodaje Connell. Jego ręka przesuwa się po jej włosach, gdy wyznaje: – Kocham cię. Nie mówię tego ot tak, naprawdę cię kocham.

Jej oczy znów zachodzą łzami, zamyka je. Nawet we wspomnieniach chwila ta będzie dla niej nieznośnie intensywna, zdaje sobie z tego sprawę teraz, gdy jeszcze trwa. Nigdy nie sądziła, że można, że ktokolwiek mógłby ją kochać. Teraz jednak ma nowe życie, a to jest jego pierwsza chwila, po latach wciąż będzie wspominać: Tak, to było wtedy, początek mojego życia.

Dwa dni później (kwiecień 2011)

Connell stoi przy łóżku, gdy jego matka wychodzi poszukać pielęgniarki.

Tylko to masz na sobie? – pyta jego babcia.

Hm?

Tylko ten sweter?

Ach – odpowiada. – Tak.

Przemarzniesz i sam tu wylądujesz.

Rano jego babcia poślizgnęła się na parkingu przed Aldi i upadła na biodro. Nie jest stara jak niektórzy tutejsi pacjenci, ma tylko pięćdziesiąt osiem lat. Jest w tym samym wieku co matka Marianne, myśli sobie Connell. W każdym razie wygląda na to, że biodro babci jest w kiepskim stanie, przypuszczalnie złamane, i Connell musiał przywieźć Lorraine do Sligo na wizytę w szpitalu. W łóżku na drugim końcu sali ktoś kaszle.

Nic mi nie będzie – odpowiada Connell. – Ciepło jest.

Jego babcia wzdycha, jakby ten komentarz o pogodzie sprawił jej przykrość. Co może być prawdą, bo wszystko, co robi Connell, jest dla niej bolesne, nienawidzi go choćby za to, że żyje. Mierzy go krytycznym spojrzeniem.

Hm, w matkę to ty żeś się nie wdał – stwierdza.

No... nie.

Fizycznie Lorraine i Connell należą do zupełnie odmiennych typów. Lorraine jest blondynką, ma miękką twarz bez ostrych rysów. Chłopaki w szkole uważają, że jest atrakcyjna, o czym często wspominają Connellowi. Prawdopodobnie jest atrakcyjna, co z tego, nie jest to dla niego obraźliwe. Connell ma ciemniejsze włosy i bardziej kanciastą twarz, jak wyobrażenie artysty o wizerunku przestępcy. Wie jednak, że uwaga babci nie ma związku z jego wyglądem zewnętrznym, jest raczej aluzją do drugiego rodzica. Więc okej, na ten temat nie ma nic do powiedzenia.

Nikt oprócz Lorraine nie wie, kto jest ojcem Connella. Sama Lorraine mówi, że może ją spytać, kiedy chce, on jednak nie zawraca sobie tym głowy. Czasem podczas nocnych wypadów kumple poruszają temat jego ojca, jakby to było coś głębokiego i doniosłego, o czym można rozmawiać tylko na rauszu. Connellowi wydaje się to przygnębiające. Sam nigdy nie myśli o facecie, który zrobił dziecko Lorraine, bo i po co? Wydaje się, że jego kumple mają obsesję na punkcie swoich ojców, na punkcie naśladowania ich lub odróżniania się od nich pod jakimś szczególnym względem. Gdy się z nimi kłóca, te kłótnie zawsze zdają się znaczyć pozornie jedno, głębiej zaś skrywają jakieś nieujawnione znaczenie. Gdy Connell kłóci się z Lorraine, zwykle powodem jest na przykład zostawienie mokrego ręcznika na sofie, i tyle, kłóca się naprawdę o ręcznik, a najwyżej o to, czy Connell ma ogólnie skłonności do niechlujstwa, chce bowiem, żeby Lorraine postrzegała go jako osobę odpowiedzialną, pomimo zwyczaju rzucania ręczników gdzie popadnie. Lorraine twierdzi natomiast, że gdyby Connellowi naprawdę zależało na opinii człowieka odpowiedzialnego, okazywałby to swoimi czynami, tego typu rzeczy.

Pod koniec stycznia zawiózł Lorraine do lokalu wyborczego i po drodze zapytała go, na kogo będzie głosować.

Na jednego z kandydatów niezależnych – odpowiedział ogólnikowo.

Roześmiała się.

Nie mów mi, że na tego komunistę Declana Bree.

Connell, nie dając się sprowokować, patrzył przed siebie na drogę.

Jeśli chcesz wiedzieć – powiedział – w tym kraju przydałoby się trochę komunizmu.

Kątem oka dostrzegł, że Lorraine się uśmiecha.

Wyluzuj, towarzyszu. Przecież to ja wpoilałam ci dobre socjalistyczne wartości, nie pamiętasz?

To prawda, Lorraine ma swoje wartości. Interesuje się Kubą i sprawą wyzwolenia Palestyny. Ostatecznie Connell zagłosował na Declana Bree, który zajmąwszy piąte miejsce, nie dostał się do

parlamentu. Dwa mandaty dostały się Fine Gael, a pozostałe dwa Sinn Féin. Lorraine oznajmiła, że to hańba.

Zamienili jedną bandę kryminalistów na drugą – piekliła się. Connell napisał do Marianne esemesa: o kurwa fg w rządzie. Odpisała: Partia Franco. Musiał sprawdzić, co to znaczy.

Któregoś wieczoru Marianne powiedziała mu, że jej zdaniem „wyrósł na ludzi”. Dodała, że jest miły i że wszyscy go lubią. Łapał się na tym, że często o tym myśli. Przyjemnie było mieć takie wspomnienie. „Jesteś miły i wszyscy cię lubią”. Ażeby poddać się próbie, starał się nie myśleć o tym przez pewien czas, a potem znowu wracał do tamtych słów Marianne, żeby się przekonać, czy wciąż sprawiają mu taką samą przyjemność – i sprawiały. Nie wiedział dlaczego, ale żałował, że nie może powtórzyć Lorraine, co powiedziała Marianne. Czuł, że to by ją podniosło na duchu, ale z jakiego powodu? Że jej jednak ostatecznie nie jest jakimś nic niewartym śmieciem? Że nie zmarnowała swojego życia?

I słyszałam, że wybierasz się do Trinity College – mówi jego babcia.

Tak, jeśli wystarczy mi punktów.

Skąd w ogóle ten pomysł z Trinity?

Wzrusza ramionami. Babcia się śmieje, ale jest to drwiący śmiech.

Och, to dobre miejsce dla takich jak ty. A co zamierzasz studiować?

Connell zwalcza impuls, żeby wyjąć z kieszeni telefon i sprawdzić, która godzina.

Anglistykę – odpowiada.

Jego ciotki i wujowie są pod wielkim wrażeniem decyzji o wyborze Trinity, co go zawstydza. Zakwalifikuje się do pełnego stypendium socjalnego, jeśli się tam dostanie, ale nawet z tym wsparciem finansowym będzie musiał pracować na cały etat latem i przynajmniej na pół etatu w czasie roku akademickiego. Lorraine nie chce, żeby za dużo pracował, ma się skupić na nauce. To go przygnębia, bo przecież dyplom anglistyki nie zapewni mu dobrze płatnej pracy, uśmieć się można, i wtedy myśli, że chyba powinien był jednak starać się o przyjęcie na prawo.

Wraca Lorraine. Jej buty wydają na płytkach szpitalnej podłogi płaski, kłapiący odgłos. Matka zaczyna mówić babci o lekarzu specjaliście, który jest na urlopie, o doktorze O'Malleyu i o rentgenie. Przekazuje te wszystkie informacje bardzo starannie, bo zapisała najważniejsze rzeczy na kartce z notesu. W końcu, gdy już babcia cmoknęła go w policzek, opuszczają salę. Lorraine czeka, aż Connell zdezynfekuje ręce na korytarzu. Potem schodzą na parter i wydostają się ze szpitala na słoneczne, parne powietrze.

Tamtego wieczoru po zbiórce pieniędzy w klubie nocnym Marianne opowiedziała mu coś o swojej rodzinie. Nie wiedział, jak zareagować. Zaczął mówić, że ją kocha. To się po prostu stało, tak jak się cofa rękę, dotknąwszy czegoś gorącego. Płakała i tak dalej, a on wypalił bez zastanowienia. Powiedział prawdę? Nie mógł tego jeszcze wiedzieć. Początkowo wydawało mu się, że to musi być prawda, skoro tak powiedział, dlaczego miałby kłamać? Potem jednak uprzytomnił sobie, że od czasu do czasu kłamie, nie planując tego i nie wiedząc, dlaczego to robi. Wtedy nie po raz pierwszy miał ochotę oznajmić Marianne, że ją kocha, bez względu na to, czy to prawda, ale po raz pierwszy uległ i słowa te przeszły mu przez gardło. Zauważył, jak długo trwało, nim zebrała się na odpowiedź, i ta pauza go zaniepokoiła, jak gdyby mogła nie zrewanżować mu się tym samym, a gdy ona też wyznała mu miłość, poczuł się lepiej, ale może to nic nie znaczyło. Connell żałował, że nie wie, jak inni ludzie radzą sobie z dylematami prywatnego życia, bo wtedy mógłby posłużyć się ich przykładem.

Rano obudził ich odgłos klucza Lorraine w drzwiach wejściowych. Za oknami było widno, Connell czuł suchość w ustach, a po chwili Marianne siedziała już na łóżku i się ubierała. Powtarzała tylko: Przepraszam, przepraszam. Pewnie zasnęli, nie wiedząc kiedy. Zamierzał w nocy odwieźć ją do domu. Marianne włożyła buty i on też się ubrał. Gdy znaleźli się na schodach, Lorraine stała w korytarzu z dwiema plastikowymi torbami pełnymi zakupów. Marianne miała na sobie sukienkę z poprzedniego wieczoru, czarną na ramiączka.

Cześć, skarbie – rzuciła Lorraine.

Twarz Marianne płonęła niczym żarówka.

Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać – wybąkała.

Connell nie dotykał jej ani się do niej nie odzywał. Czuł ból w klatce piersiowej. Marianne podeszła do wyjścia, mówiąc:

Do widzenia, przepraszam, dzięki, raz jeszcze przepraszam.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, zanim zdążył zejść na dół.

Lorraine zaciskała usta, jak gdyby starała się powstrzymać wybuch śmiechu.

Możesz mi pomóc z zakupami – zaproponowała. Podała mu jedną reklamówkę. Ruszył za nią do kuchni, położył torbę na stole, nie zaglądając do środka. Pocierał szyję i patrzył, jak Lorraine rozpakowuje i chowa różne produkty.

Co cię tak śmieszy? – spytał.

Ona nie musi się stąd ewakuować w ten sposób tylko dlatego, że jestem w domu – powiedziała Lorraine. – Strasznie się cieszę, kiedy ją widzę, wiesz, jak bardzo lubię Marianne.

Patrzył, jak jego matka składa plastikową torbę.

Myślałeś, że nie wiedziałam?

Connell zamknął oczy i otworzył je dopiero po kilku sekundach. Wzruszył ramionami.

Zorientowałam się, że ktoś tu bywa popołudniami – kontynuowała Lorraine. – Poza tym przecież pracuję w jej domu, jak wiesz.

Pokiwał głową, niezdolny niczego z siebie wydusić.

Musisz naprawdę ją lubić – dodała Lorraine.

Dlaczego tak mówisz?

Nie dlatego przypadkiem wybierasz się do Trinity?

Ukrył twarz w dłoniach. Lorraine śmiała się, słyszał ją.

Przez ciebie teraz nie chcę tam jechać – powiedział.

Oj, przestań.

Spojrzał na torbę z zakupami, którą zostawił na stole, i wyjął opakowanie spaghetti. Speszony zaniósł je do szafki przy lodówce i położył obok innych makaronów.

To co, Marianne jest twoją dziewczyną? – dopytywała się Lorraine.

Nie.

Co to znaczy? Sypiasz z nią, ale nie jest twoją dziewczyną?

Wtrącasz się teraz do mojego prywatnego życia – rzekł. – Nie podoba mi się to, nie twoja sprawa.

Wrócił do torby i wyjął karton jajek, który położył na blacie obok oleju słonecznikowego.

Czy to przez jej matkę? – dopytuje Lorraine. – Myślisz, że by cię nie zaaprobowała?

Co?

Bo wiesz, to całkiem możliwe.

Dlaczego miałyby mnie nie zaaprobować? – spytał Connell. – To jakiś obłęd, co ja takiego zrobiłem?

Może uważa, że to byłby jakby mezalians.

Wpatrywał się w matkę z drugiego końca kuchni, gdy ona chowała do szafki pudełko niemarkowych płatków kukurydzianych. Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że rodzina Marianne mogłaby uważać się za lepszą od niego i Lorraine, że zadawanie się z Waldronami byłoby dla niej ujmą. Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że myśl ta go rozwścieczyła.

Co, ona uważa, że to dla nas za wysokie progi?

Nie wiem. Niewykluczone, że się tego dowiemy.

Nie przeszkadza jej, że u niej sprzątasz, ale nie chce, żeby twój syn kręcił się koło jej córki? Jakaś farsa. Jak coś z dziewiętnastego wieku, to mnie autentycznie śmieszy.

Nie słyszę śmiechu – zauważyła Lorraine.

Wierz mi, że się śmieję. Po prostu umieram ze śmiechu.

Lorraine zamknęła szafkę i odwróciła się.

W takim razie po co ta cała tajemnica? – spytała, wbijając w niego wzrok. – Jeśli nie z myślą o Denise Sheridan. Czy może Marianne ma chłopaka i nie chcecie, żeby się dowiedział?

Twoje pytania stają się coraz bardziej wścibskie.

A więc ma chłopaka.

Nie – zaprzeczył. – Ale to ostatnie pytanie, na które odpowiadam.

Lorraine poruszyła brwiami, ale nic nie powiedziała. Connell zgniótł pustą torbę na stole, a potem stał ze zmiętą reklamówką w dłoni.

Nie zamierzasz, mam nadzieję, nikomu o tym powiedzieć, prawda? – zapytał.

To mi zaczyna wyglądać coraz bardziej podejrzanie. Dlaczego miałabym nikomu nie mówić?

Odpowiedział, czując, że zachowuje się dosyć bezwzględnie:

Bo nic by ci z tego nie przyszło, a mnie by tylko wkurzyło.

Pomyślał przez chwilę i dodał:

Marianne też.

O Boże – jęknęła Lorraine. – Chyba nie chcę już nic więcej wiedzieć.

Cały czas czekał, mając wrażenie, że nie zobowiązała się jednoznacznie do zachowania tajemnicy, aż ze złością wyrzuciła ręce do góry i powiedziała:

Mam ciekawsze tematy do plotek niż twoje życie intymne, okej? Nie martw się.

Wszedł wtedy na górę i usiadł na swoim łóżku. Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział. Myślał o rodzinie Marianne, o sugestii, jakoby Marianne była dla niego nieosiągalna, a także o tym, co mu powiedziała ostatniej nocy. Słyszał od chłopaków w szkole, że czasem dziewczyny wymyślają różne historie na swój temat, żeby zwrócić na siebie uwagę, mówiąc o złych rzeczach, które im się przytrafiły. A historia opowiedziana mu przez Marianne o tym, że gdy była mała, ojciec ją bił, przykuwała uwagę. Poza tym jej ojciec już nie żył, nie mógł więc się bronić. Możliwe, że Marianne po prostu skłamała, żeby wzbudzić w nim współczucie, ale jednocześnie dla Connella było całkowicie jasne, że tego nie zrobiła. Odnosił raczej wrażenie, że powstrzymywała się przed zdradzeniem mu bardziej drastycznych szczegółów. Fakt, że miał o niej tę informację, która w pewien sposób związywała ich mocniej, przyprawiał go o lekki zawrót głowy.

To było wczoraj. Rano zjawił się w szkole wcześniej, jak zwykle, i Rob z Erikiem, gdy podszedł do swojej szafki, żeby schować w niej książki, zaczęli się wygłupiać, urządzili mu owację. Connell rzucił torbę na podłogę, nie zwracając na nich uwagi. Eric otoczył go ramieniem i powiedział:

No, gadaj. Puknąłeś ją?

Connell szukał w kieszeni kluczyka do szafki. Strząsnął z siebie ramię Erica.

Strasznie śmieszne – rzucił.

Słyszałem, że wyglądaliście jak gruchające gołąbki, gdy wychodziliście razem – wtrącił Rob.

Było coś? – spytał Eric. – Bądź z nami szczerzy.

Oczywiście, że nie – rzekł Connell.

Dlaczego to takie oczywiste? – odezwała się Rachel. – Wszyscy wiedzą, że się jej podobasz.

Rachel siedziała na parapecie, powoli dyndając długimi nogami w kryjących rajstopach, czarnych jak atrament. Connell unikał jej wzroku. Lisa, na podłodze pod szafkami, kończyła pracę domową. Karen jeszcze nie przyszła. Żałował, że nie ma jej z nimi.

Założę się, że zaliczył ostry numer – rzekł Rob. – Zresztą i tak nic by nam nie powiedział.

Wcale bym nie miał ci tego za złe – wtrącił Eric – bo Marianne potrafi wyglądać wcale nie najgorzej, jeśli tylko się trochę postara.

No, jest tylko niezrównoważona psychicznie – skwitowała Rachel.

Connell udawał, że szuka czegoś w szafce. Na dłoniach i pod kołnierzem wyczuwał ciekawą warstwę potu.

Jesteście wszyscy okropni – stwierdziła Lisa. – Co ona wam w ogóle zrobiła?

Pytanie brzmi, co zrobiła Waldronowi – powiedział Eric. – Patrzcie, jak się chowa w tej szafce. No dawaj, wyduś to z siebie. Przeleciałeś ją?

Nie.

Cóż, jest mi jej żal – powiedziała Lisa.

Mnie też – rzekł Eric. – Myślę, że powinienesz jej to jakoś wynagrodzić. Myślę, że powinienesz ją zaprosić na bal maturalny.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Connell zamknął szafkę i odszedł stamtąd z plecakiem w prawej ręce. Słyszał, jak tamci go wołają, ale się nie odwrócił. Gdy doszedł do toalety, zamknął się w kabynie. Żółte ściany zdawały się zacieśniać wokół niego i twarz miał mokrą od potu. Nie przestawał myśleć o tym, co powiedział Marianne w łóżku: Kocham cię. To było przerażające, jakby oglądał siebie popełniającego straszliwą zbrodnię na nagraniu z kamery

monitoringu. I niedługo Marianne pojawi się w szkole, będzie wkładać książki do torby, uśmiechając się do siebie, z niczego nie zdając sobie sprawy. „Jesteś miłą osobą i wszyscy cię lubią”. Zawstydzony wziął jeden głęboki wdech i zwymiotował.

Włącza lewy kierunkowskaz, wyjeżdżając spod szpitala, by dostać się z powrotem na N16. Za jego oczami usadowił się ból. Mijają centrum handlowe, jadąc szpalerem ciemnych drzew.

Dobrze się czujesz? – pyta Lorraine.

Tak.

Bo masz taką minę.

Connell wciąga powietrze, aż pas wpija mu się w żebra, po czym robi wydech.

Zaprosiłem Rachel na bal maturalny – oznajmia.

Co?

Poprosiłem Rachel, żeby była moją partnerką na balu.

Zbliżają się do stacji benzynowej, gdy Lorraine stuka szybko w szybę i mówi:

Zatrzymaj się tu.

Connell zerka na nią zdezorientowany.

Co? – pyta.

Lorraine znowu puka w okno, mocniej, słysząc stukot jej paznokci na szkle.

Zjedź tutaj – rozkazuje.

Connell wrzuca szybko kierunkowskaz, sprawdza lusterko, po czym wjeżdża na stację benzynową i zatrzymuje samochód. Z boku ktoś polewa szlauchem furgonetkę; woda spływa ciemnymi strumieniami.

Chcesz coś kupić? – pyta Connell.

A z kim Marianne wybiera się na bal?

Connell w zamyśleniu ścisną kierownicę.

Nie wiem – odpowiada. – Chyba nie kazałaś mi tu zaparkować, żeby sobie uciąć pogawędkę?

Więc może nikt jej nie zaprosi – mówi Lorraine. – I po prostu nie pójdzie.

Tak, może. Nie wiem.

Wracając tego dnia z obiadu, został z tyłu za całą resztą. Wiedział, że Rachel to zauważy i zaczeka razem z nim, wiedział. I gdy tak się stało, zmrużył oczy, aż świat zrobił się białawoszarawy, i zapytał:

Hej, umówiłaś się już z kimś na bal?

Odpowiedziała, że nie. Zapytał, czy chciałaby pójść z nim.

Zgoda – odparła. – Chociaż miałam nadzieję, muszę przyznać, na coś nieco bardziej romantycznego.

Nie odpowiedział, czuł się bowiem tak, jakby właśnie skoczył w głęboką przepaść i się zabił, i cieszył się, że nie żyje, bo nie chciał dłużej żyć.

Czy Marianne wie, że zabierasz na bal kogoś innego? – pyta Lorraine.

Jeszcze nie. Ale powiem jej.

Lorraine zakrywa usta ręką, toteż Connell nie jest w stanie odczytać jej miny: może być zaskoczona, zaniepokojona, a może chce zwymiotować.

I nie wydaje ci się, że to ją powinieneś zaprosić? – mówi Lorraine. – Skoro już ruchasz ją codziennie po szkole?

Nie bądź ordynarna.

Białe nozdrza Lorraine rozszerzają się, gdy bierze wdech.

A chciałbyś, żebym jak to ujęła? Może powinnam powiedzieć, że wykorzystujesz ją seksualnie, tak będzie precyzyjniej?

Możesz się na sekundę uspokoić? Nikt nikogo nie wykorzystuje.

Jak ją zmusiłeś do tego, żeby nikomu nic nie powiedziała? Zagroziłeś, że jeśli na ciebie naskarzy, stanie jej się coś złego?

Jezu – mówi Connell. – Oczywiście, że nie. Oboje tego chcieliśmy, okej? Naprawdę niepotrzebnie robisz z tego jakiś dramat.

Lorraine kiwa w zamyśleniu głową, wyglądając przez przednią szybę. Connell nerwowo czeka, aż matka coś powie.

W szkole jej nie lubią, prawda? – mówi Lorraine. – Pewnie się bałeś komentarzy.

Connell nie odpowiada.

Cóż, to teraz ja powiem coś, co muszę powiedzieć – oznajmia Lorraine. – Uważam, że zachowałeś się podle. Jest mi wstyd za ciebie.

Connell ociera rękawem czoło.

Mamo – mówi. Lorraine otwiera drzwi. – A ty dokąd?

Wrócę do domu autobusem.

Co ty wygadujesz? Zachowuj się normalnie, dobra?

Jeśli zostanę w samochodzie, powiem tylko coś, czego będę żałować.

Ale co jest grane? – pyta Connell. – I w ogóle co cię obchodzi, czy z kimś pójde, czy nie pójde? To nie ma z tobą nic wspólnego.

Lorraine otwiera szerzej drzwi i wysiada z samochodu.

Zachowujesz się naprawdę dziwnie – mówi Connell.

W odpowiedzi jego matka zatrzaskuje drzwi. Mocno. Connell zaciska boleśnie palce na kierownicy, ale nic nie mówi. To jest, kurwa, mój samochód! – mógłby krzyknąć. – Pozwoliłem ci tak trzaskać drzwiami? Lorraine już się oddala, z torebką objijającą się o biodro w rytm kroków. Obserwuje ją, dopóki nie zniknie za rogiem. Dwa i pół roku pracował na tej stacji benzynowej po lekcjach, żeby kupić samochód, a korzysta z niego po to tylko, żeby wozić wszędzie Lorraine, która nie ma prawa jazdy. Mógłby za nią pojechać, opuścić szybę i krzyknąć, żeby wsiadła. Ma ochotę tak zrobić, chociaż ona tylko by go zignorowała. Siedzi więc w fotelu kierowcy z głową opartą o zagłówek i słucha swego idiotycznego oddechu. Wrona na podjeździe dziobie wyrzuconą torebkę po chipsach. Z budynku stacji benzynowej wychodzi rodzina z lodami. Zapach paliwa przenika do wnętrza samochodu, ciężki jak ból głowy. Connell włącza silnik.

Cztery miesiące później (sierpień 2011)

Marianne opala się w ogrodzie w okularach przeciwsłonecznych na nosie. Od kilku dni jest piękna pogoda i jej ramiona pokrywają się piegami. Słyszy, jak rozsuwają się drzwi, nie rusza się jednak. Z tarasu dobiega ją głos Alana:

Annie Kearney liczy na pięćset siedemdziesiąt!

Marianne nie odpowiada. Na trawie przy leżaku wymacuje krem do opalania i gdy siada, żeby go rozsmarować, zauważa, że Alan rozmawia przez telefon.

Ktoś z twojej klasy zdobył sześćset punktów, hej! – wydziera się.

Marianne wyciska trochę kremu na lewą dłoń.

Marianne! – woła Alan. – Powiedziałem, że ktoś dostał sześć szóstek!

Marianne kiwa głową. Powoli wsmarowuje krem w prawe ramię, które zaczyna błyszczeć. Alan próbuje się dowiedzieć, kto zdobył sześćset punktów. Marianne już wie, kto to może być, nic jednak nie mówi. Smaruje lewe ramię, a potem, spokojnie, kładzie się z powrotem na leżaku, twarzą do słońca, i zamyka oczy. Za powiekami poruszają się zielone i czerwone fale światła.

Nie zjadła dzisiaj śniadania ani lunchu, nie licząc dwóch posłodzonych kaw z mlekiem. Tego lata nie ma apetytu. Gdy budzi się rano, otwiera laptopa na drugiej poduszce i czeka, aż oczy przyzwyczają się do świecącego prostokąta ekranu i będzie mogła przeczytać wiadomości. Czyta długie artykuły o Syrii, a potem sprawdza ideologiczne zaplecze dziennikarzy, którzy je napisali. Czyta długie artykuły o kryzysie zadłużeniowym w Europie, powiększając wykresy, aby odczytać drobny druk. Potem zwykle albo znowu zasypia, albo idzie pod prysznic, bywa też, że kładzie się i doprowadza do orgazmu. Pozostała część dnia upływa w podobny sposób, z niewielkimi modyfikacjami: czasem rozsuwa zasłony, innym razem nie; czasem zje śniadanie, a czasem robi tylko kawę,

którą zanosi na górę do swojego pokoju, żeby nie musieć oglądać rodziny. Ten ranek był oczywiście inny.

Słuchaj, Marianne! – woła Alan. – To Waldron! Connell Waldron zdobył sześćset punktów!

Marianne się nie porusza. Alan mówi do telefonu:

Nie, ona ma tylko pięćset dziewięćdziesiąt. Podejrzewam, że się teraz wścieka, bo ktoś wypadł lepiej. Wściekasz się, Marianne?

Słyszysz go, ale nic nie mówi. Pod szklami okularów przeciwsłonecznych powieki wydają się tłuste. Jakiś owad przelatuje z furkotem obok jej ucha i zaraz się oddala.

Jest tam z tobą Connell? – pyta Alan. – Daj go do telefonu.

Dlaczego mówisz o nim „Connell”, jakby był twoim kumplem? – pyta Marianne. – Prawie go nie znasz.

Alan podnosi wzrok znad telefonu, uśmiechając się znacząco.

Znam go dobrze – mówi. – Widziałem go ostatniego dnia szkoły u Erica.

Żałuje, że się odezwała. Alan chodzi po tarasie tam i z powrotem, Marianne słyszy jego chrzęszczące kroki, gdy schodzi na trawę. Ktoś na drugim końcu linii zaczyna mówić i Alan rozchyła usta w pogodnym, nieszczerym uśmiechu.

Jak leci? – pyta. – Świetny wynik, gratulacje.

Głos Connella brzmi cicho, więc Marianne go nie słyszy. Alan wciąż ma na twarzy wymuszony uśmiech. Zawsze tak się zachowuje w towarzystwie innych ludzi, uniżenie i pochlebczo.

No – mówi Alan. – Dobrze jej poszło, no. Nie tak dobrze jak tobie! Pięćset dziewięćdziesiąt. Mam ci ją dać?

Marianne podnosi wzrok. Alan żartuje. Przypuszcza, że Connell odmówi. Nie przychodzi mu do głowy żaden powód, dla którego Connell chciałby rozmawiać z Marianne, samotną frajerką; a już zwłaszcza tego dnia. Tymczasem on odpowiada twierdząco. Alanowi rzadnie mina.

Jasne – mówi – żaden kłopot.

Wyciąga rękę z telefonem w stronę Marianne. Marianne kręci głową. Alan szerzej otwiera oczy. Podtyka jej swoją rękę.

Masz – mówi. Teraz już brutalnie dźga komórką jej klatkę piersiową. – Czeka na ciebie, Marianne.

Nie chcę z nim rozmawiać.

Twarz brata przybiera wyraz dzikiej furii z błyskającymi białkami szeroko otwartych oczu. Alan wciska telefon jeszcze mocniej w mostek Marianne, sprawiając jej ból.

Przywitaj się – rozkazuje.

Marianne słyszy głos Connella brzęczący w komórce. Słońce świeci jej w twarz. Odbiera aparat z dłoni Alana i jednym ruchem palca rozłącza się. Alan stoi nad jej leżakiem, piorunując ją wzrokiem. Przez kilka sekund w ogrodzie nie rozlega się żaden dźwięk. Po czym cichym głosem Alan pyta:

Dlaczego, do kurwy nędzy, to zrobiłaś?

Nie chciałam z nim rozmawiać – odpowiada. – Mówiłam ci.

Ale on chciał rozmawiać z tobą.

Tak, wiem.

Tego dnia jest wyjątkowo słonecznie i cień Alana na trawie ma w sobie coś ostrego i surowego. Marianne wciąż wyciąga rękę z leżącym w dłoni telefonem, czekając, aż brat go zabierze.

W kwietniu Connell powiedział jej, że zabiera na bal maturalny Rachel Moran. Marianne siedziała wtedy w jego pokoju na brzegu łóżka, zachowując się obojętnie i żartując, co go krępowało. Zapewnił ją, że to „nic romantycznego”, że on i Rachel tylko się przyjaźnią.

Chcesz powiedzieć: tak jak my? – spytała Marianne.

No nie – odparł. – Inaczej.

Ale sypiasz z nią?

Nie. Kiedy miałbym w ogóle na to czas?

A chciałbyś?

Nie mam jakiejś obsesji na tym punkcie. Nie wydaje mi się, żebym był pod tym względem aż tak nienasycony, poza tym mam już ciebie.

Marianne wpatrywała się w swoje paznokcie.

To był żart – powiedział Connell.

Nie rozumiem, która część była żartem.

Wiem, że się na mnie wkurzyłaś.

Jest mi wszystko jedno – powiedziała. – Po prostu myślę, że jeśli chciałbyś się z nią przespać, powinienesz mi o tym powiedzieć.

Okej, powiem ci, jeśli kiedyś najdzie mnie ochota. Według ciebie tu tkwi problem, ale ja tak nie sędzę, naprawdę.

Marianne nie wytrzymała:

Więc w takim razie o co chodzi?

Wbijał w nią tylko spojrzenie. Marianne, zaczerwieniona, wróciła do studiowania swoich paznokci. Connell nic nie mówił. W końcu się roześmiała, bo nie upadła jeszcze całkowicie na duchu, a sytuacja była oczywiście w pewnym sensie zabawna, to, jak bezlitośnie ją upokorzył, i nie był w stanie przeprosić ani nawet przyznać, że tego dokonał. Wróciła do domu i od razu się położyła, a następnie przespała trzynaście godzin bez przerwy.

Rano nie poszła do szkoły. Jakkolwiek by na to patrzeć, nie mogła tam wrócić. Było jasne, że nikt inny nie zaprosi jej na bal. Organizowała zbiórkę pieniędzy, zarezerwowała lokal, ale nie będzie mogła wziąć udziału w zabawie. Wszyscy się o tym dowiedzą i niektórzy się ucieszą, ale nawet ci najbardziej jej przychylni będą mogli co najwyżej poczuć zażenowanie. Zamiast więc chodzić do szkoły, całe dnie przesiadywała w swoim pokoju przy zasuniętych zasłonach, ucząc się i drzemiąc o dziwnych porach. Jej matka się wściekała. Trzaskano drzwiami. Dwukrotnie kolacja trafiła do kosza. Marianne była jednak dorosła i nikt nie mógł jej zmusić, żeby się ubrała w mundurek i narażała na spojrzenia i szepty innych.

Tydzień po rzuceniu szkoły weszła do kuchni i zastała w niej Lorraine klęczącą na podłodze i czyszczącą piekarnik. Lorraine lekko się wyprostowała i otarła czoło częścią nadgarstka nad gumową rękawicą. Marianne przełknęła ślinę.

Cześć, skarbie – rzuciła Lorraine. – Słyszałam, że od kilku dni nie ma cię w szkole. Wszystko w porządku?

Tak, nic mi nie jest – odpowiedziała Marianne. – Prawdę mówiąc, nie wracam już do szkoły. Zauważyłam, że mogę zrobić więcej, gdy uczę się sama w domu.

Lorraine pokiwała głową i powiedziała:

Sama wiesz najlepiej.

Po czym wróciła do szorowania wnętrza piekarnika. Marianne otworzyła lodówkę w poszukiwaniu soku pomarańczowego.

Syn mi mówił, że nie odbierasz od niego telefonów – dodała Lorraine.

Marianne znieruchomiała. Cisza w kuchni szumiała w jej uszach jak odgłos rwącego strumienia.

Tak – przyznała. – Obawiam się, że to prawda.

I bardzo dobrze – oznajmiła Lorraine. – Nie zasługuje na ciebie.

Marianne poczuła ulgę tak głęboką i nagłą, że przypominała niemal panikę. Odłożyła sok pomarańczowy na blat i zamknęła lodówkę.

Mogłaby go pani poprosić, żeby tu więcej nie przychodził? – powiedziała. – To znaczy, jeśli musi po panią przyjechać albo coś, czy mógłby nie wchodzić do domu?

Och, jeśli o mnie chodzi, ma całkowity zakaz pokazywania się tutaj. Nie musisz się tym martwić. Mam szczerą ochotę wyrzucić go z domu.

Marianne uśmiechnęła się zakłopotana.

Nie zrobił nic aż tak złego – rzekła. – To znaczy na tle innych w szkole, szczerze mówiąc, był właściwie całkiem miły.

Po tych słowach Lorraine wstała i zdjęła rękawiczki. Nic nie mówiąc, objęła Marianne i mocno ją przytuliła. Dziwnym, ściśniętym głosem Marianne dodała:

Jest dobrze. Nic mi nie jest. Niech się pani o mnie nie martwi.

Prawdą było to, co powiedziała o Connellu. Nie zrobił nic aż tak złego. Nigdy nie próbował jej wmawiać, że Marianne jest w towarzystwie kimś akceptowanym; oszukiwała samą siebie. Posłużyła mu do pewnego rodzaju prywatnego eksperymentu i był prawdopodobnie zaszokowany tym, jak chętnie dała się wykorzystać. Na koniec zrobiło mu się jej żal, lecz także budziła w nim odrazę. W pewnym sensie mu teraz współczuje, bo musi żyć ze świadomością, że z nią sypiał z własnej nieprzymuszonej woli i że mu się to podobało. Ten fakt mówi więcej o nim, rzekomo zwyczajnym i zdrowym osobniku, niż o niej. Wróciła do szkoły dopiero na egzaminy. Wtedy już krążyły plotki, że trafiła do szpitala

psychiatrycznego. W każdym razie żadna z tych rzeczy nie miała już żadnego znaczenia.

Jesteś zła, że zdał lepiej od ciebie? – pyta ją Alan.

Marianne się śmieje. I dlaczego miałyby się nie śmiać? Jej życie tutaj, w Carricklea, jest skończone i albo rozpocznie się nowe, albo nie. Wkrótce zacznie pakować swoje rzeczy do walizek: wełniane swetry, spódnice, dwie jedwabne sukienki. Filiżanki i spodki ze wzorkiem w kwiaty. Suszarkę, patelnię, cztery białe bawełniane ręczniki. Kawiarkę. Akcesoria nowej egzystencji.

Nie – odpowiada bratu.

No to dlaczego nie chciałaś się z nim przywitać?

Zapytaj jego. Skoro jesteście takimi bliskimi przyjaciółmi, powinieneś go zapytać. Już on dobrze wie.

Alan zaciska lewą dłoń w pięść. Nie ma to znaczenia, jest już po wszystkim. Ostatnio Marianne spaceruje po Carricklea i myśli, jak ślicznie miasteczko wygląda w słońcu, z białymi chmurami jak kredowy pył nad biblioteką, ze szpalerami drzew wzdłuż długich alej. Z piłką tenisową zataczającą łuk na tle niebieskiego nieba. Z samochodami, które zwalniają na światłach, a zza ich otwartych okien dolatuje hałaśliwa muzyka. Marianne zastanawia się, jak by to było, gdyby się czuła tu jak u siebie, gdyby chodząc tymi ulicami, pozdrawiała ludzi i uśmiechała się. Gdyby miała poczucie, że życie toczy się tutaj, w tym miejscu, a nie gdzieś daleko.

Co to niby znaczy? – pyta Alan.

Spytaj Connella Waldrona, dlaczego ze sobą nie rozmawiamy. Zadzwoń do niego już teraz, jeśli chcesz, jestem ciekawa, co ci powie.

Alan zagryza knykić palca wskazującego. Drży mu ręka. Zaledwie za kilka tygodni Marianne będzie żyła wśród innych ludzi, jej życie się zmieni. Ale nie ona sama. Będzie tą samą osobą, uwięzioną we własnym ciele. Nigdzie się nie zdoła od niego uwolnić. Inne miejsce, inni ludzie, jakie to ma znaczenie? Alan wypuszcza knykić z zębów.

Bo jemu akurat, kurwa, zależy – mówi Alan. – Dziwi mnie, że w ogóle zna twoje imię.

Och, w swoim czasie byliśmy nawet całkiem blisko. O to też możesz go zapytać, jeśli chcesz. Chociaż może ci być trochę głupio.

Zanim Alan ma czas odpowiedzieć, słyszą, że ktoś woła ich z domu i zamykają się jakieś drzwi. Wróciła matka. Alan podnosi wzrok, wyraz jego twarzy się zmienia, a Marianne czuje, że i ona mimowolnie się odwraca. Brat zerka na nią.

Nie powinnaś opowiadać kłamstw – mówi. Marianne kiwa głową, nie odzywa się. – Nie wspominaj o tym mamie – dodaje Alan.

Marianne kręci głową.

Nie powiem – zgadza się.

Chociaż gdyby nawet jej powiedziała, nie miałoby to tak naprawdę znaczenia. Denise dawno temu doszła do wniosku, że agresja mężczyzn wobec Marianne jest czymś dopuszczalnym, jest formą autoekspresji. W dzieciństwie Marianne stawiała opór, teraz jednak po prostu odlatuje myślami, jak gdyby to w ogóle jej nie interesowało, co zresztą w pewnym sensie jest prawdą. Denise odbiera jej zachowanie jako przejaw oziębłej, antypatycznej osobowości. Wierzy, że Marianne brakuje „ciepła”, przez co ma na myśli umiejętność błagania o miłość ludzi, którzy jej nie znoszą. Alan wraca do domu. Marianne słyszy odgłos zasuwanych drzwi do ogrodu.

Trzy miesiące później (listopad 2011)

Connell nie zna na tej imprezie nikogo. Osoba, która go zaprosiła, nie jest tą samą osobą, która otworzyła drzwi i z obojętnym wzruszeniem ramion wpuściła go do środka. Wciąż nie widział gospodarza, czyli Garetha, poznanego na zajęciach z teorii krytycznej. Connell wiedział, że przyjscie na imprezę samemu to zły pomysł, ale przez telefon Lorraine zapewniała go, że jest wręcz przeciwnie.

Nikogo tam nie znam – skarżył się.

Tłumaczyła mu cierpliwie:

I nikogo nie poznasz, dopóki nie zaczniesz wychodzić i spotykać się z ludźmi.

Teraz jest tutaj, stoi sam jak kołek w zatłoczonym pokoju i nie wie, czy zdjąć kurtkę. To, że tkwi tu zupełnie sam, wydaje mu się niemal skandalem. Ma wrażenie, że wszystkim dookoła jego obecność przeszkadza i że starają się na niego nie gapić.

I gdy już postanawia wyjść, zjawia się wreszcie Gareth. Ogromna ulga na widok gospodarza wywołuje w nim kolejną falę niechęci do samego siebie, bo nawet nie zna Garetha zbyt dobrze ani też nie pała do niego jakąś szczególną sympatią. Gareth wyciąga dłoń i Connell ku swemu zdumieniu desperacko ją ściska. To w jego dorosłym życiu jedna z najbardziej żałosnych chwil. Ludzie patrzą na nich, gdy oni podają sobie ręce, Connell jest tego pewien.

Świetnie, że jesteś, stary – mówi Gareth. – Świetnie, że jesteś. Podoba mi się twój plecak, w stylu lat dziewięćdziesiątych.

Connell nosi zupełnie zwyczajny granatowy plecak bez żadnych elementów, które by go wyróżniały wśród wielu innych plecaków na tej imprezie.

A – mówi. – Tak, dzięki.

Gareth jest jedną z tych powszechnie lubianych osób, które udzielają się w studenckich stowarzyszeniach. Chodził do jednej z dużych prywatnych szkół w Dublinie i na terenie kampusu

wszyscy zawsze go pozdrawiają: Cześć, Gareth! Gareth, cześć! Pozdrawiają go z drugiego końca Front Square po to tylko, żeby im odmachał. Connell widział to. Ma ochotę zażartować: Ja też kiedyś byłem lubiany. Grałem w szkolnej drużynie piłkarskiej. Tutaj nikt by się nie zaśmiał z tego żartu.

Napijesz się czegoś? – pyta Gareth.

Connell przyniósł ze sobą sześciopak cydru, ale wolałby nie robić niczego, co przykułoby uwagę do jego plecaka, bo to mogłoby sprowokować kolejny komentarz Garetha na ten temat.

Dzięki – mówi.

Gareth przeciska się do stołu pod ścianą i wraca z butelką corony.

Może być? – pyta.

Connell patrzy na niego przez sekundę, zastanawiając się, czy pytanie jest ironiczne, czy szczere. Nie mogąc tego rozstrzygnąć, mówi:

Tak, dzięki, może być.

Ludzie na studiach są właśnie tacy, w jednej chwili nieprzyjemnie aroganccy, a chwilę potem ci nadskakują, popisując się dobrymi manierami. Connell sączy piwo. Gareth przygląda mu się i bez zauważalnego sarkazmu rzuca z szerokim uśmiechem:

Baw się dobrze.

Tak to wygląda w Dublinie. Wszyscy studenci z roku Connella mówią z identycznym akcentem i noszą pod pachami takie same MacBooki. Na zajęciach wyrażają swoje opinie z pasją i prowadzą improwizowane dyskusje. Nie potrafiąc sformułować tak jasnych poglądów ani wyrazić ich z dostateczną siłą, Connell początkowo miał wobec innych studentów przytłaczające poczucie niższości, jak gdyby dostał się przez przypadek na poziom znacznie przewyższający jego możliwości intelektualne i musiał się wysilać, żeby pojąć najbardziej podstawowe koncepcje. Z czasem jednak zaczął się zastanawiać, dlaczego wszystkie dyskusje na zajęciach są tak abstrakcyjne i ubogie w szczegóły dotyczące omawianego tekstu, i w końcu sobie uzmysłowił, że większość studentów nie czyta zadanych lektur. Codziennie przychodzą na zajęcia i toczą ze sobą ożywione dysputy o książkach, których nie przeczytali. Rozumie teraz, że jego koledzy nie są tacy jak on. Łatwo formułują opinie

i wygłaszają je z dużą dozą pewności siebie. Nie przejmują się, że mogą wyjść na ignorantów lub zarozumiałców. Nie są ludźmi głupimi, ale też nie są wcale od niego dużo mądrzejsi. Po prostu inaczej poruszają się po świecie i prawdopodobnie nigdy ich nie zrozumie, wie też, że oni nigdy nie zrozumieją jego, nie będą się nawet starać.

Ma zresztą tylko kilka godzin zajęć tygodniowo i resztę czasu wypełnia lekturą. Wiezorami siedzi do późna w bibliotece, czyta zadane teksty, powieści, krytykę literacką. Nie mając z kim jadać posiłków, czyta też podczas obiadu. W weekendy, kiedy w telewizji leci futbol, sprawdza najnowsze wyniki, a potem wraca do czytania, zamiast oglądać relacje. Pewnego wieczoru bibliotekę zamykano akurat w chwili, gdy czytał *Emmę*, fragment, w którym zanosi się na to, że pan Knightley poślubi Harriet, musiał więc zamknąć książkę i wrócić do siebie w stanie dziwnego emocjonalnego poruszenia. Jest rozbawiony sobą, że dał się tak bardzo wciągnąć w powieściowe dramaty. Wydaje się czymś intelektualnie niepoważnym zajmowanie myśli planami małżeńskimi fikcyjnych ludzi. Ale tak: literatura go porusza. Jeden z profesorów nazywa to „rozkoszą dotyku wielkiej sztuki”. Słowa te brzmią niemal erotycznie. I w pewnym sensie odczucia Connella, gdy pan Knightley całuje dłoń Emmy, nie są całkiem aseksualne, chociaż ich związek z seksualnością jest pośredni. Sugeruje, że ta sama wyobraźnia, którą posługuje się Connell jako czytelnik, jest niezbędna w zrozumieniu także prawdziwych ludzi, żeby móc się do nich zbliżyć.

Nie jesteś z Dublina, prawda? – pyta Gareth.

Nie. Ze Sligo.

O? Moja dziewczyna też jest stamtąd.

Connell nie jest pewien, jakiej odpowiedzi spodziewa się Gareth.

Aha – odpowiada słabym głosem. – No proszę.

Dublińczycy o zachodniej Irlandii często wypowiadają się specyficznym tonem, jak gdyby to był obcy kraj, taki jednak, o którym bardzo dużo wiedzą, tak przynajmniej uważają. Pewnego wieczoru w klubie Workmans Connell powiedział jednej z dziewczyn, że pochodzi ze Sligo, a ona zrobiła minę i rzuciła: No

tak, to widać. W coraz większym stopniu wydaje się, że Connella ciągnie do tego typu protekcyjnych osób. Czasem, gdy jest na mieście w tłumie uśmiechniętych, doskonale umalowanych kobiet w opiętych sukienkach, jego współlokator Niall wskazuje jedną z nich i mówi:

Założę się, że ona ci się podoba.

To zawsze jest jakaś płaska jak deska dziewczyna w brzydkich butach, pogardliwie paląca papierosa. I Connell musi przyznać, owszem, rzeczywiście mu się podoba, mógłby nawet spróbować do niej zagadać, i wraca do domu, czując się jeszcze gorzej niż wcześniej.

Rozgląda się z zakłopotaniem po pokoju i pyta:

Mieszkasz tu, prawda?

Tak – odpowiada Gareth. – Nieźle warunki jak na kampus, co?

Nieźle. Naprawdę super.

A ty gdzie mieszkasz?

Connell odpowiada mu. W mieszkaniu niedaleko uczelni, niedaleko Brunswick Place. Dzieli z Niallem pokój, gdzie pod przeciwległymi ścianami stoją dwa pojedyncze łóżka. Mają do dyspozycji kuchnię do spółki z dwoma studentami z Portugalii, których nigdy nie ma w domu. Mieszkanie nie jest pozbawione felerów, takich jak wilgoć, a w nocy robi się tam tak zimno, że Connell widzi własny oddech w ciemności, przynajmniej jednak Niall jest przyzwoitym chłopakiem. Przyjechał z Belfastu i też uważa, że studenci Trinity są dziwni, co Connella podnosi na duchu. Zna już trochę niektórych przyjaciół Nialla i poznał większość studentów ze swoich grup, nikogo jednak, z kim mógłby odbyć porządną rozmowę.

Nieśmiałość Connella w rodzinnych stronach nigdy nie stanowiła większej przeszkody w jego życiu towarzyskim, wszyscy bowiem wiedzieli, kim jest, nie musiał więc się nikomu przedstawiać ani próbować robić na nikim wrażenia. Jeśli już, jego osobowość wydawała mu się czymś zewnętrznym, była kształtowana bardziej przez opinie innych niż to, co sam indywidualnie robił lub wytwarzał. Teraz ma poczucie niewidzialności, nicości, braku reputacji mogącej mu kogokolwiek zjednać. Chociaż jego

powierzchnowość się nie zmieniała, obiektywnie rzecz biorąc, ma wrażenie, że wygląda gorzej niż kiedyś. Zaczął się wstydzić swoich ubrań. Wszyscy studenci na jego zajęciach noszą takie same impregnowane kurtki myśliwskie i śliwkowe chinosy, nie żeby Connell miał problem z ludźmi ubierającymi się tak, jak im się podoba, osobiście jednak czułby się w takim stroju jak skończony frajer. Jednocześnie musi przyznać, że jego ubrania są tanie i niemodne. Jego jedyna para butów to strasznie stare adidas, w których chodzi wszędzie, nawet na siłownię.

Wciąż na weekendy jeździ do domu, bo w sobotnie popołudnia i niedzielne ranki pracuje na stacji benzynowej. Większość ludzi z liceum wyjechała na studia albo do pracy. Karen mieszka w Castlebar ze swoją siostrą, Connell nie widział jej od uroczystości wręczenia świadectw. Rob i Eric razem studiują zarządzanie w Galway i najwyraźniej nigdy nie przyjeżdżają do rodzinnego miasta. Bywa, że w niektóre weekendy Connell nie widuje nikogo ze szkoły. Siedzi wieczorami w domu i ogląda z matką telewizję.

Jak ci się mieszka samej? – spytał ją w minionym tygodniu. Uśmiechnęła się.

Och, fantastycznie – odpowiedziała. – Nikt nie zostawia ręczników na sofie. Ani brudnych talerzy w zlewie, jest ekstra.

Pokiwał ponuro głową. Trąciła go żartobliwie łokciem.

Co chcesz, żebym ci powiedziała? – mówi. – Że co noc przed zaśnięciem chlipię w poduszkę?

Przewrócił oczami.

Oczywiście, że nie – wymamrotał.

Odpowiedziała mu, że cieszy się z jego wyjazdu, bo jej zdaniem pobyt poza domem dobrze mu robi.

Co jest dobrego w mieszkaniu poza domem? – spytał. – Ty przemieszkałaś całe życie tutaj i jakoś ci to nie zaszkodziło.

Wbiła w niego intensywne spojrzenie.

O, a ty już zamierzasz mnie tu pogrzebać, tak? – spytała. – Jezu, ja mam dopiero trzydzieści pięć lat.

Starał się nie uśmiechać, ale wydawało mu się to zabawne.

Mogłabym się stąd wyprowadzić choćby jutro, dziękuję ci bardzo – dodała. – Przynajmniej nie musiałabym co weekend patrzeć na tę

twoją smętną facjatę.

Nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

Gareth mówi teraz coś, czego Connell nie słyszy. Z tandetnych głośników leci bardzo głośno *Watch the Throne*. Connell pochyła się lekko do Garetha.

Co? – pyta.

Moja dziewczyna, powinienes ją poznać – mówi Gareth. – Przedstawię was sobie.

Zadowolony z tej przerwy w rozmowie Connell wychodzi za Garethem przez główne drzwi na schody przed domem. Naprzeciwko budynku rozciągają się korty tenisowe, o tej porze nieczynne i wyglądające upiornie w swej pustce, czerwone w świetle ulicznych latarni. Na schodach parę osób pali i rozmawia.

Hej, Marianne – mówi Gareth.

Marianne przerywa w połowie zdania i podnosi wzrok znad papierosa. Na sukienkę narzuciła sztruksową kurtkę i ma spięte z tyłu włosy. Jej ręka, trzymająca papierosa, wydaje się w tym świetle długa i eteryczna.

No proszę – mówi Connell. – Cześć.

Natychmiast, co niewiarygodne, na twarz Marianne wypływa gigantyczny uśmiech ukazujący jej krzywe przednie zęby. Ma umalowane usta. Wszyscy się jej teraz przyglądają. Właśnie coś mówiła, ale zamilkła i wbiła w niego spojrzenie.

Jezus Maria – mówi. – Connell Waldron! Wszelki duch.

Connell odchrząkuje i panicznie usiłując zachowywać się normalnie, odpowiada:

Kiedy zaczęłaś palić?

Garethowi i swoim przyjaciółom Marianne wyjaśnia:

Chodziliśmy razem do szkoły.

Utkwiwszy wzrok z powrotem w Connellu, z promiennie radosną miną pyta:

I co, co u ciebie?

Connell wzrusza ramionami i mamrocze:

No, okej, wszystko dobrze.

Marianne patrzy na niego, jakby chciała swoim spojrzeniem przekazać mu jakąś wiadomość.

Napijesz się czegoś? – pyta go.

Connell podnosi butelkę przyniesioną mu przez Garetha.

Dam ci szklankę – mówi Marianne. – Wejdźmy do środka.

Marianne wchodzi po schodach. Rzuca przez ramię:

Zaraz wracam.

Po tej uwadze i po tym, co zobaczył na schodach, Connell domyśla się, że wszyscy ci ludzie na imprezie są jej przyjaciółmi, że Marianne ma mnóstwo przyjaciół i jest szczęśliwa. Po chwili frontowe drzwi zatrzaszczają się za nimi i zostają w korytarzu sami.

Connell rusza za nią do kuchni, która jest pusta, sterylna i cicha. Dopasowane kolorystycznie niebieskozielone powierzchnie i urządzenia z nazwami producentów. W zamkniętym oknie odbija się oświetlone wnętrze, niebiesko-białe. Nie potrzebuje szklanki, Marianne wyciąga jednak jedną z szafki, a on nie protestuje. Ściągając kurtkę, Marianne pyta go, skąd zna Garetha. Odpowiada, że chodzą razem na zajęcia. Marianne wiesza kurtkę na oparciu krzesła. Ma na sobie dosyć długą szarą sukienkę, w której jej ciało wygląda szczupło i delikatnie.

Mam wrażenie – mówi Marianne – że znają go wszyscy. Jest ekstrawertykiem.

Tak, jednym z tych studenckich celebrytów – stwierdza Connell.

To ją rozśmiesza i jest tak, jakby między nimi wszystko było w najlepszym porządku, jakby zamieszkiwali nieco inny wszechświat, gdzie nic złego się nie stało, ale Marianne ma fajnego chłopaka, Connell zaś jest teraz tym, który jest samotny i nie lubiany.

To by mu się spodobało – rzuca Marianne.

Zdaje się, że jest członkiem różnych komitetów i stowarzyszeń.

Marianne się uśmiecha, spogląda na niego spod przymrużonych powiek. Jej szminka jest bardzo ciemna, w kolorze wina, do tego Marianne ma pomalowane oczy.

Tęskniłam za tobą – wyznaje.

Ta bezpośredniość, która nadeszła tak szybko i tak niespodziewanie, sprawia, że Connell się czerwieni. Zaczyna nalewać piwo do szklanki, żeby skupić na czymś myśli.

A ja za tobą – mówi. – Martwiłem się trochę, gdy rzuciłaś szkołę i tak dalej. Wiesz, to wszystko wpędziło mnie w niezłego doła.

Cóż, w szkole nigdy nie spędzaliśmy czasu razem.

Nie. Tak. Jasne.

A co z tobą i Rachel? – pyta Marianne. – Jesteście cały czas razem?

Nie, rozstaliśmy się latem.

Głosem na tyle fałszywym, że brzmi niemal szczerze, Marianne mówi:

Och, tak mi przykro.

Gdy w kwietniu Marianne rzuciła szkołę, Connell przez pewien czas nie mógł się pozbierać. Nauczyciele próbowali z nim o tym rozmawiać. Psycholog szkolna przekazała Lorraine, że jest „zaniepokojoana”. Uczniowie prawdopodobnie też o tym mówili, nie wiedział. Nie był w stanie wykrzesać z siebie dość energii, żeby zachowywać się normalnie. Podczas obiadu siedział w tym samym miejscu co zawsze, smętnie połykając kęsy jedzenia i nie słuchając, co mówią koledzy. Czasami nie zauważał nawet, gdy ktoś go wołał, trzeba było czymś w niego rzucić lub trzepnąć go w głowę, żeby oprzytomniał. Wszyscy musieli wiedzieć, że coś jest z nim nie tak. Ogarniał go przemożny wstyd na myśl o tym, jakim okazał się łajdakiem, i tęsknił za tym, jak się czuł w obecności Marianne, tęsknił za jej towarzystwem. Cały czas do niej dzwonił, codziennie słał esemesy, ani razu jednak nie odebrała ani nie odpisała. Jego matka oznajmiła mu, że ma zakaz wizyt w domu Marianne, chociaż wątpił, żeby próbował ją tam odwiedzać.

Przez jakiś czas chciał o niej zapomnieć, pijąc za dużo i uprawiając niecierpliwy, przygnębiający seks z innymi dziewczynami. Podczas prywatki w maju przespał się z Sinead, siostrą Barry’ego Kenny’ego, która miała dwadzieścia trzy lata i dyplom z terapii mowy i logopedii. Po wszystkim czuł się tak fatalnie, że zwymiotował, i musiał skłamać Sinead, że zaszkodził mu alkohol. Z nikim nie mógł o tym porozmawiać. Czuł się potwornie samotny. Nawiedzały go powtarzające się sny o tym, że są

z Marianne znowu razem, że przytula ją spokojnie jak kiedyś, gdy byli zmęczeni, i rozmawiają ze sobą ściszone głosami. Potem przypominał sobie, co się wydarzyło, i budził się z tak dojmującym uczuciem smutku, że nie był w stanie poruszyć ani jednym mięśniem.

Pewnej nocy w czerwcu wrócił do domu wstawiony i spytał Lorraine, czy często widuje Marianne, gdy chodzi u niej sprzątać.

Czasami – powiedziała Lorraine. – A co?

I wszystko z nią w porządku?

Już ci mówiłam, chyba ma do ciebie żal.

Nie odpowiada na moje esemesy – poskarżył się. – Kiedy dzwonię i widzi, że to ja, nie odbiera.

Zraniłeś jej uczucia.

No dobrze, ale taka reakcja to chyba przesada?

Lorraine wzruszyła ramionami i znów zaczęła oglądać telewizję.

Nie wydaje ci się? – dopytywał.

Nie wydaje mi się, że co?

Że przesadza, zachowując się w ten sposób?

Lorraine nie przestawała wpatrywać się w telewizor. Connell był pijany, nie pamięta, co oglądała. Powoli wycodziła: Wiesz, Marianne to bardzo delikatna dziewczyna. A ty ją zraniłeś, wykorzystując w ten sposób. Więc może dobrze, że teraz masz z tego powodu wyrzuty sumienia.

Nie mówiłem, że mam wyrzuty sumienia – oświadczył.

W lipcu zaczął chodzić z Rachel. W szkole wszyscy wiedzieli, że jej się podoba, i Rachel najwyraźniej uważała to zbliżenie między nimi za osobisty triumf. Co do samego związku, spędzali czas sam na sam głównie przed wyjściem gdzieś, gdy ona się malowała i obgadywała swoje przyjaciółki, a Connell popijał piwo z puszki i czekał, aż się wyszykuje. Czasami zaglądał do telefonu, gdy się rozgadywała, i wtedy zarzucała mu: „Wcale mnie nie słuchasz”. Nienawidził tego, jak się przy niej zachowuje, bo miała rację, naprawdę jej nie słuchał, bo gdy słuchał, nie podobało mu się nic z tego, co mówiła. Kochali się tylko dwa razy i w obu przypadkach nie było to przyjemne doświadczenie, a gdy potem leżeli razem w łóżku, Connell czuł w piersi i gardle bolesne ściskanie, przez które

trudno mu było oddychać. Wydawało mu się wcześniej, że z nią nie będzie czuł się taki samotny, tymczasem jego samotność zmieniła swój charakter, stała się uporczywa, jak gdyby zapuściła w nim korzenie i nie można jej było wyplenić.

W końcu nadszedł wieczór balu maturalnego. Rachel ubrała się w potwornie drogą sukienkę i Connell stał w ogrodzie przed jej domem, gdy matka Rachel robiła im zdjęcie. Rachel bez przerwy powtarzała, że Connell wybiera się do Trinity, a jej ojciec pokazywał mu swoje kije golfowe. Potem udali się do hotelu na kolację. Wszyscy mocno się wstawili, a Lisie urwał się film, zanim podano deser. Rob pod stołem pokazywał Ericowi i Connellowi w swoim telefonie nagie zdjęcia Lisy. Eric śmiał się i stukał w różne części ciała Lisy na wyświetlaczu. Connell siedział tylko wpatrzony w telefon, a potem powiedział cicho:

Pokazywanie tego innym to chyba świństwo.

Z głośnym westchnieniem Rob wyłączył telefon i schował go do kieszeni. Ostatnio zrobiłeś się w tych sprawach strasznie pedziowaty – stwierdził.

O północy, spity w trupa, ale przewrotnie zniesmaczony nietrzeźwością wszystkich wokół siebie, Connell wymaszerował z sali balowej i wyszedł do części ogrodu przeznaczonej dla palaczy. Zapalił papierosa i był w trakcie darcia na kawałeczki liści ze zwieszonych nisko gałęzi pobliskiego drzewa, gdy rozsunęły się drzwi i dołączył do niego Eric. Na widok Connella parsknął znaczącym śmiechem, a potem usiadł na ustawionej do góry dnem donicy i sam zapalił.

Szkoda, że Marianne w końcu nie przyszła – powiedział.

Connell kiwnął głową, niezadowolony, że pada jej imię, i nie zamierzał zaszczyścić tego komentarza odpowiedzią.

Co tam się działo? – spytał Eric.

Connell spojrzał na niego milcząco. Z żarówki nad drzwiami padał snop białego światła i oświetlał twarz Erica, powlekając ją upiorną bladością.

O co pytasz?

Między tobą a nią.

Connell z trudem rozpoznawał swój głos, odpowiadając:

Nie wiem, o czym mówisz.

Eric uśmiechnął się szeroko i jego wilgotne zęby błysnęły w świetle.

Myślisz, że nikt nie wie, że ją stukales? – rzekł. – Przecież wszyscy wiedzą.

Connell znieruchomiał i zaciągnął się dymem po raz kolejny. Prawdopodobnie była to najbardziej przerażająca rzecz, jaką Eric mógł mu powiedzieć, nie dlatego, że położyła kres jego życiu, ale dlatego, że tak się nie stało. Przekonał się wtedy, że tajemnica, dla której poświęcił własne szczęście i szczęście drugiej osoby, od samego początku była banalna i nic niewarta. Mogli z Marianne prowadzić się szkolnymi korytarzami za ręce i jakie byłyby tego konsekwencje? Żadne, tak naprawdę. Nikogo to nie obchodziło.

Skoro tak twierdzisz – powiedział Connell.

Jak długo to się ciągnęło?

Nie wiem. Jakiś czas.

I o co ci chodziło? – spytał Eric. – Robiłeś to dla wygłupu czy co?

Znasz mnie.

Connell zgasił papierosa i wszedł do środka po kurtkę. Potem się ulotnił, z nikim się nie pożegnawszy, nawet z Rachel, która zerwała z nim wkrótce potem. I tyle, ludzie powyjeżdżali, on wyjechał. Ich życie w Carricklea, które nasycili tak wielkim dramatyzmem i znaczeniem, po prostu dobiegło końca bez żadnej konkluzji i już nigdy nie miało się odrodzić, nie takie samo.

No cóż – Connell wyjaśnia Marianne. – Myślę, że ja i Rachel nie pasowaliśmy do siebie.

Marianne uśmiecha się teraz. Nieznacznym, skromnym uśmiechem.

Hm – mruczy.

Co?

Prawdopodobnie sama mogłam ci to powiedzieć.

No, trzeba było – podchwytuje Connell. – Ale nie odpowiadałaś na moje esemesy.

Cóż, czułam się niejako porzucona.

Też czułem się jakby porzucony, wiesz? – mówi Connell. – Zniknęłaś. A na marginesie, zacząłem się spotykać z Rachel dużo później. Nie żeby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie, ale tak było.

Marianne wzdycha i enigmatycznie porusza głową w jedną i drugą stronę.

Tak naprawdę nie dlatego przestałam chodzić do szkoły – mówi.

Aha. Podejrzewam, że w domu było ci lepiej.

Jakby przelała się czara goryczy.

Tak – mówi Connell. – Zastanawiałem się, czy nie to było powodem.

Marianne znowu się uśmiecha. Krzywy uśmieszek, jakby flirtowała.

Naprawdę? – pyta. – Może masz zdolności telepatyczne.

Były chwile, kiedy naprawdę wydawało mi się, że umiem ci czytać w myślach – odpowiada Connell.

Masz na myśli: w łóżku?

Connell pociąga łyk ze szklanki. Piwo jest zimne, ale szkło ma temperaturę pokojową. Przed tym wieczorem nie wiedział, jak się zachowa Marianne, jeśli spotkają się na uczelni, teraz jednak jej reakcja wydaje się czymś nieuniknionym, oczywiście, że zachowuje się w ten sposób. Oczywiście, że dowcipkuje z nim o ich życiu intymnym, jakby to był zabawny żart, nie coś krępującego. I w pewnym sensie mu się to podoba, podoba mu się, że wie, jak się przy niej zachowywać.

No – potwierdza Connell. – I potem. Ale może to jest normalne.

Nie jest.

Oboje się uśmiechają. Tłumiony uśmiech rozbawienia. Connell odkłada pustą butelkę na blat i spogląda na Marianne. Ta wyglądała suknienkę.

Wyglądasz naprawdę świetnie – chwali ją Connell.

Wiem. Klasyczna ja, poszłam na studia i wyładniałam.

Connell zaczyna się śmiać. Nawet nie chce tego, coś jednak w przedziwnej dynamice między nimi skłania go do śmiechu. „Klasyczna ja” to typowe dla Marianne powiedzonko, odrobinę autoironiczne, a jednocześnie świadczące o wzajemnym

zrozumieniu, założeniu, że jest wyjątkowa. Jej sukienka z przodu ma głęboki dekolt, ukazuje blade obojczyki jak dwa białe dywizy.

Zawsze byłaś ładna – mówi. – Kto jak kto, ale ja akurat wiem, bo jestem płytki. Jesteś bardzo ładna, jesteś piękna.

Marianne już się nie śmieje. Robi coś w rodzaju zabawnej miny i odgarnia włosy z czoła.

No cóż – mówi. – Dawno tego nie słyszałam.

Gareth ci nie mówi, że jesteś piękna? Jest za bardzo zajęty prowadzeniem kółka teatralnego czy czegoś takiego?

Dyskusyjnego. A ty jesteś zbyt okrutny.

Dyskusyjnego? – powtarza Connell. – Jezu, tylko mi nie mów, że miał coś wspólnego z tymi nazistami.

Usta Marianne zamieniają się w cienką linię. Connell nie czytuje raczej uczelnianej prasy, słyszał jednak o klubie dyskusyjnym, który zaprosił do wygłoszenia mowy neonazistę. Wszystkie media społecznościowe o tym trąbią. Ukazał się nawet artykuł w „The Irish Times”. Connell nie zostawił komentarza pod żadnym z fejsbukowych postów, polubił za to kilka komentarzy wzywających do cofnięcia zaproszenia, co jest prawdopodobnie najśmielszym politycznym czynem, jakiego dokonał w całym swoim życiu.

No, nie we wszystkim się zgadzamy – mówi Marianne.

Connell śmieje się, z jakiegoś powodu zadowolony, że Marianne jest tak wyjątkowo jak na siebie słaba i niedbająca o pryncypia.

Myślałem, że to ja źle robię, spotykając się z Rachel Moran – mówi. – Tymczasem twój chłopak jest rewizjonistą Holocaustu.

Och, on po prostu jest za wolnością słowa.

O, to dobre. Dzięki Bogu za białych o umiarkowanych poglądach. Jak chyba napisał kiedyś Martin Luther King.

Teraz śmieje się Marianne – szczerze. Jej drobne zęby znowu się bielą i Marianne podnosi dłoń, żeby zasłonić usta. Connell popija piwo i podziwia jej słodki wyraz twarzy, za którym tęsknił, i wydaje się, że jest miło, chociaż później prawdopodobnie będzie żałował wszystkiego, co powiedział.

Okej – mówi Marianne – oboje daliśmy ciała, jeśli chodzi o czystość ideologiczną.

Connell ma na końcu języka: Mam nadzieję, że jest naprawdę dobry w łóżku, Marianne. Z pewnością uznałaby to za śmieszne. Z jakiegoś powodu jednak, prawdopodobnie przez nieśmiałość, nie mówi tego. Marianne patrzy na niego spod przymrużonych powiek i pyta:

Widujesz się teraz z kimś problematycznym?

Nie – odpowiada. – Nawet z nikim nieproblematycznym.

Marianne posyła mu pełen zaciekawienia uśmiech.

Masz kłopoty z nawiązywaniem kontaktów? – pyta.

Connell wzrusza ramionami, a potem nieznacznie kiwa głową.

Jest tu trochę inaczej niż w naszej miejscinie, co? – mówi.

Mam kilka koleżanek, które mogłabym ci przedstawić.

O, serio?

Tak, teraz mam koleżanki.

Nie jestem pewien, czy byłbym w ich typie.

Patrzą na siebie. Marianne jest lekko zarumieniona, szminka na dolnej wardze odrobinę się rozmazała. Jej wzrok działa na niego destabilizująco, tak jak kiedyś, jakby patrzył w lustro i widział coś, co nie ma przed nim żadnych tajemnic.

Co masz na myśli? – pyta Marianne.

Nie wiem.

Co się może w tobie nie podobać?

Connell uśmiecha się i zagląda do szklanki. Gdyby Niall zobaczył Marianne, powiedziałby: Nic nie mów. Ona ci się podoba. To prawda, że Marianne jest w typie Connella, może nawet stanowi pierwowzór tego typu: elegancka, ze zblazowaną miną, roztaczająca aurę całkowitej pewności siebie. I Marianne go pociąga, może to przyznać. Po tych miesiącach z dala od domu życie wydaje się dużo większe, a jego osobiste dramaty mniej ważne. Nie jest już tą samą zamartwiającą się, zamkniętą w sobie osobą, jaką był w szkole, gdzie zauroczenie Marianne przerażało go, było jak nadjeżdżający pociąg, pod który ją zresztą wpełchnął. Connell wie, że Marianne zachowuje się dziwnie i powściągliwie, bo chce mu pokazać, że nie jest rozgoryczona. Mógłby powiedzieć: Naprawdę cię przepraszam za to, co ci zrobiłem, Marianne. Zawsze przypuszczał, że jeśli się na nią natknie, tak właśnie powinien powiedzieć. W jakiś jednak

sposób ona najwyraźniej nie dopuszcza tej ewentualności, a może to Connell zachowuje się tchórzliwie, albo jedno i drugie.

Nie wiem – mówi. – Dobre pytanie, nie wiem.

Trzy miesiące później (luty 2012)

Marianne wsiada do samochodu Connella z przodu i zamyka drzwi. Włosy ma nieumyte i opiera stopy o brzeg fotela, żeby zawiązać sznurowadła. Zalatuje od niej likierem owocowym, nie nieprzyjemnie, ale też nie całkiem przyjemnie. Connell siada za kierownicą i uruchamia silnik. Marianne zerka na niego.

Zapięłaś pas? – pyta ją Connell.

Zerka w lusterko wsteczne, jakby to był normalny dzień. Tymczasem jest rano po imprezie w Swords, gdzie Connell nie pił, a Marianne owszem, nic więc nie jest normalne. Marianne posłusznie zapina pas, żeby zademonstrować, że wciąż są przyjaciółmi.

Przepraszam cię za dzisiaj – mówi.

Stara się wypowiedzieć te słowa w taki sposób, żeby przekazać kilka rzeczy: przeprosiny, bolesne zażenowanie, dodatkowo zażenowanie udawane, które ma wykpić i rozcieńczyć to bolesne, świadomość, że zostanie jej wybaczone albo już jej wybaczone, oraz pragnienie, by „nie robić z tego afery”.

Zapomnij o tym – mówi Connell.

No ale jest mi przykro.

Nic się nie stało.

Connell wyjeżdża teraz z podjazdu. Najwyraźniej zbagatelizował cały incydent, z jakiegoś powodu jednak Marianne nie jest usatysfakcjonowana. Chce, żeby przyznał, co się stało, zanim pozwoli jej zapomnieć o sprawie, a może po prostu Marianne chce sobie zadać niepotrzebne cierpienie.

Zachowałam się niestosownie.

Słuchaj, byłaś mocno wstawiona.

To nie jest żadne usprawiedliwienie.

I upalona do nieprzytomności – dodaje Connell – o czym dowiedziałem się dopiero później.

Tak, czułam się jak agresorka.

Teraz on się śmieje. Marianne przysuwa kolana do piersi i ujmuje łokcie w dłonie.

Nie zaatakowałaś mnie – mówi Connell. – Takie rzeczy się zdarzają.

Oto co się wydarzyło. Connell zawiózł Marianne do domu wspólnego znajomego na przyjęcie urodzinowe. Umówili się, że zostaną na noc, a rano Connell odwiezie ją do Dublina. Po drodze słuchali Vampire Weekend i Marianne popijała dzin ze srebrnej piersiówki, rozwodząc się na temat administracji Reagana.

Upijesz się – ostrzegł ją w samochodzie Connell.

Wiesz co, masz bardzo ładną twarz – rzekła. – Inni ludzie mówili mi już o tym, o twojej twarzy.

Przed północą Connell gdzieś przepadł, a Marianne odnalazła w szopie swoje przyjaciółki, Peggy i Joannę. Rozpijały tam cointreau prosto z butelki i paliły. Peggy była ubrana w przetartą skórzaną kurtkę i lniane spodnie w paski. Jej rozpuszczone włosy opadały na ramiona, przy czym bez przerwy odrzucała je na jedną stronę albo przeczesywała palcami. Joanna siedziała w skarpetkach na klapie zamrażarki. Miała na sobie coś długiego i bezkształtnego jak sukienka ciążowa, a pod spodem koszulę. Marianne opierała się o pralkę; wydobyla z kieszeni piersiówkę z dzinem. Peggy i Joanna rozmawiały o modzie męskiej, a w szczególności o stylu swoich kolegów. Marianne tylko tam stała, pozwalając, by pralka podtrzymywała ciężar jej ciała. Przelewała w ustach dzin, słuchała swoich przyjaciółek i było jej dobrze.

Zarówno Peggy, jak i Joanna studiują razem z Marianne historię i nauki polityczne. Joanna planuje już pracę licencjacką na temat Jamesa Connolly'ego¹ i Irlandzkiego Kongresu Związków Zawodowych. Wiecznie poleca jakieś książki czy artykuły, które Marianne czyta lub przegląda albo tylko zapoznaje się z ich streszczeniami. Ludzie postrzegają Joannę jako osobę poważną, taką zresztą jest, potrafi jednak być bardzo zabawna. Poczucie humoru Joanny tak naprawdę nie „działa” na Peggy, ponieważ charyzma Peggy ma raczej związek z erotyką niż z komizmem i jest

onieśmielająca. Na imprezie przed Bożym Narodzeniem Peggy poczęstowała Marianne kreską kokainy w łazience ich kumpla Declana i Marianne wciągnęła ją, a jakże, w każdym razie większą jej część. Narkotyk nie wpłynął w znaczący sposób na jej nastrój, jedynie przez kilka następnych dni myśli o tym, że wciągnęła kokę, na przemian ją bawiła i przyprawiała o poczucie winy. Nie powiedziała o tym Joannie. Wie, że tamta odniosłaby się do takiego zachowania z dezaprobatą, bo sama Marianne go nie aprobuje, ale różnica między nimi polega na tym, że gdy Joanna czegoś nie pochwała, nie sprzeniewierza się swoim zasadom i tego nie robi.

Joanna chce pracować jako dziennikarka, Peggy natomiast najwyraźniej w ogóle nie zamierza pracować. Jak dotąd nie stanowiło to dla niej problemu, spotyka się bowiem z mnóstwem mężczyzn, którzy chętnie finansują jej potrzeby, kupując jej torebki i drogie narkotyki. Gustuje w nieco starszych od siebie facetach zatrudnionych w bankach inwestycyjnych i firmach księgowych, dwudziestosiedmiolatkach z kupą szmalu i narzeczonymi, rozsądnymi prawniczkami. Joanna spytała raz Peggy, czy kiedykolwiek myślała o tym, że sama kiedyś może być dwudziestosiedmiolatką, której chłopak będzie całą noc poza domem, wciągając kokainę z młodszą panienką. Peggy nie poczuła się w najmniejszym stopniu urażona, uważała, że to naprawdę zabawne. Stwierdziła, że wtedy już i tak wyjdzie za rosyjskiego oligarchę i nie będzie jej obchodzić, ile dziewczyn mąż ma na boku. Marianne pod wpływem tej rozmowy zaczyna się zastanawiać, co sama będzie robić po studiach. Chyba żadna ścieżka nie jest dla niej definitywnie zamknięta, nawet ścieżka ślubu z oligarchą. Gdy wychodzi wieczorami, mężczyźni wykrzykują do niej na ulicy najbardziej szokująco wulgarne rzeczy, w sposób oczywisty więc nie wstydzą się tego, że im się podoba, wręcz przeciwnie. Na uczelni zaś często odnosi wrażenie, że nie ma żadnych ograniczeń dla tego, czego jest w stanie dokonać jej mózg, potrafi zsyntetyzować wszystko, co do niego wrzuca, zupełnie jakby miała w głowie jakąś potężną maszynę. Naprawdę wszystko doskonale się układa. Ale nie ma pojęcia, co zrobi ze swoim życiem.

W szopie Peggy zapytała, gdzie jest Connell.

Na górze – odpowiedziała Marianne. – Chyba z Teresą.

Connell spotykał się niezobowiązująco z ich koleżanką o imieniu Teresa. Marianne właściwie to nie przeszkadza, łapie się jednak na tym, że często namawia Connella, by bez żadnego powodu powiedział o niej coś krytycznego, na co on nigdy się nie godzi.

Connell fajnie się ubiera – stwierdziła niepytana Joanna.

Nie powiedziałabym – odparła Peggy. – To znaczy ma swój styl, ale najczęściej chodzi w dresie. Wątpię, żeby w ogóle miał garnitur.

Joanna spróbowała raz jeszcze nawiązać kontakt wzrokowy z Marianne i tym razem jej się udało. Peggy, przyglądając im się, pociągnęła teatralnie wielki łyk cointreau i wytarła usta ręką, w której trzymała butelkę.

Co? – zapytała.

No ale on nie pochodzi przypadkiem z dosyć ubogiej robotniczej rodziny? – spytała Joanna.

To już nadwrażliwość – zirytowała się Peggy. – Nie mogę skrytykować czyjegoś stylu ze względu na jego status społeczno-ekonomiczny? Weź przestań.

Nie, nie to miała na myśli – powiedziała Marianne.

Przecież wiecie, że jesteśmy wszyscy dla niego naprawdę bardzo mili – kontynuowała Peggy.

Marianne zauważyła, że nie jest w stanie spojrzeć na żadną ze swoich przyjaciółek. Kim są „my”? – chciała zapytać. Wzięła natomiast butelkę cointreau z ręki Peggy i wypila dwa łyki ciepłego i obrzydliwie słodkiego alkoholu.

Około drugiej w nocy, gdy już była zalana w sztok i dała się namówić Peggy na wspólne wypalenie w łazience skręta, ujrzała na podeście drugiego piętra Connella. Nie było tam nikogo innego.

Hej – rzucił.

Oparła się o ścianę, pijana i spragniona jego zainteresowania. Stał na szczycie schodów.

Przepadłeś gdzieś z Teresą – powiedziała.

Naprawdę? – odparł. – To interesujące. Chyba nie bardzo już kontaktujesz, co?

Pachniesz perfumami.

Teresy tu nie ma – oznajmił Connell. – Mam na myśli: nie ma jej na tej imprezie.

Marianne roześmiała się. Poczula się głupio, ale w pozytywnym sensie. Podejdz tu – poprosiła. Podeszedł i stanął tuż przed nią.

Co? – spytał.

Podoba ci się bardziej niż ja?

Odgarnął jej kosmyk włosów za ucho.

Nie – odpowiedział. – Szczerze powiedziawszy, nie znam jej zbyt dobrze.

Ale czy jest lepsza w łóżku?

Upiłaś się, Marianne. Na trzeźwo nawet nie chciałabyś usłyszeć odpowiedzi na to pytanie.

A więc nie jest to odpowiedź, jakiej bym chciała – stwierdziła.

Prowadziła z nim ten dialog w sposób z grubsza składny, jednocześnie próbując rozpiąć mu jeden z guzików koszuli, nawet nie w zmysłowy sposób, ale tylko dlatego, że była pijana i upalona. Nie udało jej się w pełni rozpiąć tego guzika.

Nie, oczywiście, że to jest odpowiedź, jakiej byś chciała – rzekł.

Wtedy go pocałowała. Nie wzdrygnął się przerażony, ale dosyć stanowczo się od niej odsunął i powiedział:

Nie, daj spokój.

Chodźmy na górę – zaproponowała.

Aha. Już jesteśmy na górze.

Chcę, żebyś mnie zerznął.

Zrobił groźną minę, pod której wpływem Marianne, gdyby była trzeźwa, udałaby, że tylko żartowała.

Nie dzisiaj – powiedział. – Jesteś zalana.

To jedyny powód?

Spojrzał na nią. Powstrzymała komentarz, który w sobie nosiła, o kształcie jego ust, jaki jest idealny, bo chciała usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

Tak – odparł. – Jedyny.

A więc w innym przypadku byś to zrobił?

Powinnaś się położyć.

Dam ci narkotyki.

Marianne, ty nawet... ty nawet nie masz narkotyków. I gdyby to był jedyny problem z tym, co mówisz. Idź się położyć.

Pocałuj mnie tylko.

Pocałował ją. Był to przyjemny pocałunek, ale przyjacielski. Pożegnał się z nią i lekkim krokiem zszedł na dół. Jego szczupłe, trzeźwe ciało poruszało się w linii prostej. Marianne odszukała łazienkę, gdzie piła wodę z kranu dotąd, aż przestała ją boleć głowa, a potem zasnęła na podłodze. Tam właśnie obudziła się przed dwudziestoma minutami, gdy Connell poprosił jedną z dziewczyn, żeby ją odnalazła.

Teraz Connell skacze po stacjach radiowych, gdy czekają na światłach. Znajduje piosenkę Vana Morrisona i zostawia ją.

W każdym razie chcę przeprosić – mówi znowu Marianne. – Nie próbowałam narobić kwasu między tobą a Teresą.

Ona nie jest moją dziewczyną.

Okej. Ale mogła uciepnieć na tym nasza przyjaźń.

Nie wiedziałem, że się przyjaźnicie – mówi Connell.

Mam na myśli moją przyjaźń z tobą.

Connell przenosi na nią wzrok. Marianne zaciska ręce wokół kolan i wbija podbródek w ramię. Ostatnio widują się z Connellem często. W Dublinie mogą przemierzać razem długie, majestatyczne ulice pewni, że nikt, kogo mijają, ich nie zna ani nie jest nimi zainteresowany. Marianne mieszka sama w dwupokojowym mieszkaniu należącym do jej babci i wieczorami siedzą z Connellem w salonie i piją razem wino. Connell narzeka, najwyraźniej bez żadnych oporów, na to, jak trudno w Trinity zawiera się znajomości. Któregoś dnia leżał na jej sofie i powiedział, kręcąc resztkami wina w kieliszku:

Ludzie są tutaj strasznymi snobami. Nawet gdyby mnie lubili, szczerze mówiąc, nie chciałbym się z nimi przyjaźnić.

Odstawił kieliszek i spojrzał na Marianne.

Dlatego tobie jest tak łatwo, nawiasem mówiąc – dodał. – Pochodzisz z bogatej rodziny, więc wszyscy cię lubią.

Marianne zmarszczyła brwi i pokiwała głową, a wtedy Connell zaczął się śmiać.

Nabijam się tylko – rzucił.

Ich spojrzenia się spotkały. Marianne chciała się roześmiać, ale nie wiedziała, czy Connell na pewno z niej żartuje.

Zawsze pojawia się na jej imprezach, chociaż mówi, że nie rozumie właściwie jej przyjaciół. Przyjaciółki Marianne bardzo go lubią i z jakiegoś powodu zachowują się przy nim niezwykle swobodnie, siadają mu na kolanach podczas rozmów i czule mierzwią mu włosy. Panowie jeszcze się do niego tak bardzo nie przekonali. Tolerują go ze względu na jego relację z Marianne, jego samego nie uważa się jednak za kogoś szczególnie interesującego.

Nie jest nawet zbyt inteligentny! – zawołał jeden z jej kolegów pewnego wieczoru, gdy Connella z nimi nie było.

Jest bardziej inteligentny ode mnie – oświadczyła Marianne.

Nikt nie wiedział, co na to odpowiedzieć. To prawda, że Connell na imprezach jest małomówny, nawet uparcie milkliwy, i nie jest zainteresowany popisywaniem się tym, ile przeczytał książek i o ilu wie wojnach. Marianne jednak zdaje sobie sprawę, w głębi duszy, że nie dlatego ludzie uważają go za głupiego.

Jak to mogło zaszkodzić naszej przyjaźni? – pyta teraz.

Myślę, że trudno byłoby pozostać przyjaciółmi, gdybyśmy zaczęli ze sobą sypiać.

Connell uśmiecha się demonicznie. Zdezorientowana ukrywa twarz pod ramieniem.

Naprawdę? – pyta Connell.

Sama nie wiem.

Aha, w porządku.

Pewnego wieczoru w suterenie baru Bruxelles dwóch kolegów Marianne grało nieporadnie w bilard, gdy pozostali siedzieli dookoła, popijając i przyglądając się grze. Po swojej wygranej Jamie oznajmił:

Kto chce się zmierzyć z mistrzem?

I wtedy Connell spokojnie odstawił piwo i powiedział:

Dobra, ja.

Jamie rozbił bile, ale nie zaliczył żadnego trafienia. Nie biorąc udziału w toczących się rozmowach, Connell wbił do łuz cztery żółte bile z rzędu. Marianne zaczęła się śmiać, ale twarz Connella niczego nie wyrażała, jedynie skupienie. W krótkiej przerwie po swojej kolejce pił w milczeniu i patrzył, jak Jamie wybija czerwoną kulę poza bandę. Potem Connell energicznie natarł kredą kij i ponownie zaczął wbijać do łuz ostatnie żółte bile. Było coś niebywale satysfakcjonującego w sposobie, w jaki obserwował stół i przygotowywał się do uderzeń, w cichym pocałunku kredy z gładką powierzchnią bili. Wszystkie dziewczyny siedziały dookoła i przyglądały mu się, jak rozgrywa kule, jak pochyła się nad stołem z surowym, milczącym obliczem oświetlonym podsufitową lampą.

Jakby się oglądało tę słynną reklamę diet coke – skomentowała Marianne. Wszyscy się roześmiali, nawet Connell. Gdy została już tylko czarna bila, wskazał górną prawą łuzę i zwrócił się do Marianne, co sprawiło jej ogromną przyjemność:

Dobra, Marianne, teraz patrz.

Zaliczył trafienie. Wszyscy zaczęli bić brawo.

Tamtej nocy, zamiast wrócić pieszo do domu, Connell poszedł do niej. Leżeli w łóżku, wpatrując się w sufit, i rozmawiali. Do tej pory unikali rozmów o tym, co się między nimi wydarzyło w minionym roku, tej nocy jednak Connell zapytał:

Twoi znajomi wiedzą o nas?

Marianne znieruchomiała.

Co o nas? – spytała w końcu.

O tym, co się stało w szkole, i tak dalej.

Nie sędzę. Może coś słyszeli, ale ja nic im nie mówiłam.

Przez kilka sekund Connell się nie odzywał. Marianne umiała czytać z jego milczenia w ciemności.

Byłabyś zawstydzona, gdyby się dowiedzieli? – spytał.

Pod pewnymi względami tak.

Przekreślił się wtedy, toteż nie patrzył już na sufit, tylko był odwrócony twarzą do niej.

Dlaczego? – spytał.

Bo to było upokarzające.

Chcesz powiedzieć: to, jak cię potraktowałem?

No tak – odparła. – I samo to, że się na takie traktowanie godziłam.

Ostrożnie wymacał jej dłoń pod kołdrą i Marianne pozwoliła mu ją trzymać. Przez jej twarz przebiegł dreszcz i starała się, żeby głos brzmiał lekko i żartobliwie.

Myślałeś w ogóle o tym, żeby mnie zabrać na bal? – spytała. – To takie głupie, ale jestem ciekawa, czy o tym pomyślałeś.

Mówiąc szczerze, nie. Teraz tego żałuję.

Pokiwała głową. Cały czas wpatrywała się w czarny sufit, przełykając ślinę i martwiąc się, że Connell może dostrzec wyraz jej twarzy.

Zgodziłabyś się ze mną pójść? – spytał.

Znowu kiwnęła głową. Próbowwała przewrócić oczami, co wydało jej się idiotyczne i żałosne, nie zabawne.

Naprawdę jest mi przykro – powiedział. – Zachowałem się podle. I wiesz, podobno ludzie z naszej szkoły i tak coś tam o nas wiedzieli. Nie wiem, czy o tym słyszałaś.

Oparła się na łokciu i wbijała w niego wzrok w ciemności.

Co wiedzieli? – spytała.

Że się spotykaliśmy i tak dalej.

Nikomu nie mówiłam, przysięgam.

Nawet w ciemności widziała, że się skrzywił.

Jasne, że nie – rzekł. – Chodzi mi raczej o to, że nawet gdybyś powiedziała, nie miałoby to znaczenia. Ale wiem, że tego nie zrobiłaś.

Strasznie się z ciebie nabijali?

Nie, nie. Eric wspomniał tylko na balu maturalnym, że inni wiedzieli. Tak naprawdę nikogo to nie obchodziło.

Znowu zapadła między nimi krótka chwila milczenia.

Mam wyrzuty sumienia w związku z tym wszystkim, co ci wtedy powiedziałem – dodał Connell. – O tym, jak straszne by to było, gdyby ktoś się dowiedział. Oczywiście problem tkwił głównie w mojej głowie. No bo nie było powodu, żeby komukolwiek to przeszkadzało. Tylko że ja strasznie się stresuję tymi rzeczami. Nie żebym chciał się usprawiedliwiać, ale myślę, że część swoich lęków

utożsamilem z tobą, jeśli to ma jakiś sens. Nie wiem. Wciąż dużo myślę o tym, dlaczego zachowywałem się w tak kretyński sposób.

Uścisnęła jego dłoń, a on odpowiedział tym samym, tak mocno, że niemal ją zabołało, i ten drobny gest desperacji z jego strony sprawił, że się uśmiechnęła.

Wybaczam ci – powiedziała.

Dziękuję. Myślę, że czegoś się dzięki temu nauczyłem. I mam nadzieję, że teraz jestem już inny, no, wiesz, jako osoba. Ale szczerze mówiąc, jeśli rzeczywiście, to tylko dzięki tobie.

Nie przestawali się trzymać pod kołdrą za ręce nawet wtedy, gdy zasnęli.

Gdy dojeżdżają teraz do jej mieszkania, Marianne pyta go, czy chce wejść. Connell mówi, że jest głodny, a ona na to, że w lodówce będzie coś na śniadanie. Razem wchodzi na górę. Connell zagląda do lodówki, ona natomiast idzie wziąć prysznic. Rozbiera się, puszcza wodę, odkręcając kurek do końca, i kąpie się przez prawie dwadzieścia minut. Wreszcie czuje się lepiej. Gdy wychodzi z łazienki owinięta w biały szlafrok, z osuszonymi ręcznikiem włosami, Connell jest już po posiłku. Ma przed sobą pusty talerz i sprawdza skrzynkę mailową. W kuchni unosi się zapach kawy i smażenia. Marianne podchodzi do niego i Connell wyciera usta wierzchem dłoni, jak gdyby nagle się spieszył. Marianne staje przy jego krześle, a on, spoglądając na nią, rozplątuje pasek jej szlafroka. Minął prawie rok. Ustami dotyka jej skóry i Marianne czuje się święta, jak sanktuarium.

Chodź do łóżka – mówi i Connell idzie z nią.

Po wszystkim Marianne włącza suszarkę, a on idzie pod prysznic. Potem Marianne znowu się kładzie, wsłuchując się w szum rur. Uśmiecha się. Gdy Connell wychodzi z łazienki, kładzie się obok niej. Leżą przodem do siebie, Connell ją pieści. Mmm, mruczy Marianne. Znowu się kochają, nie mówiąc zbyt wiele. Po zbliżeniu Marianne ogarnia błoga senność. On całuje jej zamknięte powieki.

Z innymi jest inaczej – mówi ona.

Tak – potwierdza Connell. – Wiem.

Marianne wyczuwa, że są rzeczy, których on jej nie wyjawia. Nie potrafi stwierdzić, czy zataja przed nią chęć oddalenia się od niej, czy chęć, by w jakiś sposób bardziej się przed nią odsłonić. Connell całuje jej szyję. Powieki Marianne stają się coraz cięższe.

Myślę, że będzie dobrze – oznajmia Connell.

Marianne nie wie lub nie pamięta, o czym Connell mówi. Zasypia.

Dwa miesiące później (kwiecień 2012)

Wrócił właśnie z biblioteki. U Marianne są goście, ale gdy się pojawia, wychodzą, zabierając kurtki z wieszaków w przedpokoju. Zostaje tylko Peggy, która wciąż siedzi przy stole, nalewając do olbrzymiego kieliszka resztki z butelki różowego wina. Marianne wyciera wilgotną szmatką blat. Okno nad kuchennym zlewem ukazuje podłużny prostokąt nieba w kolorze niebieskich dżinsów. Gdy Connell siada przy stole, Marianne wyciąga z lodówki piwo i otwiera je. Na pytanie, czy jest głodny, Connell odpowiada przecząco. Na dworze jest ciepło i zimna butelka przyjemnie go chłodzi. Wkrótce zaczynają się egzaminy i Connell przesiaduje teraz zwykle w czytelnicy do momentu, aż obwieszcza się dzwonkiem, że biblioteka kończy pracę.

Mogę was o coś zapytać? – odzywa się Peggy.

Connell widzi, że jest pijana i że Marianne chciałaby, żeby sobie poszła. On też chciałby, żeby sobie poszła.

Jasne – odpowiada Marianne.

Wy sypiacie ze sobą, co nie? – mówi Peggy. – W sensie: pieprzycie się, nie?

Connell nic nie mówi. Przesuwa kciukiem po etykiecie na butelce piwa, szukając rogu, który da się odkleić. Nie ma pojęcia, co wymyśli Marianne: coś zabawnego, co rozśmieszy Peggy i sprawi, że zapomni o swoim pytaniu. Tymczasem niespodziewanie Marianne odpowiada:

No tak.

Connell zaczyna się do siebie uśmiechać. Róg etykiety pod kciukiem odchodzi od szkła.

Peggy się śmieje.

Okej – mówi. – Dobrze wiedzieć. A tak przy okazji, wszyscy spekulują.

No tak – powtarza Marianne. – Ale dla nas to nic nowego, już w szkole sypialiśmy ze sobą.

O, serio? – dziwi się Peggy.

Marianne nalewa sobie wody. Gdy odwraca się ze szklanką w rękę, zerka na Connella.

Nie masz nic przeciwko temu, mam nadzieję, że o tym mówię?

Connell wzrusza ramionami, ale uśmiecha się do niej, a ona uśmiecha się w odpowiedzi. Nie afiszują się ze swoim związkiem, ale jego przyjaciele wiedzą. Connell nie lubi manifestować swoich uczuć publicznie, to wszystko. Marianne zapytała go kiedyś, czy się jej „wstydzi”, ale tylko żartowała.

To zabawne – powiedział. – Niall uważa, że za bardzo się tobą przechwalam.

Ucieszyła się. Connell tak naprawdę się nią nie przechwala, chociaż Marianne jest bardzo lubiana i mnóstwo innych chłopaków chciałoby się z nią przespać. No, może od czasu do czasu Connell rzuci jakąś uwagę, ale zawsze coś w dobrym guście.

Jesteście właściwie bardzo fajną parą – stwierdza Peggy.

Dzięki – rzuca Connell.

Nie mówiłam, że jesteście parą – zauważa Marianne.

O – mówi Peggy. – Chcesz powiedzieć, że nie macie siebie na wyłączność? Super. Chciałam spróbować otwartego związku z Lorcanem, ale kategorycznie się sprzeciwił.

Marianne odsuwa krzesło od stołu i siada.

Faceci potrafią być zaborczy – mówi.

Wiem! – woła Peggy. – To szaleństwo. Można by pomyśleć, że na propozycję wielu partnerek zareagują entuzjastycznie.

Generalnie zauważam, że mężczyznom o wiele bardziej zależy na ograniczaniu wolności kobiet niż korzystaniu osobiście z własnej wolności – stwierdza Marianne.

To prawda? – Peggy zwraca się do Connella.

Ten spogląda na Marianne z nieznacznym skinieniem głowy, chcąc, żeby kontynuowała. Przekonał się z czasem, że Peggy jest potwornie gadatliwa i ciągle przerywa innym. Marianne ma koleżanki, które Connell lubi bardziej, one jednak nigdy nie zostają tak długo ani nie gadają aż tyle.

No bo jeśli się przyjrzeć życiu mężczyzn, można się zasmucić – kontynuuje Marianne. – Kontrolują cały system społeczny i to jest

najlepsze, co dla siebie wymyślili? Nawet nie mogą się dobrze zabawić.

Peggy parska śmiechem.

A ty się dobrze bawisz? – pyta Connella.

Hm – odpowiada. – Całkiem dobrze, powiedziałbym. Ale zgadzam się z tym twierdzeniem.

Wolałbyś żyć w matriarchacie? – pyta Peggy.

Trudno powiedzieć. Na pewno bym chciał spróbować, sprawdzić, jak to jest.

Peggy nie przestaje się śmiać, jak gdyby Connell był nieprawdopodobnie dowcipny.

Nie cieszysz się ze swojego uprzywilejowanego statusu samca?

Jak mówiła Marianne – odpowiada Connell. – Ten status wcale nie daje aż takiej frajdy. To znaczy jest jak jest, jakiejś szczególnej radochy z tego nie mam.

Peggy eksponuje zęby w uśmiechu.

Gdybym ja była facetem – mówi – miałbym co najmniej trzy dziewczyny.

Ostatni róg etykiety odchodzi od butelki Connella. Odkleja się łatwiej, gdy butelka jest bardzo zimna, bo skroplona para rozpuszcza klej. Connell odstawia piwo na stół i zaczyna składać etykietę w mały kwadrat. Peggy nie zamyka się buzia, ale słuchanie jej nie wydaje się ważne.

Ostatnio między nim a Marianne jest naprawdę dobrze. Wieczorami po zamknięciu biblioteki Connell idzie do jej mieszkania, czasem po drodze kupując coś do jedzenia lub butelkę wina za cztery euro. Gdy jest pogodnie, niebo wydaje się bardzo odległe, w tym bezmiarze powietrza i światła krążą wysoko ptaki. Jeśli pada deszcz, miasto zamyka się, kuli wśród mgieł; samochody poruszają się wolniej, ich reflektory świecą słabo, a mijane twarze są zaróżowione z zimna. Marianne gotuje kolację, spaghetti albo risotto, a potem on zmywa i sprząta kuchnię. Connell wymiata okruszki spod tosteru, a ona czyta mu twitterowe żarty. Później idą do łóżka. Connell lubi wchodzić w nią bardzo głęboko, powoli, aż jej oddech staje się głośny, gwałtowny i Marianne ściska jedną ręką

poszewkę poduszki. Jakże drobne wydaje się wtedy jej ciało, jakże otwarte.

Tak dobrze? – pyta ją. A ona kiwa głową i czasem uderza pięścią w poduszkę, pojękując cicho, gdy Connell się w niej porusza.

Rozmowy, które toczą się później, sprawiają Connellowi przyjemność, często przybierając niespodziewany obrót i skłaniając go do wyrażenia myśli, których świadomie nie formułował nigdy wcześniej. Rozmawiają o powieściach, które czyta on, badaniach, które studiuje ona, o historycznym momencie, w którym obecnie żyją, trudnościach wiążących się z obserwacją takiego momentu w czasie, gdy jeszcze trwa. Connell odnosi niekiedy wrażenie, że on i Marianne są jak tancerze figurowi na lodzie, improwizują swoje dysputy tak sprawnie i w tak idealnej synchronizacji, że ich to zaskakuje. Marianne z wdziękiem wybija się w górę i za każdym razem, nie wiedząc, jak tego dokona, on ją chwyta. Świadomość, że prawdopodobnie przed zaśnięciem znowu się będą kochać, przypuszczalnie czyni rozmowę przyjemniejszą i Connell podejrzewa, że intymny charakter tych rozmów, przeskakiwanie od kwestii intelektualnych do osobistych, także wpływa korzystnie na seks. W miniony piątek, gdy leżeli w łóżku po stosunku, Marianne powiedziała:

Było intensywnie, prawda?

Odpowiedział jej, że dla niego to zawsze dosyć intensywne doświadczenie.

Ale mam na myśli, że wręcz romantycznie – powiedziała Marianne. – Zdaje mi się, że w pewnym momencie zaczęłam coś do ciebie czuć.

Connell uśmiechnął się do sufitu.

Musisz po prostu tłumić w sobie te impulsy, Marianne – poradził. – Ja tak robię.

Marianne wie, jaki naprawdę jest jego stosunek do niej. Tylko dlatego, że w obecności jej przyjaciół staje się nieśmiały, nie znaczy, że nie łączy ich nic poważnego – bo łączy. Od czasu do czasu Connell martwi się, że nie wyraził się w tej kwestii dostatecznie jasno, i pozwoliwszy, by to zmartwienie narastało w nim przez mniej więcej jeden dzień, kiedy to zastanawia się, jak poruszyć

temat, w końcu palnie coś głupawego w stylu: Wiesz, że naprawdę cię lubię, prawda? I z jakiegoś powodu w jego tonie brzmi wtedy niemal złość, a Marianne tylko się śmieje. Mogłaby przebierać w partnerach, chętnych jest wielu, o czym wszyscy wiedzą. Studenci nauk politycznych, którzy zjawiają się na jej imprezach z butelkami szampana i anegdotami o lecie spędzonym w Indiach. Członkowie klubowych komitetów, bardzo często ubrani w smokingi, którzy z niewyjaśnionych powodów wierzą, że wewnętrzne mechanizmy rządzące klubami studenckimi interesują normalnych ludzi. Faceci, którzy mają w zwyczaju podczas rozmów jakby od niechcienia dotykać Marianne, poprawiać jej włosy lub kłaść jej ręce na plecach. Raz, gdy się niemądrze spił, Connell spytał Marianne, dlaczego oni muszą jej ciągle dotykać, a ona odparła wtedy:

Ty nie chcesz mnie dotykać i nikomu innemu też nie wolno tego robić?

Po tej odpowiedzi wpadł w straszny nastrój.

Nie jeździ już do domu na weekendy, bo ich przyjaciółka Sophie załatwiła mu nową pracę w restauracji swojego ojca. Connell w weekendy siedzi tylko w biurze na piętrze, gdzie odpisuje na e-maile i zapisuje rezerwacje w wielkiej, oprawionej w skórę księdze. Czasem goszczą tam celebryci, na przykład ktoś z telewizji RTE, tego typu „gwiazdy”, ale przez większość wieczorów w tygodniu lokal świeci pustkami. Dla Connella jest oczywiste, że interes przynosi straty i wkrótce będzie musiał się zamknąć, ale pracę zdobył tak łatwo, że nie jest w stanie rozbudzić w sobie prawdziwego niepokoju w związku z tą perspektywą. Jeśli zostanie bez roboty, a raczej kiedy to się stanie, jakaś inna zaprzyjaźniona z Marianne bogata osoba po prostu znajdzie mu coś innego. Bogaci ludzie pomagają sobie wzajemnie, a jako najlepszy przyjaciel Marianne i jej domniemany partner seksualny Connell osiągnął status osoby blisko związanej z elitą: kogoś, dla kogo wyprawia się urodzinowe przyjęcia niespodzianki i zdobywa na zawołanie ciepłe posadki.

Pod koniec semestru Connell musiał przygotować na zajęcia prezentację na temat *Śmierci Artura Thomasa Malory’ego*; gdy przemawiał, trzęsły mu się ręce i nie był w stanie podnieść znad

kartek wzroku, by sprawdzić, czy ktoś go w ogóle słucha. Głos kilka razy mu się załamał i Connell miał wrażenie, że gdyby nie siedział, osunąłby się na podłogę. Dopiero później usłyszał, że jego prezentację uznano za świetną. Ktoś z grupy lekceważącym tonem nazwał go później „geniuszem”, jak gdyby geniusze byli z lekka niemoralni. Ogólnie wiadomo na roku, że Connell dostał najwyższe oceny ze wszystkich zaliczeń oprócz jednego, i Connellowi sprawia przyjemność, gdy uważa się go za osobę inteligentną, choćby dlatego, że jego interakcje z innymi ludźmi stają się wtedy bardziej czytelne. Lubi, gdy ktoś usiłuje sobie przypomnieć tytuł książki lub nazwisko autora, a on może im je bez trudu podsunąć, nie żeby się popisać, po prostu je pamięta. Lubi, kiedy Marianne mówi swoim znajomym – ludziom, których ojcowie są sędziami lub ministrami i którzy chodzili do zawrotnie drogich szkół – że Connell jest najinteligentniejszą osobą, jaką oni „kiedykolwiek poznają”.

Connell, a ty co o tym sądzisz? – pyta Peggy.

Wyłączył się i może tylko rzucić w odpowiedzi:

Co?

Kusi cię idea wielu partnerek? – pyta.

Spogląda na nią. Jej brwi unoszą się pytająco.

Hm – mruczy. – Nie wiem. O co dokładnie pytasz?

Nie fantazjujesz o własnym haremie? – pyta Peggy. – Myślałam, że to wśród facetów powszechna sprawa.

Ach, to. Nie, niezupełnie.

Więc może tylko dwie – dodaje Peggy.

Dwie co, dwie kobiety?

Peggy zerka na Marianne i wydaje z siebie figlarny chichot. Marianne spokojnie sący swoją wodę.

Bo my możemy, gdybyś chciał – oznajmia Peggy.

Czekaj, przepraszam – mówi Connell. – Co możemy?

No, trójką czy coś takiego – odpowiada. – Jak zwał, tak zwał.

Aaa – mówi. I śmieje się z własnej niedomyślności. – Już wiem – dodaje. – Sorry. – Znowu składa etykietę, nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć. – Nie załapałem.

Nie mógłby. Nie chodzi o to, że nie wie, czy miałby ochotę na trójkąt, po prostu nie byłby w stanie. Z jakiegoś powodu, i sam tego nie potrafiłby sobie wyjaśnić, uważa, że pewnie mógłby przelecieć Peggy na oczach Marianne, chociaż czułby się nieswojo i niekoniecznie by mu się to podobało. Nie mógłby natomiast, i jest tego pewien już teraz, zrobić czegokolwiek z Marianne, gdyby Peggy ich obserwowała, Peggy lub którakolwiek z jej przyjaciółek, w ogóle ktokolwiek. Czuje się zawstydzony i skołowany na samą myśl o tym. Jest to coś, czego w sobie nie rozumie. Zburzenie intymności między nim a Marianne przez Peggy lub kogoś innego coś by w nim zniszczyło, część jego ja, która najwyraźniej nie ma żadnej nazwy i której nigdy wcześniej nie próbował określić. Raz jeszcze składa wilgotną etykietę, teraz więc jest już bardzo mała i zbita.

Hm – mówi.

O nie – mówi Marianne. – Jestem na to zbyt nieśmiała. Chybabym umarła.

Naprawdę? – pyta Peggy. Wypowiada to słowo przyjemnym, zaciekawionym tonem, jakby równie chętnie rozmawiała o nieśmiałości Marianne, co brała udział w seksie grupowym. Connell stara się nie okazywać ulgi, jaką czuje.

Mam różne kompleksy – przyznaje Marianne. – Jestem bardzo neurotyczna.

Peggy chwali urodę Marianne w rutynowy, kobiecy sposób i pyta, z czego wynikają jej zahamowania.

Marianne skubie dolną wargę, a potem mówi:

Cóż, wydaje mi się, że nie wzbudzam sympatii. Wydaje mi się, że mam pewnego rodzaju antypatyczną... mam w sobie jakiś chłód, nie jestem miła.

Gestykułuje jedną ze swych długich, cienkich rąk, jak gdyby tylko ocierała się o sens tego, co chce powiedzieć.

Nie chce mi się wierzyć – mówi Peggy. – Czy ona jest wobec ciebie zimna?

Connell odchrząkuje i mówi:

Nie.

Peggy i Marianne kontynuują rozmowę, on zaś nerwowo zwija w palcach złożoną etykietę.

Wcześniej w tym tygodniu Marianne wyjechała na kilka dni do domu, a gdy wróciła do Dublina wczoraj wieczorem, wydawała się milcząca. Obejrzelі razem u niej *Parasolki z Cherbourg*a. Pod koniec filmu Marianne płakała, ale odwróciła twarz, żeby nie pokazać łez. To zaniepokoiło Connella. Film miał dosyć smutne zakończenie, ale żeby aż płakać? Tego nie rozumiał.

Wszystko w porządku? – spytał.

Marianne pokiwała głową, wciąż z odwróconą twarzą, tak że widział napięte ścięgno na jej białej szyi.

Hej – powiedział. – Martwisz się czymś?

Pokręciła głową, ale nie odwróciła się. Poszedł zaparzyć jej herbatę i gdy przyniósł ją do pokoju, Marianne przestała już płakać. Dotknął jej włosów i Marianne uśmiechnęła się słabo. Bohaterka filmu nieoczekiwanie zaszła w ciążę i Connell próbował sobie teraz przypomnieć, kiedy Marianne miała ostatnio okres. Im dłużej o tym myślał, tym dłuższa wydawała mu się przerwa. W końcu spanikował i zapytał:

Hej, chyba nie jesteś w ciąży, co?

Marianne roześmiała się. To go uspokoiło.

Nie, zaczął mi się okres.

Okej. To dobrze.

A co byś zrobił, gdybym była?

Uśmiechnął się i wciągnął powietrze przez usta.

To by zależało od tego, co ty byś chciała zrobić – odpowiedział.

Korciłoby mnie, żeby je zatrzymać, przyznaję. Ale nie martw się, nie zrobiłabym ci tego.

Naprawdę? Dlaczego by cię korciło? Przepraszam, jeśli to niedelikatne pytanie.

Nie wiem – odparła. – W pewnym sensie pociągałaby mnie myśl, że przytrafia mi się coś tak dramatycznego. Chciałabym zburzyć oczekiwania innych ludzi. Myślisz, że byłabym złą matką?

Nie, byłabyś świetna, to oczywiste. Jesteś świetna we wszystkim, co robisz.

Uśmiechnęła się.

Nie musiałbyś się angażować – dodała.

Cóż, bez względu na twoją decyzję pomagałbym ci.

Nie wiedział, dlaczego powiedział coś takiego, w końcu nie miał prawie żadnej nadwyżki dochodów i żadnych perspektyw na takową. Po prostu wypadało powiedzieć coś w tym rodzaju, to wszystko. Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiał. Marianne wydawała się tego typu osobą, która sama umówiłaby się na zabieg i najwyżej poleciałby z nią razem samolotem.

Wyobraź sobie, co by mówili w Carricklea – powiedziała.

O tak. Lorraine nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Marianne podniosła szybko wzrok i zapytała:

A co, nie lubi mnie?

Przeciwnie, uwielbia. Nie wybaczyłaby mi, że ci to zrobiłem. Ona bardzo cię lubi, nie martw się. Wiesz o tym. Uważa, że na ciebie nie zasługuję.

Marianne znowu się uśmiechnęła, a potem dotknęła jego twarzy. Podobało mu się to, więc przysunął się do niej trochę i muskał wewnętrzną stronę jej nadgarstka.

A twoja rodzina? – spytał. – Oni też pewnie nigdy by mi nie wybaczyli.

Wzruszyła ramionami i opuściła rękę, kładąc ją z powrotem na kolanach.

Wiedzą o tym, że się teraz widzimy?

Pokręciła głową. Odwróciła wzrok, przytknęła dłoń do policzka.

Nie żebyś musiała im mówić – dodał. – Pewnie i tak by mnie nie zaakceptowali. Prawdopodobnie chcieliby, żebyś się spotykała z lekarzem, prawnikiem albo kimś takim, prawda?

Nie sądzę, żeby ich specjalnie obchodziło, co robię.

Na chwilę zasłoniła twarz dłońmi, a potem potarła energicznie nos i wciągnęła powietrze. Connell wiedział, że stosunki Marianne z rodziną są napięte. Zdał sobie z tego sprawę po raz pierwszy, gdy chodzili jeszcze do szkoły, i nie wydawało mu się to dziwne, bo stosunki Marianne ze wszystkimi były wtedy napięte. Jej brat Alan był kilka lat starszy i miał, jak to nazywała Lorraine, „słaby charakter”. Szczerze mówiąc, trudno było sobie wyobrazić, że miałby jakiegokolwiek szanse w starciu z Marianne. Teraz jednak oboje są dorośli, ona rzadko jeździ do domu, a gdy już pojedzie,

wraca w takim stanie, nieobecna i zasepiona, i mówi, że znowu się kłóciła z rodziną. Nie chce o tym rozmawiać.

Znowu się z nimi poprztykałaś, co? – spytał Connell.

Kiwnęła głową.

Nie przepadają za mną – powiedziała.

Wiem, że prawdopodobnie takie odnosisz wrażenie – rzekł. – Ale koniec końców to twoja rodzina, kochają cię.

Marianne nic nie powiedziała. Nie kiwnęła ani nie pokręciła głową, siedziała tylko nieruchomo. Niedługo potem się położyli. Dokuczały jej skurcze i powiedziała, że seks może być dla niej bolesny, więc doprowadził ją do orgazmu samymi pieszczotami. Poprawił jej się nastrój i pomrukując błogo, powiedziała:

Boże, ale to było przyjemne.

Connell wstał i poszedł umyć ręce w przyległej łazience, niewielkim pomieszczeniu wyłożonym różowymi kafelkami, z rośliną doniczkową w kącie i z rozstawionymi wszędzie słoiczkami kremów do twarzy oraz perfumami. Obmywając dłonie pod kranem, spytał Marianne, czy czuje się lepiej. Z łóżka dobiegła odpowiedź:

Czuję się cudownie, dziękuję.

W lustrze zauważył, że na dolnej wardze ma odrobinę krwi. Pewnie przez przypadek przytknął tam rękę. Starł ją wilgotnym knykiem, a Marianne z drugiego pokoju zawołała:

Wyobraź sobie, jaka będę załamana, gdy poznasz kogoś innego i się zakochasz.

Często rzuca tego rodzaju żarciki. Connell wytarł dłonie i zgasił światło w łazience.

Nie wiem – powiedział. – Z mojego punktu widzenia mamy całkiem dobry układ.

Cóż, staram się, jak mogę.

Położył się obok niej i pocałował ją w twarz. Wcześniej, po obejrzeniu filmu, była smutna, teraz jednak czuła się szczęśliwa. Connell miał moc uszczęśliwiania jej. Było to coś, co mógł jej po prostu dać, jak pieniądze lub seks. W towarzystwie wydawała się niezależna i zdystansowana, natomiast przy Connellu była kimś innym. Była inną osobą. On jeden znał ją właśnie taką.

W końcu Peggy dopija wino i wychodzi. Connell siedzi przy stole, gdy Marianne ją odprowadza. Drzwi zewnętrzne zamykają się i Marianne ponownie wchodzi do kuchni. Płucze szklanę po wodzie i odstawia ją do góry dnem na suszarkę. Connell czeka, aż na niego spojrzy.

Uratowałaś mi życie – mówi.

Marianne odwraca się uśmiechnięta i odwija rękawy.

Mnie też by się to nie podobało – mówi. – Zgodziłabym się, gdybyś miał ochotę, widziałam jednak, że nie.

Spogląda na nią. Nie przestaje się w nią wpatrywać, aż Marianne pyta:

Co?

Nie powinnaś robić rzeczy, na które nie masz ochoty – mówi.

Och, nie to miałam na myśli.

Wyrzuca ręce do góry, jakby sprawa była zupełnie nieistotna. W sensie bezpośrednim Connell rozumie, że taka jest. Próbuje złagodzić ton, bo w końcu nie jest na nią zły.

W każdym razie była to dobra interwencja z twojej strony – mówi. – Świetnie znasz moje upodobania.

Staram się.

O tak, na pewno. Chodź tu.

Marianne podchodzi i siada obok niego, a on dotyka jej policzka. Ni stąd, ni zowąd przeszywa go straszliwe poczucie, że mógłby uderzyć ją w twarz, nawet bardzo mocno, a ona by tylko tam siedziała, nie protestując. Ta myśl przeraża go tak bardzo, że odsuwa krzesło i wstaje. Trzęsą mu się ręce. Nie wie, skąd ta myśl przyszła mu do głowy. Może chce to zrobić. Jest mu niedobrze.

Co się dzieje? – pyta Marianne.

Connell czuje teraz mrowienie w palcach i nie może normalnie oddychać.

Och, nie wiem – odpowiada. – Nie wiem, przepraszam.

Zrobiłam coś nie tak?

Nie, nie. Przepraszam. Miałem dziwną... Dziwnie się czuję. Nie wiem.

Marianne nie wstaje z krzesła. Ale zrobiłaby to, gdyby kazał jej wstać, prawda? Serce dudni mu teraz w piersi i kręci mu się

w głowie.

Źle się czujesz? – pyta Marianne. – Strasznie pobladłeś.

Słuchaj, Marianne. Wiesz, wcale nie jesteś zimna. Nie jesteś taka, w ogóle.

Marianne rzuca mu zdziwione spojrzenie, marszcząc twarz.

No, może użyłam złego słowa – mówi. – To nie ma tak naprawdę znaczenia.

Ale to nieprawda, że nie da się ciebie lubić. Wiesz? Wszyscy cię lubią.

Nie wyraziłam się jak trzeba. Zapomnij o tym.

Connell kiwa głową. Wciąż nie może swobodnie oddychać.

No ale co miałaś na myśli? – pyta.

Marianne patrzy na niego teraz i w końcu wstaje od stołu.

Jesteś śmiertelnie blady – mówi. – Słabo ci?

Connell zaprzecza. Marianne ujmując jego dłoń i mówi mu, że jest wilgotna. Connell kiwa głową, z trudem oddycha.

Jeśli zrobiłam coś, co cię wytrąciło z równowagi – mówi cicho Marianne – naprawdę przepraszam.

Connell zmusza się do śmiechu i cofa rękę.

Nie, naszło mnie takie dziwne uczucie – wyjaśnia. – Nie wiem, co to było. Już jest dobrze.

Trzy miesiące później (lipiec 2012)

Marianne czyta w supermarkecie, co jest napisane na kubeczku jogurtu. Drugą ręką ściska telefon, przez który Joanna opowiada jej anegdotę z pracy. Gdy Joanna się rozgaduje, potrafi monologować naprawdę długo, Marianne nie martwi się więc tym, że na kilka sekund się wyłączy, żeby przestudiować etykietę jogurtu. Na zewnątrz jest ciepło, Marianne włożyła lekką bluzkę i spódnicę i od chłodu bijącego z zamrażarek dostaje gęsiej skórki. Jest w supermarkecie bez żadnego powodu oprócz tego, że nie chce przebywać w domu rodzinnym, a w Carricklea nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie samotna osoba nie rzuciłaby się w oczy. Nie może iść sama na drinka ani zamówić kawy przy głównej ulicy. Nawet supermarket straci swoją użyteczność, gdy ludzie zauważą, że nie robi zakupów, lub gdy spotka kogoś znajomego i będzie musiała przeprowadzić zdawkową rozmowę.

Biuro jest na wpół puste, więc niewiele się dzieje – opowiada Joanna. – Ale płacą, więc jest mi wszystko jedno.

Jako że Joanna teraz pracuje, większość ich rozmów odbywa się przez telefon, chociaż obie mieszkają w Dublinie. Marianne przyjeżdża do domu tylko na weekend, ale wtedy Joanna ma jedyną w ciągu tygodnia przerwę w pracy. Często opisuje przez telefon swoje biuro, różnych ludzi, którzy tam pracują, dramaty wybuchające między nimi i wydaje się, że jest obywatelką nieznanego Marianne kraju, kraju płatnego zatrudnienia. Marianne odkłada jogurt do lodówki i pyta Joannę, czy nie uważa za dziwne, że płacą jej za godziny spędzone w pracy – że zamienia, innymi słowy, swój szalenie ograniczony ziemski czas na ludzki wymysł zwany pieniędzmi.

Tych godzin nigdy nie odzyskasz – dodaje Marianne. – W sensie: czas jest prawdziwy.

Forsa też jest prawdziwa.

No ale czas bardziej. To pojęcie fizyczne, pieniądze to jedynie społeczny konstrukt.

Tak, ale ja w pracy jak najbardziej żyję – przekonuje Joanna. – To wciąż ja, nadal zbieram różne doświadczenia. Ty nie pracujesz, dobra, ale twój czas też mija. Ty też nigdy go nie odzyskasz.

Ale mogę zdecydować, co z nim zrobić.

Ośmielę się zauważyć, że twoje decyzje też są zdeteminowane społecznie.

Marianne śmieje się. Przechodzi od lodówek w stronę półek z przekąskami.

Nie dam się nabrać na moralność pracy – mówi. – Może niektóre rodzaje pracy, ale ty tylko przekładasz papiery w biurze, w żaden sposób nie przyczyniasz się do postępu ludzkości.

A czy ja mówiłam coś o moralności?

Marianne bierze do rąk opakowanie suszonych owoców: zawiera rodzynki, więc odkłada paczkę i bierze inną.

Myślisz, że cię potępiam za twoją gnuśność? – pyta Joanna.

Myślę, że w głębi ducha tak. Peggy potępiasz.

Peggy ma gnuśny umysł, to co innego.

Marianne cmoka krytycznie, jak gdyby chciała zbesztać Joannę za jej złośliwość, ale robi to bez większego zaangażowania. Czyta, co jest napisane na paczce z suszonymi jabłkami.

Nie chciałabym, żebyś się zamieniła w Peggy – dodaje Joanna. – Lubię cię taką, jaka jesteś.

Och, Peggy nie jest aż tak tragiczna. Podchodzę teraz do kasy, więc muszę kończyć.

Okej. Możesz zadzwonić jutro po wszystkim, jeśli będziesz miała ochotę pogadać.

Dzięki – mówi Marianne. – Jesteś dobrą przyjaciółką. Cześć.

Z paczką suszonych jabłek w ręku Marianne zbliża się do kas samoobsługowych, po drodze zabierając butelkę mrożonej herbaty. Gdy dochodzi do rzędu automatów, zauważa Lorraine w trakcie wypakowywania zakupów z koszyka. Na widok Marianne matka Connella nieruchomieje i mówi:

O, cześć!

Marianne przyciska do żeber paczkę suszonych jabłek i odpowiada na pozdrowienie.

Co słychać? – pyta Lorraine.

Wszystko dobrze, dziękuję. A u pani?

Connell mi mówił, że jesteś najlepsza na swoim roku. Zdobywasz nagrody i tak dalej. Oczywiście to mnie wcale nie dziwi.

Marianne uśmiecha się. Ten uśmiech wydaje jej się zbyt szeroki i dziecinny. Ściska opakowanie suszonych owoców, czuje, jak trzeszczy w jej wilgotnym uścisku, i skanuje je w kasie. Oświetlenie w supermarkecie jest rażąco jasne, a ona się nie umalowała.

Och, to nic wielkiego – mówi.

Zza rogu wychodzi Connell, no oczywiście, jakżeby inaczej. Niesie sześciopak chipsów o smaku octu i soli. Jest ubrany w biały T-shirt i te spodnie od dresu z paskami z boku. Rozrósł się w ramionach. I spogląda na nią. Przez cały ten czas był w supermarkecie; może nawet widział ją przy lodówkach i przeszedł szybko, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. Może słyszał ją, jak rozmawia przez telefon.

Cześć – rzuca Marianne.

O, hej. Nie wiedziałem, że jesteś w mieście.

Zerka na matkę, a potem skanuje chipsy i odkłada je do zapakowania. Jego zaskoczenie na widok Marianne wydaje się szczere, a przynajmniej taka wydaje się jego niechęć, by na nią spojrzeć lub z nią rozmawiać.

Słyszałam, że jesteś w Dublinie duszą towarzystwa – mówi Lorraine. – Widzisz, teraz trafiają do mnie wszystkie plotki z Trinity.

Connell nie podnosi wzroku. Skanuje pozostałe artykuły z wózka: paczkę herbaty w torebkach, bochenek krojonego chleba.

Pani syn jest po prostu miły – stwierdza Marianne.

Wyjmuje portmonetkę i płaci za zakupy, w sumie trzy euro i osiemdziesiąt dziewięć centów. Lorraine i Connell pakują swoje zakupy do foliowych toreb wielokrotnego użytku.

Może cię podwieźć do domu? – proponuje Lorraine.

Och nie – odpowiada Marianne. – Przejdę się. Ale dziękuję.

Chcesz iść na piechotę?! – zdumiewa się Lorraine. – Taki kawał do Blackfort Road? Co to, to nie. Podrzucimy cię.

Connell bierze obydwie torby i ruchem głowy wskazuje wyjście.

Chodźmy – mówi.

Marianne nie widziała go od maja. Po egzaminach wyjechał do domu, a ona została w Dublinie. Powiedział, że chce się spotykać z innymi, a ona odparła: Okej. A ponieważ nigdy nie była jego dziewczyną, nie jest nawet jego eks. Jest niczym. Wszyscy wsiadają do samochodu, Marianne z tyłu; Connell i Lorraine rozmawiają o znajomej osobie, która zmarła, ale ponieważ była już w podeszłym wieku, nie jest to aż tak wielki wstrząs. Marianne wygląda przez okno.

No, strasznie się cieszę, że na siebie wpadliśmy – oznajmia Lorraine. – Wspaniale widzieć, że tak świetnie wyglądasz.

O, dziękuję.

Na jak długo przyjechałaś do domu?

Tylko na weekend – odpowiada Marianne.

W końcu Connell włącza kierunkowskaz przy wjeździe na osiedle Foxfield i zatrzymuje się pod ich domem. Lorraine wysiada. Connell zerka na Marianne w lusterku i mówi:

Usiądź z przodu. Nie jestem taksówkarzem.

Marianne bez słowa wykonuje polecenie. Lorraine otwiera bagażnik, a Connell odwraca się na swoim siedzeniu.

Zostaw – mówi. – Wniosę wszystko, jak wrócę.

Lorraine podnosi ręce na znak kapitulacji, zatrząskuje bagażnik i macha im na pożegnanie.

Do domu Marianne jest niedaleko. Connell skręca w lewo, wyjeżdżając z osiedla w stronę ronda. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej on i Marianne często spędzali noc na rozmowach i kochaniu się. Rano ściągał z niej kołdrę i kładł się na niej z uśmiechniętą twarzą, która zdawała się mówić: O, hej, cześć. Byli najlepszymi przyjaciółmi. Tak jej odpowiedział, gdy go spytała, kto jest jego najlepszym przyjacielem.

Ty – rzekł. A potem, pod koniec maja, oznajmił jej, że na lato wraca do domu.

A tak w ogóle co słychać? – pyta ją.

Dobrze, dzięki. A u ciebie?

Wszystko w porządku, tak.

Zmienia biegi stanowczym ruchem.

Cały czas pracujesz na stacji benzynowej?

Nie, nie. Masz na myśli tę, gdzie pracowałem kiedyś? Ta jest już zamknięta.

Naprawdę?

Tak – mówi. – Nie, pracuję teraz w Bistro. Nawiasem mówiąc, któregoś wieczoru była tam twoja mama ze swoim, hm... chłopakiem czy kim on tam dla niej jest.

Marianne kiwa głową. Przejeżdżają teraz obok boiska piłkarskiego. Deszcz utworzył na szybie warstewkę wilgoci i Connell włącza wycieraczki, toteż podczas jazdy szumią w mechanicznym rytmie, wędrując z jednego końca szyby na drugi.

Gdy na wiosenną przerwę w zajęciach Connell pojechał do domu, zapytał Marianne, czy nie przesłałaby mu nagich fotek.

Skasuję je, jak tylko będziesz chciała, rzecz jasna – obiecał. – Możesz przy tym być.

Wyglądało to na cały erotyczny rytuał, o jakim Marianne nigdy nie słyszała.

Dlaczego miałabym chcieć, żebyś je skasował? – spytała.

Rozmawiali przez telefon, Connell w domu na osiedlu Foxfield, a Marianne w łóżku w mieszkaniu przy Merrion Square. Objął jej pokrótce, jaka obowiązuje etykieta w kwestii nagich zdjęć – nie wolno pokazywać ich innym, kasuje się je na żądanie i tak dalej.

Dużo dziewczyn przesyła ci takie zdjęcia? – spytała.

W tej chwili nie mam żadnych. I nigdy o nie wcześniej nie prosiłem, ale czasem je dostaję.

Gdy zapytała, czy w zamian przesłałby jej swoje zdjęcia, wydał z siebie mruknięcie.

Nie wiem – rzekł. – Naprawdę chciałabyś mieć zdjęcie mojego fiuta?

Poczuła, że robi jej się wilgotno w ustach, co ją rozbawiło.

Tak – odparła. – Ale gdybyś mi je przesłał, nigdy bym go nie skasowała, przyznaję się szczerze, więc chyba nie powinienes tego robić.

Roześmiał się wtedy.

Nie, wszystko mi jedno, czy je skasujesz – powiedział.

Marianne rozprostowała skrzyżowane w kostkach nogi.

Chcę powiedzieć, że zabiorę je do grobu – oznajmiła. – Że będę je oglądać codziennie do dnia, w którym umrę.

Wtedy już śmiał się do rozpuku.

Marianne – powiedział – nie jestem religijny, ale czasem naprawdę myślę, że Bóg stworzył cię dla mnie.

Za oknem po stronie kierowcy w deszczowym rozmyciu miga ośrodek sportowy. Connell znów spogląda na Marianne, a potem z powrotem na drogę.

I co, jesteś teraz z tym kolesiem, Jamiem? – pyta. – Tak słyszałem. No.

Wygląda całkiem nieźle.

Ach – mówi Marianne. – No, tak. Dzięki.

Chodzą ze sobą już kilka tygodni. Jamie ma pewne skłonności. Pewne skłonności są wspólne. Czasem w środku dnia Marianne przypomina sobie coś, co Jamie powiedział jej bądź zrobił, i opuszcza ją cała energia, jej ciało jest jak nieżywe, jak coś ogromnie ciężkiego i obrzydliwego, co musi dźwigać.

Tak – mówi Connell. – Kiedyś dałem mu łupnia przy stole bilardowym. Pewnie tego nie pamiętasz.

Pamiętam.

Connell kiwa głową i dodaje:

Zawsze mu się podobałaś.

Marianne wpatruje się przez przednią szybę w samochód przed nimi. To prawda, zawsze podobała się Jamiemu. Kiedyś przysłał jej esemesa dającego do zrozumienia, że Connell nie traktuje jej poważnie. Pokazała Connellowi tę wiadomość i oboje się z niej uśmiali. Leżeli wtedy razem w łóżku i twarz Connella podświetlał włączony ekran telefonu. Powinnaś być z kimś, kto traktuje cię poważnie, napisano w wiadomości.

A ty, widujesz się z kimś? – pyta Marianne.

Właściwie to nie. Nic poważnego.

Korzystasz z wolności.

Znasz mnie – mówi Connell.

Kiedyś znałam.

Connell marszczy brwi.

Zabrzmiało z lekka filozoficznie – ocenia. – Nie zmieniłem się zbyt w ciągu ostatnich miesięcy.

Ja też nie. Tak, to prawda. W ogóle się nie zmieniłam.

Pewnego majowego wieczoru przyjaciółka Marianne, Sophie, urządziła imprezę z okazji końca egzaminów. Jej rodzice byli na Sycylii czy gdzieś w tamtym rejonie. Connell wciąż jeszcze miał wtedy jeden egzamin do zaliczenia, ale nie obawiał się go, więc przyszedł. Byli tam wszyscy ich znajomi, między innymi dlatego, że w suterenie domu Sophie znajdował się podgrzewany basen. Większość nocy spędzili w kostiumach kąpielowych, co chwila zanurzali się w wodzie i wynurzali, rozmawiając i pijąc. Marianne siedziała na brzegu z plastikowym kubeczkiem wina, gdy część imprezowiczów uczestniczyła w jakiejś grze w basenie. Polegała ona na tym, że chłopcy brali dziewczyny na barana, a potem próbowali się wzajemnie przewracać. Sophie wdrapała się Connellowi na plecy i skomentowała z uznaniem:

To się nazywa solidny tors.

Marianne przyglądała się, lekko wstawiona, podziwiając, jak Sophie i Connell wyglądają razem, on z dłońmi na jej gładkich brązowych nogach, i czuła dziwną nostalgię za chwilą, która właśnie trwała. Wtedy Sophie spojrzała w jej stronę.

Nie musisz się martwić, Marianne – zawołała. – Nie zamierzam ci go odbić.

Marianne pomyślała, że Connell utkwi spojrzenie w wodzie, udając, że nie słyszy, tymczasem on odwrócił się do niej i uśmiechnął.

Nie wygląda na zmartwioną – rzekł.

Nie wiedziała, co to tak naprawdę znaczy, ale się uśmiechnęła, po czym rozpoczął się pojedynek. Czuła się szczęśliwa, otoczona ludźmi, których lubiła i którzy ją lubili. Wiedziała, że gdyby chciała coś powiedzieć, wszyscy prawdopodobnie by się odwrócili i słuchali

jej ze szczerym zainteresowaniem, i to też ją uszczęśliwiało, chociaż nie miała w tej chwili zupełnie nic do powiedzenia.

Po zakończeniu zabawy Connell podszedł do niej i stanął w wodzie tam, gdzie zwiślały jej nogi. Patrzyła na niego łagodnym wzrokiem.

Podziwiałam cię – wyznała.

Connell odgarnął z czoła mokre kosmyki.

Ty zawsze mnie podziwiasz – rzekł.

Lekko go kopnęła, a on chwycił ją za kostkę i zaczął ją pieścić opuszkami palców.

Ty i Sophie tworzycie mistrzowski team – zauważyła.

Nie przestawał gładzić jej nogi pod wodą. Było to bardzo przyjemne. Pozostali wołali go na głębszy koniec basenu, mieli ochotę na kolejne starcie.

Radźcie sobie beze mnie! – odkrzyknął. – Ja mam teraz przerwę! – Po czym wskoczył na brzeg basenu, by usiąść obok niej. Jego mokre ciało lśniło. Oparł płasko dłonie na płytkach za plecami.

Chodź tu – powiedział.

Objął ją jedną ręką w pasie. Nigdy, przenigdy nie dotykał jej w obecności innych. Ich przyjaciele nie widywali ich razem w ten sposób, w ogóle nikt. Pozostali wciąż rozbryzgiwali wodę w basenie i się wydzielali.

To przyjemne – powiedziała.

Odwrócił głowę i pocałował ją w nagie ramię. Znowu się roześmiała, zdumiona i usatysfakcjonowana. Connell spojrzał znowu na wodę, a potem na nią.

Jesteś teraz szczęśliwa – powiedział. – Uśmiechasz się.

Masz rację, jestem szczęśliwa.

Wskazał ruchem głowy basen, gdzie Peggy runęła właśnie do wody i wszyscy się śmiali.

Tak niby wygląda życie? – spytał.

Spojrzała mu w twarz, ale nie potrafiła z niej wyczytać, czy jest zadowolony, czy zasmucony.

Co masz na myśli? – spytała, ale on tylko wzruszył ramionami.

Kilka dni później powiedział jej, że wyjeżdża na lato z Dublina.

Nie pisałaś, że wróciłaś – mówi teraz Connell.

Marianne powoli kiwa głową, jakby się zastanawiała, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że nie powiadomiła Connella o przyjeździe, i była to interesująca myśl.

Więc co, nie jesteśmy już przyjaciółmi? – kontynuuje Connell.

Oczywiście, że jesteśmy.

Nie odpowiadasz jakoś na moje wiadomości.

Rzeczywiście, ostatnio go ignorowała. Musiała każdemu tłumaczyć, co się między nimi wydarzyło, że z nią zerwał i wyjechał, i czuła się zażenowana. To ona przedstawiła wszystkim Connella, to ona przekonywała ich, jakie stanowi wspaniałe towarzystwo, jaki jest wrażliwy i inteligentny, a on odpłacił jej tym, że nocował u niej niemal codziennie przez trzy miesiące, popijając kupione przez nią piwo, a potem ni stąd, ni zowąd ją zostawił. Zrobił z niej idiotkę. Peggy oczywiście zareagowała śmiechem, twierdząc, że wszyscy faceci są tacy sami. Joanna wcale nie uważała tej sytuacji za zabawną, raczej zastanawiającą i smutną. Ciągłe się dopytywała, co każde z nich powiedziało podczas ostatniego spotkania, a potem milkła, jak gdyby odtwarzała w myślach tę scenę, próbując wydobyć z niej jakiś sens.

Joanna chciała wiedzieć, czy Connell wie o rodzinie Marianne.

W Carricklea wszyscy o wszystkich wiedzą – odparła Marianne.

Joanna pokręciła głową i dodała:

Ale chodzi mi o to, czy on wie, jacy oni są.

Marianne nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Odnosiła wrażenie, że nawet ona nie wie, jaka jest jej rodzina, że nigdy nie jest w stanie adekwatnie jej opisać, że oscyluje między wyolbrzymianiem ich zachowań, przez co czuje się winna, a usprawiedliwianiem ich, a wtedy też czuje się winna, chociaż jest to wina innego rodzaju, bardziej skierowana do wewnątrz. Joanna uważa, że wie, jaka jest rodzina Marianne, ale jak może to wiedzieć, ona czy ktokolwiek, kiedy sama Marianne tego nie wie? A już na pewno nie Connell, który jest zrównoważoną osobą wychowaną w kochającym domu. Dopatruje się w każdym tego, co najlepsze, i o niczym nie wie.

Myślałem, że przynajmniej powiadomisz mnie esemesem, że wracasz – wyrzuca jej teraz Connell. – To trochę dziwne tak na siebie wpaść, gdy nie wiedziałem, że tu jesteś.

W tym momencie Marianne przypomina sobie o piersiówce pozostawionej w samochodzie Connella w dniu, gdy w kwietniu wybrali się do Howth. Nigdy jej nie odebrała, może wciąż jest w schowku. Zerka na schowek, ale nie sądzi, że mogłaby go otworzyć, bo Connell od razu ją zapyta, co robi, i będzie musiała mu przypomnieć o tamtym wypadzie do Howth. Poszli się wtedy kąpać w morzu, a potem zaparkowali samochód gdzieś na uboczu i kochali się na tylnej kanapie. Wstydziłaby się nawiązywać do tamtego dnia teraz, gdy znów są w samochodzie razem, chociaż naprawdę chciałyby odzyskać swoją piersiówkę, a może nie chodzi tu o piersiówkę, może chce mu tylko przypomnieć, że kiedyś posuwał ją z tyłu samochodu, w którym teraz siedzą, wie, że by się zaczerwienił, i może chce go zmusić do takiej reakcji, sadystycznie manifestując swoją moc, ale to nie byłoby do niej podobne, więc nie mówi nic.

A w ogóle co robisz w Carricklea? – pyta Connell. – Odwiedzasz tylko rodzinę?

Zamówiliśmy mszę na rocznicę śmierci taty.

Och – mówi Connell. Zerka na nią, a potem przenosi wzrok na przednią szybę. – Przepraszam – dodaje. – Nie wiedziałem. Kiedy ta msza? Jutro rano?

Marianne kiwa głową.

Dziesiąta trzydzieści – mówi.

Przepraszam, Marianne. Ale ze mnie kretyn.

W porządku. Tak naprawdę nie chciałam przyjeżdżać z tego powodu, ale matka się uparła. Nie jestem wielką miłośniczką kościelnych obrzędów.

Nie jesteś – przyznaje Connell. – Prawda.

Odchrząkuje. Wygląda przez przednią szybę. Są teraz na najwyższym położonym odcinku ulicy. Nigdy nie rozmawiali dużo o jej ojcu ani o ojcu Connella.

Chcesz, żebym przyszedł? – pyta Connell. – Rzecz jasna, jeśli nie chcesz, nie przyjdę. Ale mogę bez problemu się zjawić, jeśli

pozwolisz.

Marianne spogląda na niego i czuje, jak jej ciało ogarnia dziwna słabość.

Dziękuję, że proponujesz – mówi. – To miło z twojej strony.

Nic takiego.

Naprawdę nie musisz.

Żaden kłopot – przekonuje ją. – Jeśli mam być szczery, to chciałbym przyjść.

Włącza kierunkowskaz i wjeżdża na żwirowy podjazd przed jej domem. Nie widać samochodu jej matki, nie ma jej w domu. Olbrzymia fasada oślepia ich bielą. Coś w układzie okien w domu Marianne sugeruje dezaprobatę. Connell wyłącza silnik.

Przepraszam, że ignorowałam twoje wiadomości – mówi Marianne. – To było dziecinne.

Nie szkodzi. Słuchaj, jeśli nie chcesz się już przyjaźnić, nie musimy.

Oczywiście, że chcę.

Connell kiwa głową, stukając palcami w kierownicę. Jego ciało jest tak duże i łagodne jak ciało labradora. Marianne chce mu powiedzieć różne rzeczy. Jest jednak za późno, zresztą takie wyznania nigdy nie przynoszą nic dobrego.

Dobra – rzuca Connell. – W takim razie widzimy się jutro rano w kościele, tak?

Marianne przetyka ślinę.

Chcesz wejść na trochę? – pyta. – Moglibyśmy się napić herbaty czy coś.

Och, chciałbym, ale mam w bagażniku lody.

Marianne ogląda się za siebie i przypomina sobie o torbach z zakupami. Odczuwa nagłą dezorientację.

Lorraine by mnie zabiła – dodaje Connell.

Jasne. Oczywiście.

Marianne wysiada z samochodu. Connell macha przez okno. I przyjdzie, jutro rano, i będzie miał na sobie granatową bluzę, a pod nią białą koszulę, będzie wyglądał niewinnie jak baranek, a potem stanie z nią w przedsionku i nie odzywając się wiele, będzie

dodawał jej otuchy spojrzeniami. Zostaną wymienione uśmiechy, uśmiechy pełne ulgi. I znowu będą przyjaciółmi.

Sześć tygodni później (wrzesień 2012)

Spóźnia się na spotkanie. Autobus utkwiał w korku z powodu jakiegoś wieceu na mieście, jest już spóźniony osiem minut, a nie wie, gdzie dokładnie jest ta kawiarnia. Nigdy wcześniej nie umawiał się z Marianne „na kawę”. Dzień jest ładny, wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku, aż drapie go ubranie. Odnajduje kawiarnię na Capel Street, mija kontuar z kasą i zmierza do drzwi w głębi sali, zerkając na telefon. Jest dziewięć po trzeciej. Za drzwiami do ogródka w miejscu dla palaczy siedzi Marianne i popija kawę. Oprócz niej nie ma tam nikogo, jest cicho. Marianne nie podnosi się na jego widok.

Przepraszam za spóźnienie – mówi Connell. – Była jakaś demonstracja i autobus się strasznie włożył.

Siada naprzeciwko niej. Niczego jeszcze nie zamówił.

Nie szkodzi – mówi ona. – Co to za protest? Nie chodzi przypadkiem o aborcję?

Robi mu się wstyd, że nie zwrócił uwagi.

Nie, nie sędzę – odpowiada. – Chyba o podatek od nieruchomości czy coś takiego.

No to życzę im powodzenia. Niechaj rewolucja będzie szybka i brutalna.

Nie widzieli się od lipca, kiedy to Marianne wróciła do domu na mszę w intencji ojca. Jej usta wydają się teraz blade i lekko spierzchnięte, a wokół oczu ma ciemne obwódki. Chociaż z przyjemnością się jej przygląda, gdy wygląda dobrze, odczuwa swoiste współczucie, widząc ją chorą albo ze zmęczoną cerą, trochę jak w sytuacji, kiedy ktoś, kto zwykle jest bardzo dobrym zawodnikiem, gra gorzej. Wydaje się wtedy jakby milsza. Ma na sobie bardzo elegancką czarną bluzkę, spod rękawów wystają szczupłe i blade przeguby; włosy opadają swobodnie na plecy, spięte z tyłu.

Tak – mówi Connell. – Szczerze mówiąc, miałbym nieco więcej serca do protestu, gdyby był bardziej brutalny.

Chcesz zostać spalowany przez policjantów?

Są gorsze rzeczy niż dostanie pałą po głowie.

Marianne wypija łyk kawy, gdy Connell wypowiada te słowa, i nieruchomieje na moment z filiżanką przy ustach. Connell nie wie, jak potrafi wyodrębnić tę pauzę w naturalnej czynności picia przez nią kawy, ale ją zauważa. Po chwili Marianne odstawia filiżankę na spodek.

Zgadzam się – mówi.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Po prostu się z tobą zgadzam.

Ostatnio zostałeś zaatakowany przez policjantów czy coś mi umknęło? – pyta Connell.

Marianne dosypuje do kawy odrobinę więcej cukru, stukając palcem w saszetkę, a potem miesza napój. W końcu podnosi na niego wzrok, jak gdyby sobie przypomniała, że tam siedzi.

Nie zamawiasz kawy? – pyta.

Connell kiwa głową. Po spacerze z przystanku wciąż jest nieco zdyszany i trochę mu za ciepło w tym ubraniu. Wstaje od stolika i wchodzi do głównej sali. Jest tam chłodno i znacznie ciemniej. Kobieta z pomalowanymi na czerwono ustami przyjmuje zamówienie i informuje, że kawa zaraz zostanie podana.

Jeszcze w kwietniu Connell zamierzał pracować latem w Dublinie i opłacać czynsz dzięki zarobionym w ten sposób pieniądzom, lecz tydzień przed egzaminami jego szef zapowiedział, że obcinają mu godziny. Zarobiłby wtedy tylko na czynsz i nie zostałoby mu nic na życie. Zawsze wiedział, że ten lokal w końcu splajtuje, i był wściekły na siebie, że nie poszukał sobie pracy gdzie indziej. Myślał o tym bez przerwy przez kilka tygodni. W końcu podjął decyzję, że musi się na lato wyprowadzić. Niall nie robił z tego powodu problemu, powiedział, że pókój będzie wciąż na niego czekał we wrześniu i tak dalej.

A co z tobą i Marianne? – spytał.

No tak, tak – odparł Connell. – Nie wiem. Jeszcze jej nie powiedziałem.

Właściwie nocował w mieszkaniu Marianne prawie codziennie. Mógł jej po prostu przedstawić sprawę i zapytać, czy nie mógłby do września przenieść się do niej. Wiedział, że by się zgodziła. Tak przypuszczał, trudno mu było sobie wyobrazić odmowę. Złapał się jednak na tym, że odkłada tę rozmowę, zbywa pytania Nialla na ten temat, zamierza omówić z nią sprawę, a potem w ostatniej chwili się rozmyśla. Po prostu sytuacja za bardzo kojarzyła mu się z proszeniem o pieniądze. Nigdy z Marianne nie rozmawiali o pieniądzach. Nigdy na przykład nie rozmawiali o tym, że jej matka płaci jego matce za szorowanie podłóg i rozwieszanie prania, ani o tym, że te pieniądze pośrednio trafiają do Connella, który całkiem często wydaje je na Marianne. Denerwowało go, że musi myśleć o takich sprawach. Wiedział, że dla Marianne nie mają one znaczenia. Cały czas coś mu kupowała, a to płaciła za kolację, a to za bilety do teatru, płaciła, a potem natychmiast i trwale o tym zapominała.

Pewnego wieczoru, gdy sesja egzaminacyjna dobiegała końca, udali się na imprezę w domu Sophie Whelan. Wiedział, że będzie w końcu musiał powiedzieć Marianne o wyprowadzce od Nialla i poprosić ją wprost, czy może się do niej przenieść. Większość wieczoru spędzili w basenie, zanurzeni w upajającej masie ciepłej wody. Obserwował Marianne pluskającą się w czerwonym kostiumie bez ramiączek. Lśniący kosmyk mokrych włosów wyplątał się z węzła na karku i przykleił płasko do skóry. Wszyscy śmiali się i pili. Miał wrażenie, że to nie jest tak naprawdę jego życie. W ogóle nie znał tych ludzi, właściwie nawet w nich nie wierzył ani nie wierzył w siebie. Na brzegu basenu pod wpływem impulsu pocałował Marianne w ramię, a ona uśmiechnęła się do niego zachwycona. Nikt na nich nie patrzył. Pomyślał, że o swojej sytuacji mieszkaniowej pomówi z nią tej nocy w łóżku. Bardzo się obawiał, że ją straci. Gdy się tam znaleźli, Marianne miała ochotę na seks, a potem zasnęła. Zastanawiał się, czy jej nie obudzić, ale nie mógł tego zrobić. Postanowił, że poczeka, aż zda ostatni egzamin, i wtedy porozmawia z nią o przeprowadzce.

Dwa dni później, bezpośrednio po egzaminie pisemnym ze średniowiecznego i renesansowego romansu rycerskiego, poszedł do mieszkania Marianne i usiedli przy stole, aby napić się kawy. Jednym uchem słuchał jej opowieści o skomplikowanym związku Teresy i Lorcana; czekał, aż skończy. W końcu powiedział:

Hej, słuchaj. Tak przy okazji. Zdaje się, że latem nie będę mógł sobie pozwolić na opłacanie czynszu w Dublinie.

Marianne podniosła wzrok znad kawy i obojętnym tonem rzuciła:
Co?

No – powiedział. – Będę musiał się wynieść od Nialla.

Kiedy? – spytała Marianne.

Niedługo. Może w przyszłym tygodniu.

Jej twarz stężała, nie okazując żadnych konkretnych emocji.

Ach – powiedziała. – Więc pewnie wrócisz do domu.

Potań mostek, czując, że traci oddech.

Na to wygląda – powiedział. – Tak.

Pokiwała głową, na chwilę uniosła brwi, a potem wbiła wzrok w swoją kawę.

Przypuszczam – powiedziała – że będziesz tu z powrotem we wrześniu.

Zapiekły go oczy i zamknął je. Nie rozumiał, jak to się stało, że rozmowa potoczyła się w ten sposób, jak do tego dopuścił. Było już za późno, żeby powiedzieć, że chciałby zamieszkać u niej, to jasne, ale kiedy zrobiło się za późno? Wydawało się, że chwila ta nastąpiła od razu. Rozwagał, czy nie oprzeć twarzy o stół i nie rozpłakać się jak dziecko. Ale nie, otworzył oczy.

Tak – potwierdził. – Nie zamierzam rzucać studiów, bez obaw.

Więc nie będzie cię tylko trzy miesiące.

Aha.

Nastąpiła długa przerwa.

Nie wiem – powiedział. – Podejrzewam, że będziesz się wtedy chciała spotykać z innymi, prawda?

Tonem, który wydał mu się lodowaty, Marianne odpowiedziała w końcu:

Jasne.

Wtedy wstał i chociaż nie dopił jeszcze kawy, wylał ją do zlewu. Gdy od niej wyszedł, zaczął płakać. Opłakiwał nie tylko swoją żalosną fantazję o wspólnym mieszkaniu, ale i ich nieudany związek, czymkolwiek był.

Po kilku tygodniach Marianne zaczęła chodzić z kimś innym, ze swoim przyjacielem o imieniu Jamie. Ojciec Jamiego był jednym z tych, którzy doprowadzili do kryzysu finansowego – wcale nie w przerośni, był jedną z osób bezpośrednio w to zamieszanych. O tym, że są razem, Connell dowiedział się od Nialla. Przeczytał esemesa w pracy, po czym musiał pójść na zaplecze i prawie całą minutę przyciskać czoło do chłodnego regału. Marianne po prostu od początku chciała się spotykać z kimś innym, pomyślał. Prawdopodobnie się ucieszyła, że Connell musi wyjechać z Dublina, bo nie ma kasy. Chciała chłopaka, którego rodzina będzie mogła ją zabierać na narty. A teraz, gdy już takiego złowiła, nie odpisuje nawet na e-maile Connella.

Na początku lipca już i Lorraine słyszała, że Marianne spotyka się z kimś innym. Connell wiedział, że w Carricklea plotkuje się o tym, bo ojciec Jamiego był znany w całym kraju, a w samym miasteczku niewiele się działo.

No to kiedy się rozstaliście? – spytała go Lorraine.

Nie byliśmy parą.

Myślałam, że się widujecie.

Niezobowiązująco – odparł.

Ta dzisiejsza młodzież. Nigdy nie zrozumieć tych waszych związków.

Sama nie stoisz jeszcze nad grobem.

Jak ja chodziłam do szkoły – powiedziała – albo się z kimś chodziło, albo nie.

Connell poruszał szczęką w jedną i drugą stronę, wgapiając się beznamietnie w telewizor.

No to skąd ja się wziąłem? – spytał.

Lorraine szturchnęła go karcąco, ale on wciąż oglądał telewizję. Nadawano jakiś program podróżniczy, długie srebrne plaże i turkusowa woda.

Marianne Sheridan nie związywałaby się z kimś takim jak ja – rzekł.

Co rozumiesz przez „z kimś takim jak ja”?

Ten nowy chłopak chyba jest bardziej odpowiedni dla kogoś z jej sfery.

Lorraine przez kilka sekund nic nie mówiła. Connell czuł, jak jego trzonowce cicho zgrzytają.

Nie sądzę, żeby Marianne na tym zależało – powiedziała Lorraine. – Nie sądzę, żeby była tego rodzaju osobą.

Connell wstał z sofy.

Mogę ci tylko powiedzieć, co się stało – rzekł.

Ale może błędnie interpretujesz to, co się stało.

Connell jednak już wyszedł z pokoju.

Są teraz w ogródku na tyłach kawiarni, słońce rozświetla wszystkie kolory tak mocno, aż rażą w oczy. Marianne przypala papierosa, pudełko leży otwarte na stoliku. Gdy Connell siada, Marianne uśmiecha się do niego zza szarej chmurki dymu. Connell wyczuwa, że jest czymś skrepowana, ale nie wie czym.

Chyba nigdy jeszcze nie umówiliśmy się na kawę – mówi Connell. – Prawda?

Nie? Musieliśmy kiedyś.

Connell wie, że jest teraz niemiły, ale nie może się powstrzymać.

Nie – oznajmia.

Poszliśmy raz na kawę – mówi Marianne. – Przed seansem *Okna na podwórze*. Chociaż zdaje się, że to była raczej randka.

Ta uwaga go zaskakuje i w odpowiedzi wydaje jakiś nieokreślony dźwięk:

Hm.

Drzwi za nimi otwierają się i wychodzi kelnerka z kawą. Connell dziękuje jej, a ona uśmiecha się i wraca do środka. Drzwi zamykają się za nią same. Marianne wyraża nadzieję, że Connell i Jamie poznają się lepiej.

Liczę na to, że go polubisz – mówi. I spogląda nerwowo na Connella, jest to szczere spojrzenie, które chwyta go za serce.

No, na pewno – mówi. – Dlaczego miałbym go nie polubić?

Wiem, że będziesz dla niego miły. Ale naprawdę mam nadzieję, że go polubisz.

Spróbuję.

I nie onieśmielaj go – dodaje Marianne.

Connell nalewa do kawy odrobinę mleka, czekając, aż jaśniejszy kolor wypłynie na powierzchnię, po czym odstawia dzbanuszek na stół.

Och – mówi. – Mam tylko nadzieję, że i jego poprosiłaś o to samo.

Jak gdyby on mógł ciebie onieśmielić. Jest niższy ode mnie.

Ale przecież nie chodzi o wzrost, prawda?

Z jego punktu widzenia – mówi Marianne – jesteś dużo wyższy i jesteś facetem, który kiedyś posuwał jego dziewczynę.

Ładnie to ujęłaś. To właśnie mu o nas powiedziałaś: Connell to ten dryblas, który kiedyś mnie posuwał?

Marianne śmieje się teraz.

Nie – odpowiada. – Ale wszyscy wiedzą.

On ma jakieś kompleksy w związku ze swoim wzrostem? Nie zamierzam tego wykorzystywać, chciałbym tylko wiedzieć.

Marianne podnosi filiżankę z kawą. Connell nie potrafi dojść do tego, jaka relacja powinna ich teraz łączyć. Czyżby godzili się, że od tej pory nie powinni się sobie podobać? Kiedy to niby nastąpiło? Nic w zachowaniu Marianne nie daje mu żadnych wskazówek. Co więcej, Connell podejrzewa, że wciąż bardzo ją pociąga i że teraz wydaje jej się zabawne – jak rodzaj żartu zrozumiałego tylko dla nich – to, że czuje pociąg do kogoś, kto nigdy nie będzie należał do jej świata.

W lipcu poszedł na mszę w intencji ojca Marianne. Kościół w miasteczku, z witrażami w oknach, był niewielki, tchnął zapachem deszczu i kadzidła. On i Lorraine nie chodzili na msze, wcześniej bywał w kościele tylko na pogrzebach. Po przybyciu na miejsce ujrzał Marianne w przedsionku. Wyglądała jak dzieło sztuki sakralnej. Nikt nie ostrzegł go, że ten widok będzie dla niego tak bolesny, i miał ochotę zrobić coś strasznego, podpalić się albo

wjechać samochodem w drzewo. Zawsze w chwilach rozpaczyny odruchowo wyobrażał sobie różne sposoby zadania sobie powaźnych ran. Na krótko przynosiło mu to ulgę; próba zwizualizowania duzo silniejszego i bardziej rozległego bólu niż ten, który właśnie odczuwał, chwilowa przerwa w biegu myśli; może działało się tak za sprawą koniecznej do tego energii intelektualnej, później jednak czuł się tylko gorzej.

Tamtej nocy, gdy Marianne wróciła do Dublina, wyszedł się napić z kumplami ze szkoły, najpierw do pubu Kelleher's, potem do McGowan's, a wreszcie do tego strasznego nocnego klubu Phantom na tyłach hotelu. Nie było tam nikogo, z kim w szkolnych latach byłby naprawdę blisko, i po kilku drinkach uświadomił sobie, że nie przyszedł do klubu w celach towarzyskich, chciał tylko pić i doprowadzić się do stanu pewnego rodzaju znieczulonej nieświadomości. Stopniowo wycofywał się z rozmów i skupiał na spożywaniu alkoholu w takich ilościach, jakie był w stanie pochłonać, nie tracąc przytomności, nie próbował nawet śmiać się z żartów ani słuchać rozmów.

Właśnie w Phantomie spotkali Paulę Neary, nauczycielkę ekonomii z liceum. Wtedy już Connell był tak pijany, że wzrok płatał mu figle i obok każdego przedmiotu widział jego drugą wersję, jakby ducha. Paula postawiła im wszystkim po szocie tequili. Była ubrana w czarną sukienkę, na szyi miała zawieszony srebrny wisior. Connell zlizął sól z wierzchu dłoni i ujrzał widmowy obraz tego jej naszyjnika, słaby biały ślad na jej ramieniu. Gdy na niego spojrzała, nie miała jednej, tylko dwie pary oczu, poruszały się magicznie w powietrzu, jak klejnoty. Zaczął się z tego śmiać, a ona pochyliła się do niego tak blisko, że poczuł jej oddech na swojej twarzy, i zapytała, co go tak rozbawiło.

Nie pamięta, jak się znalazł w jej domu, czy dotarli tam pieszo, czy wzięli taksówkę, wciąż tego nie wie. Jej mieszkanie cechowała ta dziwna pustawa schludność domów samotnych ludzi. Można było odnieść wrażenie, że jest osobą, która niczym się nie interesuje: nigdzie nie widać było regałów z książkami, instrumentów muzycznych. Pamięta, że wybełkotał:

Co porabiasz w weekendy?

Wychodzę się zabawić – odparła. Już wtedy ta odpowiedź wydała mu się głęboko przygnębiająca. Nalała im po kieliszku wina. Connell usiadł na skórzanej sofie i pił wino, żeby coś robić z rękami.

Jak w tym roku radzi sobie drużyna piłkarska? – zapytał.

Bez ciebie to już nie to samo – rzekła Paula.

Usiadła obok niego na sofie. Sukienka zsunęła jej się lekko, odsłaniając pieprzyk na prawej piersi. Mógł ją przelecieć, kiedy jeszcze chodził do szkoły. Żartowano na ten temat, ale gdyby naprawdę do tego doszło, zszokowałoby to ludzi, wystraszyło. Pomyśleliby, że jego nieśmiałość skrywa coś twardego, przerażającego.

Najlepsze lata życia – powiedziała.

Co?

Szkoła średnia, najlepsze lata życia.

Próbował się roześmiać, ale jego śmiech zabrzmiał nerwowo i głupkowato.

– Nie wiem – rzekł. – Jeśli tak jest naprawdę, to smutna refleksja.

Wtedy zaczęła go całować. Doświadczenie owo wydawało mu się dziwne, niby nieprzyjemne, lecz także w pewien sposób interesujące, jak gdyby jego życie obierało nowy kierunek. Jej usta smakowały cierpko jak tequila. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy to zgodne z prawem, że ona go całuje, i doszedł do wniosku, że chyba tak, nie przychodził mu do głowy żaden powód, dlaczego miałoby być inaczej, a jednak miał wrażenie, że dzieje się coś z gruntu niestosownego. Za każdym razem, gdy się od niej odsuwał, ona zdawała się napierać, aż zaczęła go intrygować fizyka tego, co się dzieje, i nie był już pewien, czy siedzi prosto na sofie, czy leży oparty o poręcz. W ramach eksperymentu próbował usiąść, co potwierdziło domysł, że już siedzi, a małe czerwone światełko, które brał za coś na suficie, było diodą w wieży stereo na drugim końcu pokoju.

W czasach szkolnych czuł się przy profesor Neary potwornie skrępowany. Ale czy teraz, pozwalając jej całować się na sofie w jej salonie, pokonywał to skrępowanie, czy mu ulegał? Ledwo zdążył sformułować to pytanie, gdy zaczęła rozpinać mu džinsy. W przypiływie paniki próbował odepchnąć jej rękę, ale gestem tak

nieudolnym, że pomyślała najwyraźniej, iż jej pomaga. Rozpięła górny guzik i wtedy powiedział, że jest naprawdę wstawiony i może powinni przestać. Wsuwając dłoń za gumkę jego majtek, odparła, że nie szkodzi, jej to nie przeszkadza. Myślał, że zaraz prawdopodobnie urwie mu się film, cały czas jednak był świadomy. Wolałby stracić przytomność. Słyszał, jak Paula mówi:

Ale jesteś twardy. – Ta pochwała była wyjątkowo nedorzeczna, bo tak naprawdę wcale mu nie stał.

Zaraz się porzygam – ostrzegł.

Odeskoczyła natychmiast, poprawiając na sobie sukienkę, a on skorzystał z okazji, żeby dźwignąć się z sofy i zapiąć dżinsy. Spytała go przezornie, czy dobrze się czuje. Gdy na nią spojrzał, ujrzał dwie oddzielne Paule siedzące na sofie, tak wyraźne, że nie było już oczywiste, która z nich jest prawdziwa, a która widmowa.

Przepraszam – rzucił. Następnego dnia obudził się całkowicie ubrany na podłodze swojego pokoju. Wciąż nie ma pojęcia, jak tam trafił.

Musi mieć jakieś kompleksy – mówi teraz Marianne. – Nie wiem, o co chodzi. Może nie jest zadowolony ze swego intelektu.

Może po prostu ma odpowiednie poczucie własnej wartości.

Nie, na pewno nie. Jest...

Jej oczy poruszają się szybko w jedną i drugą stronę. Podczas tej czynności wygląda jak wytrawna matematyczka wykonująca obliczenia w myśli. Odstawia filiżankę z kawą na spodeczek.

Jest? – dopytuje Connell.

Jest sadystą.

Connell wbija w nią spojrzenie zza stołu, pozwalając zwyczajnie, by jego twarz wyrażała zaniepokojenie tą uwagą, a ona posyła mu słodki uśmiezek. Kręci filiżanką na spodku.

Mówisz poważnie? – pyta Connell.

Cóż, lubi mi przyłożyć. Tylko podczas seksu, wyłącznie. Nie w czasie kłótni.

Wybucha śmiechem, niemądrym śmiechem, który do niej nie pasuje. Jego pole widzenia przez chwilę drży jak przed nadejściem

potężnej migreny i Connell podnosi rękę do czoła. Uzmysławia sobie, że ogarnia go strach. W obecności Marianne często czuje się niewinny, choć tak naprawdę jest dużo bardziej niż ona doświadczony w sprawach seksu.

A ty to lubisz? – pyta.

Marianne wzrusza ramionami. Podnosi dopalającego się w popielniczce papierosa, zaciąga się nim, by zaraz go zgasić.

Nie wiem – mówi. – Nie wiem, czy tak naprawdę mi się to podoba.

No to dlaczego pozwalasz mu robić takie rzeczy?

To był mój pomysł.

Connell podnosi filiżankę i wychyla bardzo duży łyk gorącej kawy, chcąc zrobić coś z rękami. Odstawiając filiżankę, rozlewa trochę kawy na spodek.

Jak to? – pyta.

To był mój pomysł, sama chciałam mu się podporządkować. Trudno mi wyjaśnić.

No ale spróbuj, jeśli możesz. Zaciekawiaś mnie.

Marianne znowu się śmieje.

Poczujeś się bardzo niezręcznie – przestrzega.

Okej.

Spogląda na niego, może żeby sprawdzić, czy żartuje, a potem podnosi lekko głowę i Connell wie już, że Marianne się nie wycofa, powie mu o tym, bo gdyby się wycofała, uległaby czemuś, czego w sobie nie aprobeuje.

Rzecz nie w tym, że podnieca mnie upokarzanie jako takie – wyjaśnia Marianne. – Po prostu lubię mieć świadomość, że dałabym się komuś upokorzyć, gdyby ten ktoś tego chciał. Czy to ma ręce i nogi? Nie wiem, zastanawiałam się nad tym. Chodzi bardziej o dynamikę niż o to, co się właściwie dzieje. W każdym razie zasugerowałam mu, że mogłabym się postarać być bardziej uległa. I okazuje się, że lubi mi przyłożyć.

Connell zaczyna kasłać. Marianne wyjmuje z pojemnika na stole drewniany patyczek do mieszania kawy i zaczyna go wyginać w palcach. Connell czeka, aż kaszel ustąpi, po czym pyta:

Co on ci robi?

Och, wiesz – odpowiada Marianne. – Czasem smaga mnie paskiem. Lubi mnie podduszać, takie rzeczy.

Aha.

To znaczy nie sprawia mi to przyjemności. Ale przecież nie oddajemy się komuś tak naprawdę, jeśli się godzimy tylko na rzeczy przyjemne.

Zawsze myślałaś w ten sposób? – pyta Connell.

Marianne spogląda na niego. Connell ma wrażenie, że strach strawił go i zamienił w coś innego, jak gdyby przebrnął przez jego strefę i teraz, gdy patrzy na Marianne, czuje się, jakby płynął w jej stronę przez pas wody. Podnosi paczkę papierosów i zagląda do środka. Zaczyna szczekać zębami i przypala papierosa wsuniętego do ust. Tylko Marianne potrafi wzbudzić w nim takie odczucia, to dziwne dysocjacyjne wrażenie, jak gdyby tonął i czas nie płynął już normalnie.

Nie chcę, żebyś myślał, że Jamie jest jakimś potworem – podkreśla Marianne.

Z tego, co mówisz, wynika coś innego.

Ale nie jest, naprawdę.

Connell zaciąga się papierosem, a potem pozwala sobie na chwilę zmrużyć powieki. Słońce mocno grzeje i Connell wyczuwa bliskość ciała Marianne, dym w ustach i gorzki posmak kawy.

Może chcę, żeby mnie źle traktowano – dodaje Marianne. – Nie wiem. Czasem wydaje mi się, że zasługuję na wszystko, co najgorsze, bo jestem złym człowiekiem.

Connell wypuszcza powietrze. Wiosną czasem budził się w nocy obok Marianne i jeśli ona też nie spała, przytulali się do siebie, aż czuł, że w nią wchodzi. Nie musiał nic mówić, najwyżej pytał, czy może, a ona zawsze się zgadzała. Nic innego w jego życiu nie mogło się równać z tym, co wtedy odczuwał. Często marzył o tym, żeby zasnąć w jej ciele. Czegoś takiego nigdy nie doświadczył z nikim innym, zresztą nie chciał. Potem po prostu zasypiali objęci, bez słowa.

Nigdy mi nie mówiłaś nic z tych rzeczy – wypomina jej. – Gdy ty i ja...

Z tobą było inaczej. No wiesz. Wszystko wyglądało inaczej.

Bawi się drewnianym mieszadełkiem, wyginając je i puszczając z jednej strony tak, że odskakuje od palców.

Czy mam się czuć urażony? – pyta Connell.

Nie. Jeśli chcesz usłyszeć najprostsze wyjaśnienie, to ci powiem.

To wszystko kłamstwo?

Nie – odpowiada Marianne.

Milczy przez chwilę. Ostrożnie odkłada drewniane mieszadełko. Nie ma teraz żadnych rekwizytów i podnosi rękę do włosów.

Z tobą nie musiałam tak kombinować. To było coś prawdziwego. Z Jamiem jest tak, jakbym odgrywała jakąś rolę, po prostu udaję, że tak się czuję, że jestem od niego uzależniona. Natomiast między nami naprawdę istniała taka dynamika, ja autentycznie to czułam, zrobiłabym wszystko, czego byś sobie zażyczył. Teraz będziesz myślał, że jestem złą partnerką, że nie jestem lojalna wobec swojego chłopaka. Kto nie chciałby mi przywalić?

Zasłania oczy dłonią. Uśmiecha się i w tym uśmiechu można dostrzec zmęczenie i niechęć do samej siebie. Connell wyciera dłonie o kolana.

Ja nie – mówi. – Może jestem niemodny pod tym względem.

Marianne opuszcza rękę i patrzy na niego z tym samym uśmiechem, jej usta wciąż wyglądają na spierzchnięte.

Mam nadzieję, że zawsze będziemy się mogli wspierać – mówi. – To dla mnie duża pociecha.

Cieszę się.

Wtedy spogląda na niego, jak gdyby widziała go po raz pierwszy, odkąd usiedli razem.

Mniejsza z tym – mówi. – Mów, co u ciebie.

Connell wie, że Marianne jest szczerze zainteresowana. On sam nie należy do osób, które czują się swobodnie, zwierając się innym albo żądając zwierzeń. Z tego powodu potrzebuje Marianne. Uświadamia to sobie dopiero teraz. Marianne jest kimś, kogo może o coś poprosić. Chociaż między nimi pojawiają się pewne przeszkody i pretensje, ta relacja wciąż trwa. Wydaje mu się to teraz czymś nadzwyczajnym, niemal wzruszającym.

Latem przeżyłem coś naprawdę odjechanego – powiedział. – Mam ci o tym opowiedzieć?

Cztery miesiące później (styczeń 2013)

Marianne jest w swoim mieszkaniu z przyjaciółmi. Właśnie skończyły się egzaminy stypendialne i w poniedziałek zaczyna się nowy semestr. Czuje się wycieńczona i pusta jak naczynie postawione do góry dnem. Pali czwartego papierosa tego wieczoru, przez co w klatce piersiowej odzywa się osobliwe kwaśne pieczenie, poza tym nie zjadła kolacji. Obiad składał się z mandarynki i jednej grzanki bez masła. Peggy na sofie opowiada o podróży kolejowej po Europie i z jakiegoś powodu uparła się, żeby wyjaśnić różnicę między wschodnim i zachodnim Berlinem. Marianne wypuszcza powietrze i mówi w zamyśleniu:

Tak, byłam tam.

Peggy odwraca się do niej z szeroko otwartymi oczami.

Byłaś w Berlinie? – pyta. – Nie sądziłam, że mieszkańcom prowincji Connacht pozwala się podróżować tak daleko.

Niektórzy z jej przyjaciół śmieją się uprzejmie. Marianne strzepuje popiół z papierosa do ceramicznej popielniczki na poręczy sofy.

Boki zrywać – kwituje.

Musieli ci dać wolne na farmie – dodaje Peggy.

Tak jakby – mówi Marianne.

Peggy kontynuuje swoją relację. Ostatnio zaczęła sypiać u Marianne, gdy nie ma tam Jamiego, jadać śniadanie w jej łóżku, a nawet chodzić z nią do łazienki, gdy Marianne bierze prysznic, żeby obcinać sobie beztrząsco paznokcie i narzekać na facetów. Marianne podoba się, że została przez nią wybrana na najbliższą przyjaciółkę, nawet jeśli skutek tego traci strasznie dużo wolnego czasu. Jednak ostatnio podczas niektórych imprez Peggy zaczęła robić sobie z niej żarty w obecności innych. Ze względu na przyjaciół Marianne stara się śmiać razem ze wszystkimi, wysiłek ten jednak wykrzywia jej rysy, co daje Peggy kolejny pretekst do

złościwości. Gdy wszyscy wychodzą, Peggy wtula się w ramię Marianne i mówi:

Nie złość się na mnie.

A Marianne defensywnym tonem odpowiada cienko:

Nie złoścę się na ciebie.

W tym momencie zapowiada się, że już za kilka godzin znowu odbędą dokładnie taką samą rozmowę.

Po zakończeniu berlińskiej opowieści Peggy Marianne przynosi z kuchni jeszcze jedną butelkę wina i rozlewa je do kieliszków.

A tak na marginesie, jak ci poszły egzaminy? – pyta Sophie.

Marianne reaguje wesołym wzruszeniem ramion i zostaje nagrodzona cichym śmiechem. Jej przyjaciele czasem nie mają pewności, jaka jest natura jej relacji z Peggy, i reagują wymuszonym śmiechem, gdy Marianne stara się być zabawna, choć w pewnym sensie można to odebrać jako przejaw współczucia, a nawet litości, nie rozbawienia.

Powiedz prawdę – rozkazuje Peggy. – Zawaliłaś je, co?

Marianne uśmiecha się, robi minę, zakręca butelkę z winem. Egzaminy skończyły się dwa dni temu; Peggy i Marianne podchodziły do nich razem.

Cóż, mogło mi pójść lepiej – odpowiada dyplomatycznie Marianne.

Cała ty, w stu procentach – oznajmia Peggy. – Jesteś najbardziej inteligentną osobą na świecie, a gdy przychodzi co do czego, dajesz ciała.

Możesz próbować znowu w przyszłym roku – przypomina Sophie.

Wątpię, że poszły jej aż tak źle – wtrąca Joanna.

Marianne unika wzroku Joanny i chowa wino do lodówki. Stypendia finansują pięć lat nauki, zakwaterowanie na terenie kampusu i posiłki w sali jadalnej co wieczór z innymi stypendystami. Dla Marianne, która nie opłaca mieszkania ani czesnego i nie ma tak naprawdę pojęcia o tym, ile te rzeczy kosztują, jest to tylko kwestia reputacji. Chciałaby, żeby jej ponadprzeciętny intelekt zyskał publiczne uznanie w formie przelewu dużych kwot. Dzięki temu mogłaby deprecjonować swoje

zdolności i nikt by jej nie wierzył. Prawda jest taka, że egzaminy wcale nie poszły jej źle. Poszły znakomicie.

Mój wykładowca statystyki cisnął mnie, żebym też zdawał – mówi Jamie. – Ale miałbym przesrane, gdybym musiał wkuwać w święta.

Na twarzy Marianne pojawia się znowu nieobecny uśmiech. Jamie nie przystąpił do tych egzaminów, bo wiedział, że nie miałby szans. Wszyscy w tym pokoju też o tym wiedzą. Próbuje się przechwalać, brakuje mu jednak dostatecznej samoświadomości, by zrozumieć, że to, co mówi, jest odbierane jako czcze przechwałki, nikt mu nie wierzy. Jest coś kojącego w tym, że Marianne z taką łatwością potrafi go przejrzeć.

Na początku ich związku, nie zastanowiwszy się nad tym porządnie, oznajmiła mu, że jest „uległa”. Była zaskoczona już wtedy, słysząc siebie, jak wypowiada te słowa; może zrobiła to, żeby go zaszokować?

Co masz na myśli? – spytał.

Czując się jak ktoś, kto przeżył niejedno, odpowiedziała:

No wiesz, lubię, jak faceci zadają mi ból.

Po tej deklaracji zaczął ją związywać i smagać. Gdy Marianne myśli o tym, jak mało ma dla niego szacunku, czuje do siebie wstręt i zaczyna się nienawidzić, a te uczucia rozbudzają w niej przemożne pragnienie, by podporządkować się i dać w pewnym sensie złamać. Gdy to się dzieje, ma w głowie po prostu pustkę, jest jak pokój ze zgaszonym światłem i dochodzi do orgazmu bez żadnej zauważalnej przyjemności. Potem wszystko zaczyna się od nowa. Gdy myśli o tym, żeby z nim zerwać, a takie myśli miewa często, zazwyczaj zastanawia się nie nad jego reakcją, tylko nad reakcją Peggy.

Peggy lubi Jamiego, to znaczy: uważa go za despotę, ale takiego, który w zasadzie nie ma nad Marianne większej władzy. Marianne czasem na niego narzeka i Peggy mówi coś w rodzaju: Cóż, jest szowinistyczną świnią, ale czego się można spodziewać? Peggy uważa, że mężczyźni to obrzydliwe zwierzęta pozbawione kontroli nad swymi odruchami i że kobiety emocjonalnego wsparcia powinny szukać gdzie indziej. Dopiero po dłuższym czasie Marianne uświadomiła sobie, że Peggy wykorzystuje swoją ogólnie krytyczną

opinię o mężczyznach do obrony Jamiego, ilekroć Marianne na niego narzeka.

Czego się spodziewałaś? – mawia Peggy. Albo: Myślisz, że to coś złego? Jak na faceta jest istnym księciem.

Marianne nie ma pojęcia, dlaczego Peggy to robi. Za każdym razem, gdy Marianne napomyka, choćby nieśmiało, że jej związek z Jamiem być może się kończy, Peggy zaczyna się denerwować. Kłóciły się nawet z tego powodu i kłótnie te, o dziwo, kończą się deklaracją ze strony Peggy, że nie obchodzi jej, czy Marianne i Jamie ze sobą zerwą, a Marianne, wykończona i zdeorientowana, oznajmia wtedy, że prawdopodobnie i tak do tego nie dojdzie.

Gdy Marianne teraz siada, zaczyna dzwonić jej telefon, nie rozpoznaje numeru. Wstaje, pokazując pozostałym, żeby nie przerywali rozmowy, i znów idzie do kuchni, aby odebrać połączenie.

Halo? – mówi.

Cześć, tu Connell. Trochę mi głupio, ale właśnie ukradziono mi część moich rzeczy. Między innymi portfel i telefon.

Jezu, straszne. Co się stało?

Czy mogłabyś... Widzisz, jestem teraz aż w Dun Laoghaire² i nie mam forsy, żeby wziąć taksówkę ani nic. Moglibyśmy się jakoś spotkać, może pożyczylbym od ciebie trochę gotówki czy coś?

Wszyscy wpatrują się w nią teraz, a ona macha do nich, żeby sobie nie przeszkadzali. Jamie ze swojego fotela nie przestaje jej obserwować, gdy Marianne kontynuuje rozmowę.

Oczywiście, nic się nie martw – mówi. – Jestem w domu, więc może chcesz przyjechać taksówką tutaj? Wyjdę i zapłacę taksówkarzowi, tak ci pasuje? Jak tu będziesz, zadzwoń do drzwi.

Dobra. W porządku, dzięki. Dziękuję, Marianne. Pożyczyłem od kogoś telefon i powinienem już go oddać. Do zobaczenia niedługo.

Connell przerywa połączenie. Jej goście spoglądają na nią wyczekująco, gdy z telefonem w ręku odwraca się w ich stronę. Wyjaśnia, co się stało, i wszyscy wyrażają współczucie dla Connella. Wciąż sporadycznie bywa na jej imprezach, wpada jedynie na szybkiego drinka przed pójściem gdzie indziej. We wrześniu

powiedział Marianne, co się stało z Paulą Neary, i Marianne pod wpływem tej wiadomości poczuła się przedziwnie, obudził się w niej gniew, jakiego nigdy jeszcze nie czuła.

Wiem, że dramatyzuję – powiedział Connell. – W końcu nie zrobiła nic aż tak złego. Ale to mnie rozwalilo.

Marianne usłyszała samą siebie, jak mówi głosem niczym twardy lód:

Chciałabym poderżnąć jej gardło.

Connell podniósł wzrok i roześmiał się zaszokowany.

Jezu, Marianne – powiedział. Ale cały czas się śmiał.

Zrobiłabym to – upierała się.

Connell pokręcił głową.

Musisz opanować te krwiożercze instynkty – rzekł. – Nie możesz chodzić i podrzynać ludziom gardeł, bo cię zapuszczają.

Marianne pozwoliła mu zbyć jej słowa śmiechem, cicho jednak dodała:

Jeśli jeszcze raz cię dotknie, zrobię to, wszystko mi jedno.

W portmonetce ma tylko drobne, ale w szufladzie szafki nocnej trzyma trzysta euro w gotówce. Wchodzi teraz do sypialni, nie zapalając światła. Słyszy głosy mamroczące za ścianą. Znajduje banknoty, sześć pięćdziesiątek. Bierze trzy i spokojnie, powoli wsuwa je do portmonetki. Potem siada na brzegu łóżka, nie chcąc od razu wracać.

W czasie świąt Bożego Narodzenia atmosfera w domu była napięta. Ilekroć mają w domu gości, Alan robi się drażliwy i nerwowy. Pewnego wieczoru po wyjściu ciotki i wuja zszedł za Marianne do kuchni, dokąd zaniósła puste filiżanki po herbacie.

Chwalić się wynikami egzaminów – powiedział. – Ludzie, ratunku.

Marianne puściła gorącą wodę i sprawdziła palcami jej temperaturę. Alan stał pod drzwiami z założonymi rękami.

Nie ja poruszyłam ten temat – rzekła. – Tylko oni.

Jeśli to wszystko, czym możesz się pochwalić w swoim życiu, to jest mi cię żal – oznajmił Alan.

Woda z kranu zrobiła się cieplejsza, więc Marianne zatkała odpływ i wycisnęła na gąbkę trochę płynu do zmywania.

Słuchasz mnie? – spytał Alan.

Tak, jest ci mnie żal, słyszałam.

Ale ty jesteś, kurwa, żałosna, naprawdę.

Zarejestrowałam – rzuciła.

Odstawiła jedną z filiżanek na ociekacz i zanurzyła następną w gorącej wodzie.

Myślisz, że jesteś ode mnie mądrzejsza?

Wilgotną gąbką przesunęła po wnętrzu filiżanki.

Dziwne pytanie – powiedziała. – Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Bo nie jesteś – rzucił.

Okej, w porządku.

„Okej, w porządku” – powtórzył potulnym, dziewczęcym głosem. – Nic dziwnego, że nie masz przyjaciół, nie umiesz nawet normalnie mówić.

Aha.

Powinnaś posłuchać, co ludzie w miasteczku o tobie gadają.

To był dla niej tak absurdalny pomysł, że mimowolnie parsknęła śmiechem. Alan, teraz już wściekły nie na żarty, chwycił ją za ramię i szarpnął, odciągając od zlewu, po czym spontanicznie, jak się zdawało, na nią splunął. Puścił ją. Na materiale jej spódnicy wyładowała widoczna kropla śliny.

Rany – powiedziała – to obrzydliwe.

Alan odwrócił się i wymaszerował z kuchni, a Marianne wróciła do płukania naczyń. Gdy odkładała czwartą filiżankę na ociekacz, zauważyła w prawej dłoni łagodne, acz dostrzegalne drżenie.

W pierwszy dzień świąt matka wręczyła jej kopertę, a w niej pięćset euro. Bez kartki z życzeniami; była to jedna z tych małych brązowych kopert, w których przekazywała pieniądze Lorraine. Marianne podziękowała jej i Denise rzekła nonszalancko:

Trochę się o ciebie martwię.

Marianne przesuwiała palcami po kopercie, usiłując przybrać odpowiedni wyraz twarzy.

Z jakiego powodu? – spytała.

Cóż – rzekła Denise – co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

Nie wiem. Myślę, że wciąż mam jeszcze przed sobą mnóstwo możliwości. W tym momencie skupiam się po prostu na studiach.

A potem co?

Marianne wciskała kciuk w kopertę, aż na papierze powstała niewyraźna ciemniejsza plama.

Obawiam się, że prawdziwy świat okaże się dla ciebie pewnym szokiem – rzekła Denise.

W jakim sensie?

Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale uczelnia to bardzo opiekuńcze środowisko. W pracy będzie zupełnie inaczej.

Cóż, wątpię, żeby w pracy ktoś na mnie pluł z powodu różnicy zdań – odparła Marianne. – O ile wiem, takie zachowania nie są akceptowane.

Denise uśmiechnęła się z zaciśniętymi ustami.

Jeśli przerasta cię zwykła rywalizacja między rodzeństwem, to nie wiem, jak sobie poradzisz w dorosłym życiu, skarbie – rzekła.

Przekonajmy się.

Po tych słowach Denise uderzyła otwartą dłońią w kuchenny stół. Marianne zadrżała, ale nie podniosła wzroku, nie wypuściła koperty.

Myślisz, że jesteś wyjątkowa, co? – spytała Denise.

Marianne pozwoliła powiekom opaść.

Nie – rzekła. – Wcale tak nie myślę.

Dochodzi pierwsza w nocy, gdy Connell wciska dzwonek. Marianne schodzi z portmonetką i zastaje pod budynkiem taksówkę z pracującym silnikiem. Za jezdnią między drzewami snuje się mgła. Zimowe noce są niesamowite – chce powiedzieć Connellowi, który stoi przy taksówce i rozmawia przez okno z kierowcą, odwrócony do niej plecami. Gdy słyszy otwieranie drzwi, odwraca się i Marianne dostrzega, że ma rozcięte i zakrwawione usta, krew jest ciemna jak zaschnięty atrament. Robi krok do tyłu i przyciska dłońią obojczyk, a wtedy Connell mówi:

Wiem, widziałem się w lustrze. Ale tak naprawdę nic mi nie jest, muszę się tylko trochę ogarnąć.

Oszołomiona płaci kierowcy, o mało nie upuszczając drobnych do rynsztoka. Na klatce schodowej zauważa, że górna warga Connella jest spuchnięta, z prawej strony zasycha lśniąca krew. Zęby ma zaczerwienione.

O Boże – mówi Marianne. – Co się stało?

Connell delikatnie ujmuje jej dłoń i przesuwając po niej kciukiem.

Koleś podszedł do mnie i zażądał portfela – opowiada. – Z jakiegoś powodu postawiłem mu się, a on wtedy trzasnął mnie w pysk. To był kiepski pomysł, powinienem po prostu dać mu tę kasę. Przepraszam, że do ciebie zadzwoniłem, ale to jedyny numer, który znam na pamięć.

Och, to straszne. Jest u mnie kilku znajomych. Co byś wolał? Wziąć prysznic i zostać tutaj? Czy po prostu zabrać trochę gotówki i wrócić do siebie?

Są teraz pod drzwiami jej mieszkania i zatrzymują się.

Co ci bardziej odpowiada – mówi Connell. – A przy okazji, jestem mocno wstawiony. Przepraszam.

O, jak mocno?

Nie byłem w domu od egzaminów, nie wiem, wciąż mam duże źrenice?

Zagląda mu w oczy; jego źrenice są powiększone do czarnych krop.

No – potwierdza Marianne. – Są gigantyczne.

Connell znów gładzi ją po dłoni i dodaje ciszej:

No tak. Zresztą robią się takie, kiedy cię widzę.

Marianne śmieje się, kręcąc głową.

Jesteś zdecydowanie wstawiony, jeśli ze mną flirtujesz – mówi. – Wiesz, jest tutaj Jamie.

Connell wciąga powietrze przez nos, a potem ogląda się przez ramię.

Może po prostu pójdę sobie i znów ktoś mi da w głowę – mówi. – Nie było aż tak źle.

Marianne uśmiecha się, on jednak puszcza jej dłoń. Marianne otwiera drzwi.

Jej znajomi wydają stłumione jęki i każą mu zrelacjonować, co się stało, co też robi, chociaż bez pożądanego dramatyzmu. Marianne

przynosi mu wodę, którą Connell płucze usta, a potem wypłuka do zlewu, różową jak koralowce.

Cholerna hołota – rzuca Jamie.

Kto, ja? – pyta Connell. – Nie jesteś zbyt miły. Wiesz, nie wszyscy możemy się uczyć w ekskluzywnych prywatnych szkołach.

Joanna parska śmiechem. Connell zwykle nie zachowuje się zaczepnie i Marianne zastanawia się, czy w ten stan nie wprowadził go ów cios w twarz, a może jest bardziej pijany, niż jej się wydawało.

Mówiłem o tym śmieciu, który cię okradł – wyjaśnia Jamie. – A na marginesie: prawdopodobnie zrobił to, żeby mieć kasę na dragi, jak większość z nich.

Connell dotyka zębów, jak gdyby chciał sprawdzić, czy wciąż są w ustach. Potem wyciera ręce w ścierkę.

Ach – mówi. – Życie narkomana nie jest łatwe.

Istotnie – stwierdza Joanna.

Zawsze mogliby, nie wiem, zerwać z nałogiem? – sugeruje Jamie.

Connell śmieje się i mówi:

Taaa, jestem pewien, że po prostu nigdy nie wpadli na ten pomysł.

Wszyscy siedzą cicho i Connell uśmiecha się wstydliwie. Jego zęby teraz, gdy je przeplukał, wyglądają nieco normalniej.

Przepraszam wszystkich – mówi. – Lecę, nie będę wam przeszkadzał.

Wszyscy go zapewniają, że nie przeszkadza, wszyscy oprócz Jamiego, który nic nie mówi. W Marianne odzywa się przez chwilę macierzyńska chęć, by przygotować Connellowi kąpiel. Joanna pyta, czy coś go boli, a on odpowiada ponownym dotknięciem przednich zębów, po czym mówi:

Nie jest najgorzej.

Ma na sobie czarną kurtkę i poplamiony biały T-shirt, pod którym Marianne rozpoznaje migotanie prostego srebrnego łańcuszka. Nosił go jeszcze w szkole. Peggy nazwała kiedyś ten łańcuszek „luksusem dla ubogich”, na co Marianne aż się wzdrygnęła, choć nie była w stanie stwierdzić, z czyjego powodu – Connella czy Peggy.

To co, ile będziesz potrzebował kasy? – zwraca się do Connella. Pytanie jest na tyle delikatne, że jej przyjaciele zaczynają rozmawiać między sobą i Marianne ma wrażenie, że jest z nim prawie sama. Connell wzrusza ramionami. – Możliwe, że bez karty nie będziesz mógł wypłacić w banku gotówki – dodaje Marianne. Connell zaciska mocno powieki i dotyka czoła.

Rany, ale się nawaliłem – mówi. – Przepraszam, czuję się, jakbym miał halucynacje. O co mnie pytałaś?

Kasa. Ile mam ci dać?

Och, nie wiem, dziesięć funtów?

Dam ci sto – decyduje Marianne.

Co? Nie.

Jeszcze przez chwilę się w ten sposób targują, aż podchodzi Jamie i dotyka ramienia Marianne, która nagle uprzytamnia sobie, jak bardzo jest brzydki, i chce się od niego odsunąć. Jamie zaczyna łysieć i ma obłą twarz bez wyraźnie zarysowanej szczęki. Przy nim Connell, nawet zakrwawiony, emanuje zdrowiem i charyzmą.

Pewnie niedługo będę się zbierał – informuje Jamie.

Dobra, do zobaczenia jutro – rzuca Marianne.

Jamie spogląda na nią wstrząśnięty, a ona tłumi w sobie odruch, żeby spytać: Ale co? Uśmiecha się tylko. To nie tak, że sama jest najpiękniejszą istotą na świecie, bynajmniej. Na niektórych zdjęciach wygląda nie tylko nieładnie, lecz rażąco wręcz brzydko, obnażając przed obiektywem krzywe zęby jak jakiś gryzoń. Z poczuciem winy ściska Jamiego za nadgarstek, jak gdyby była w stanie przekazać następującą niemożliwą wiadomość: Jamiemu – że Connell jest poturbowany i niestety wymaga opieki, a Connellowi – że gdyby mogła, w ogóle nie dotykałaby Jamiego.

W porządku – rzuca Jamie. – W takim razie dobranoc.

Całuje ją w policzek i idzie po kurtkę. Wszyscy dziękują Marianne za gościnę. Kieliszki są odstawiane na ociekacz lub do zlewu. Potem drzwi wejściowe zamykają się i Marianne zostaje z Connellem sama. Czuje, jak mięśnie jej ramion się rozluźniają, jakby ta ich wspólna samotność była narkotykiem. Nalewa wody do czajnika i wyjmuje z szafki filiżanki, po czym wkłada do zlewu jeszcze kilka brudnych kieliszków i opróżnia popielniczkę.

A więc on cały czas jest twoim chłopakiem? – pyta Connell.

Marianne uśmiecha się, on też. Ona wyjmując z opakowania dwie torebki herbaty i gdy woda się gotuje, wkłada je do filiżanek. Uwielbia być z nim sama, tak jak teraz. Jej życie wydaje się wtedy nagle bardzo łatwe.

Tak, cały czas – odpowiada.

A niby dlaczego?

Dlaczego jest moim chłopakiem?

Aha – odpowiada Connell. – Co jest grane? Dlaczego wciąż z nim chodzisz?

Marianne prychnęła.

Przypuszczam, że napijesz się herbaty – mówi.

Connell kiwa głową. Prawą dłoń wsuwa do kieszeni. Marianne wyjmując z lodówki karton mleka, jest wilgotny pod palcami. Connell stoi oparty o kuchenny blat, usta ma spuchnięte, krew jednak w większości została zmyta i jego twarz wydaje się brutalnie piękna.

Wiesz, mogłabyś mieć innego chłopaka – mówi. – To znaczy, z tego, co słyszę, faceci ciągle się w tobie zakochują.

Przestań.

Ciebie można albo kochać, albo nienawidzić, jesteś tego typu osobą.

Czajnik pstryka i Marianne podnosi go z podstawki. Napełnia najpierw jedną, potem drugą filiżankę.

No ale ty mnie nie nienawidzisz – mówi.

Początkowo Connell nic nie mówi.

Nie – odzywa się po chwili – w pewien sposób jestem na ciebie uodporniony. Bo znamy się ze szkoły.

Kiedy byłam brzydką frajerką – dodaje Marianne.

Nie, nigdy nie byłaś brzydka.

Marianne odstawia czajnik. Czuje nad Connellem pewną władzę, niebezpieczną władzę.

Wciąż uważasz, że jestem ładna? – pyta go.

Connell spogląda na nią, prawdopodobnie wiedząc, co Marianne robi, a potem wbija wzrok w swoje dłonie, jak gdyby uświadamiał sobie swą cielesną obecność w tym pomieszczeniu.

Masz dobry humor – zauważa Connell. – Impreza pewnie się udała.

Ona ignoruje tę uwagę. Spadaj, myśli sobie, ale wcale tego nie chce. Łyżeczką wrzuca zużyte torebki do zlewu, potem dolewa do herbaty mleka i odstawia karton do lodówki, wszystko szybkimi ruchami kogoś, kto niecierpliwie zajmuje się pijanym przyjacielem.

Wolałbym dosłownie każdego innego – stwierdza Connell. – Wolałbym, żeby koleś, który mi przywalił, był twoim chłopakiem.

A co cię to obchodzi?

Connell nic nie mówi. Marianne przypomina sobie, jak potraktowała Jamiego przed jego wyjściem, i pociera twarz dłońmi. Żłopiący mleko prostaczek, tak kiedyś Jamie nazwał Connella. To prawda, sama widziała, jak Connell pije mleko prosto z kartonu. Lubi gry komputerowe z kosmitami, ma wyrobione zdanie o trenerach piłkarskich. Jest zdrowy jak mleczny ząb. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie przyszło mu do głowy, żeby w czasie seksu zadać komuś ból. Ma dobre serce, jest fajnym przyjacielem. Dlaczego więc wiecznie za nim goni, zmuszając go do czegoś? Czy przy nim zawsze musi być swoją dawną żalosną sobą?

Kochasz go? – pyta Connell.

Jej dłoń nieruchomieje na drzwiach lodówki.

Interesują cię moje uczucia? To do ciebie niepodobne – stwierdza Marianne. – Wydawało mi się, że takich tematów raczej nie poruszamy.

Dobra. Okej.

Connell znowu pociera usta, wygląda teraz na zamyślonego. Opuszcza rękę i spogląda przez kuchenne okno.

Słuchaj – mówi – chyba powinienem ci powiedzieć wcześniej, ale widuję się z kimś. Jestem z nią od pewnego czasu, powinienem ci być wspomnieć.

Marianne jest tak wstrząśnięta tą wiadomością, że odczuwa ją niemal cielesnie. Patrzy wprost na niego, nie potrafiąc ukryć zdumienia. Odkąd zaczęli się przyjaźnić, nie miał nigdy dziewczyny. Wcześniej nawet specjalnie nie zastanawiała się nad tym, że mógłby tego chcieć.

Co? – wydusza z siebie. – Od jak dawna jesteście razem?

Od jakichś sześciu tygodni. Helen Brophy, nie wiem, czy ją znasz. Studiuje medycynę.

Marianne odwraca się od niego i podnosi z blatu swoją filiżankę. Stara się, by jej ramiona pozostały zupełnie nieruchome, boi się, że zacznie płakać i on to zobaczy.

W takim razie dlaczego chciałbyś, żebym zerwała z Jamiem? – pyta go.

Nie, nie. Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa, to wszystko.

Bo jesteś takim dobrym przyjacielem, prawda?

No, tak – odpowiada. – To znaczy... nie wiem.

Filiżanka w jej dłoni jest za gorąca, zamiast jednak ją odstawić, Marianne pozwala, by ból wnikał w jej palce, pod skórę.

Kochasz ją? – pyta.

Tak, kocham, tak.

Marianne zaczyna płakać i jest to najbardziej żenująca rzecz, jaka jej się przytrafiła w całym dorosłym życiu. Jest od niego odwrócona, czuje jednak, jak jej ramiona podnoszą się i opadają w strasznych, niekontrolowanych spazmach.

Jezu – mówi Connell. – Marianne.

Spadaj.

Connell dotyka jej pleców i Marianne odskakuje od niego, jakby próbował zrobić jej krzywdę. Odstawia filiżankę na blat, żeby otrzeć byle jak twarz rękawem.

Po prostu idź już – mówi. – Zostaw mnie w spokoju.

Marianne, proszę cię. Czuję się strasznie, okej? Powinienem powiedzieć ci wcześniej, przepraszam.

Nie chcę z tobą gadać. Po prostu wyjdź.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Marianne przygryza policzek od wewnątrz, aż ból zaczyna koić jej nerwy i przestaje płakać. Znowu wyciera twarz, tym razem dłońmi, i odwraca się do niego.

Proszę cię – mówi. – Proszę cię, idź już.

Connell wzdycha, wbija spojrzenie w podłogę. Przeciera oczy.

Aha – mówi. – Słuchaj, naprawdę jest mi niezręcznie, ale jakby potrzebuję tej kasy, żeby wrócić do siebie. Przepraszam.

Marianne przypomina sobie i robi jej się głupio. Uśmiecha się nawet do niego, tak bardzo jest jej głupio.

O Boże – mówi. – Z tego wszystkiego zapomniałam, że cię dzisiaj napadnięto. Mogę ci dać dwie pięćdziesiątki, tak będzie dobrze?

Connell kiwa głową, ale nie patrzy na nią. Marianne wie, że jemu też jest głupio; chce podejść do sprawy jak osoba dorosła. Odnajduje portmonetkę i podaje mu pieniądze, które on wsuwa do kieszeni. Connell spuszcza wzrok, mrugając i odchrząkując, jakby on też miał się rozpłakać.

Przepraszam – mówi.

Nic się nie stało – odpowiada Marianne. – Nie martw się.

Connell pociera nos i rozgląda się dookoła, jak gdyby już nigdy miał nie oglądać tego mieszkania.

Wiesz, latem naprawdę nie wiedziałem, jak stoją sprawy między nami – mówi. – Wtedy, gdy musiałem się przenieść z powrotem do domu. Myślałem, że pozwolisz mi zamieszkać u siebie czy coś. Naprawdę nie wiem, co się z nami w końcu stało.

Marianne czuje w piersi ostry ból i jej dłoń gwałtownie podnosi się do gardła, chwytając powietrze.

Powiedziałeś mi wtedy, że chcesz, byśmy się mogli spotykać z innymi – przypomina. – Nie miałam pojęcia, że chciałeś się tu wprowadzić. Myślałam, że ze mną zrywasz.

Przez chwilę Connell pociera płaską dłonią usta, a potem wypuszcza powietrze.

Nie wspomniałeś słowem, że chcesz tu zamieszkać – dodaje Marianne. – To oczywiste, że chętnie bym cię przyjęła. Zawsze tak było.

Aha, dobra – mówi Connell. – Słuchaj, pójdę już. Śpij dobrze, okej?

Wychodzi. Drzwi zatrząskują się za nim z niezbyt głośnym stuknięciem.

Rano na uczelni w budynku Arts Block Jamie całuje Marianne na oczach wszystkich i mówi, że Marianne wygląda pięknie.

Jak tam wczoraj Connell? – pyta. Marianne ściska mocno dłoń Jamiego i konspiracyjnie przewraca oczami.

Och, był zalany w trupa – mówi. – W końcu się go pozbyłam.

Sześć miesięcy później (lipiec 2013)

Budzi się tuż po ósmej. Jest już widno, w wagonie podnosi się temperatura i panuje zaduch od wydychanego powietrza i potu pasażerów. Za oknem przemykają pomniejsze stacje kolejowe o nieczytelnych nazwach. Elaine już się obudziła, ale Niall wciąż śpi. Connell pociera wierzchem dłoni lewe oko i siada. Elaine czyta jedyną powieść, którą zabrała w podróż, książkę z błyszczącą okładką, ze słowami *Teraz na ekranach kin* wydrukowanymi na górze. Aktorka na okładce jest ich bezustanną towarzyszką od kilku tygodni. Connell czuje niemal sympatię do jej bladego oblicza z kostiumowego romansu.

Nie wiesz, gdzie mniej więcej jesteśmy? – pyta Connell.

Elaine podnosi wzrok znad książki.

Jakieś dwie godziny temu minęliśmy Lublanę – odpowiada.

Aha – mówi. – Więc już niedaleko.

Connell zerka na Nialla, którego zwieszona głowa kołysze się we śnie. Elaine podąża za jego wzrokiem.

Ten jak zwykle nieprzytomny – stwierdza.

Początkowo było ich więcej. Z przyjaciółmi Elaine odbyli podróż z Berlina do Pragi, a potem w Bratysławie spotkali kilku kolegów Nialla z Wydziału Inżynierii, zanim udali się pociągiem do Wiednia. Schroniska młodzieżowe były tanie, a wizyty w miastach miały przyjemnie przejściowy charakter. Cokolwiek Connell tam robił, wydawało mu się, że nic w nim z tego nie zostaje. Cała wyprawa była jak seria krótkich filmów, wyświetlonych tylko raz. Potem miał wprowadzić pojęcie, czego dotyczyły, ale fabuły dokładnie nie pamiętał. W pamięci ma obrazy oglądane z okien taksówek.

W każdym mieście znajduje kafejkę internetową i wykonuje te same trzy rytuały komunikacyjne: dzwoni do Helen przez Skype'a, wysyła matce darmowego esemesa przez bramkę internetową sieci telefonicznej i pisze e-mail do Marianne.

Helen lato spędza w Chicago na studenckiej wizie. W tle ich rozmów Connell słyszy jej paplające lub czeszące się nawzajem koleżanki; od czasu do czasu Helen odwraca się i woła do nich coś w rodzaju: Dziewczyny, proszę was! Rozmawiam! Uwielbia oglądać jej twarz na ekranie, zwłaszcza gdy połączenie jest dobre i jej ruchy wydają się płynnie i naturalnie. Ma wspaniałe uśmiechy, wspaniałe zęby. Wczoraj po zakończeniu rozmowy z nią zapłacił przy kontuarze, wyszedł na słońce i kupił potwornie drogą colę z lodem. Czasem, gdy u Helen jest dużo przyjaciół albo kafejka internetowa jest wyjątkowo zatłoczona, ich rozmowa staje się nieco krępująca, ale nawet wtedy po rozłączeniu się jest w lepszym nastroju. Złapał się na tym, że spieszy mu się do zakończenia rozmowy, żeby móc potem napawać się tym, jak bardzo lubi ją oglądać, bez konieczności przybierania w każdej chwili odpowiednich min i wypowiadania właściwych słów. Samo ujście Helen, jej pięknej twarzy, jej uśmiechu, i potwierdzenie, że nadal go kocha, wypełnia jego dzień radością i przez kilka godzin Connell czuje tylko odurzające szczęście.

Helen ofiarowała mu nowy sposób funkcjonowania w świecie. Zupełnie jakby z jego życia emocjonalnego podniesiono nieprawdopodobnie ciężką pokrywę i oto nagle mógł odetchnąć świeżym powietrzem. Fizycznie jest teraz możliwe, żeby napisać i wysłać wiadomość o treści: Kocham cię! Wcześniej nie wydawało się to możliwe, w żadnym wypadku, tymczasem w rzeczywistości to nic trudnego. Oczywiście gdyby ktoś zobaczył te wiadomości, Connell byłby zażenowany, wie jednak, że jest to normalny rodzaj zażenowania, nieomal odruch obronny wobec szczególnie dobrej części życia. Może usiąść do kolacji z rodzicami Helen, może jej towarzyszyć na imprezach u jej przyjaciół, znosić uśmiechy i przewidywalne pogaduszki. Może ścisnąć jej dłoń, gdy ktoś zadaje mu pytania o przyszłość. Gdy Helen spontanicznie go dotyka, naciskając lekko na jego ramię, czy nawet strzepuje mu paproszek z kołnierza, czuje przypływ dumy i ma nadzieję, że ludzie ich obserwują. Bycie jej chłopakiem daje mu pewną pozycję w towarzystwie, wyrabia mu opinię osoby akceptowanej, kogoś

o konkretnym statusie, kogoś, kogo milczenie w czasie rozmowy nie jest towarzysko kłopotliwe, lecz filozoficzne.

Esemesy, które wysyła Lorraine, są dosyć lakoniczne. Informuje ją, gdy obejrzy jakiś ważny zabytek lub skarb kultury. Wczoraj:

pozdr z wiednia. Katedra stefana całkiem przerekl szczerze mowiac ale muzeum historii sztuki niezle. Mam nadzieje ze w domu wszystko ok.

Lorraine lubi pytać, jak się ma Helen. Gdy się poznały, natychmiast przypadły sobie do gustu. Za każdym razem, gdy Helen ich odwiedza, Lorraine komentuje drobne dziwactwa Connella i pyta:

Jak ty z nim wytrzymujesz, skarbie?

Tak czy inaczej, miło, że się tak dogadują. Helen jest pierwszą dziewczyną, którą przedstawił matce, i zauważyła, że zależy mu, by uświadomić Lorraine, jak bardzo normalny jest ich związek i że Helen uważa go za miłą osobę. Nie jest pewien, skąd się to dokładnie bierze.

W tych tygodniach, kiedy nie są ze sobą, jego e-maile do Marianne się wydłużyły. Gdy czeka na ubrania w pralni lub leży w schronisku nocą, nie mogąc zasnąć z powodu upału, pisze je na brudno w telefonie. Kilkakrotnie odczytuje te zapiski, analizując wszystkie elementy języka, zmieniając składnię, by zdania lepiej brzmiały. Gdy pisze, czas się rozmywa, wydaje się powolny i rozciągnięty, a tymczasem mija naprawdę szybko. Niejednokrotnie Connell podnosi wzrok znad telefonu i okazuje się wtedy, że minęło kilka godzin. Nie potrafiłby wyjaśnić na głos, co w jego e-mailach do Marianne jest tak absorbującego, nie uważa ich jednak za coś trywialnego. Doświadczenie układania ich jest jak dopuszczenie do głosu jakiejś głębszej i bardziej fundamentalnej zasady, elementu tożsamości lub czegoś jeszcze bardziej abstrakcyjnego, mającego związek z samym życiem. W swoim szarym notesie zapisał niedawno: pomysł na historię opowiedzianą e-mailami? Potem wykreślił tę notatkę, uznawszy, że byłoby to efekciarskie. Łapie się

na tym, że wykreśla różne rzeczy z notesu, jak gdyby sobie wyobrażał, że jakaś osoba w przyszłości będzie szczegółowo analizować te zapiski, jakby chciał, żeby ta osoba z przyszłości wiedziała, które pomysły uznał za niedobre.

Jego korespondencja z Marianne zawiera mnóstwo linków do różnych wiadomości. W tym momencie oboje śledzą z zapartym tchem wątek Edwarda Snowdena, Marianne ze względu na zainteresowanie strukturą globalnej inwigilacji, a Connell ze względu na fascynujący dramat osobisty. Connell czyta wszystkie spekulacje w internecie, ogląda nieostry materiał z lotniska Szeremietiewo. Mogą z Marianne rozmawiać o tym wyłącznie mailowo, wykorzystując te same technologie komunikacyjne, które, o czym wiedzą, są inwigilowane, i czasem się wydaje, że ich związek został schwytany w skomplikowaną sieć wywiadowczą i że ta sieć jest formą inteligencji, zawiera w sobie ich dwoje i ich wzajemne uczucia. „Mam wrażenie, że agent NSA, który czyta te maile, może wyrobić sobie o nas mylną opinię – napisała kiedyś Marianne. – Prawdopodobnie nie wie o tym, że nie zaprosiłeś mnie na bal maturalny”.

Marianne pisze mu dużo o domu pod Triestem, w którym mieszka z Jamiem i Peggy. Relacjonuje wydarzenia: jak się czuje, jak się czują inni, co czyta i o czym myśli. On pisze jej o miastach, które odwiedzają, czasem z akapitem opisującym konkretny widok lub scenę. Napisał o tym, jak wychodząc ze stacji metra na Schönleinstraße, odkryli, że nagle zrobiło się zupełnie ciemno, gałęzie drzew kołysały się nad nimi jak upiorne palce i otoczyły ich odgłosy z barów, zapach pizzy i smród spalin. Ubranie doświadczenia w słowa daje mu poczucie kontroli, jak gdyby zamykał je w słoiku, by nigdy już nie mogło mu umknąć. Kiedyś poinformował Marianne, że pisze opowiadania, i teraz Marianne ciągle go prosi, żeby dał jej coś przeczytać. „Jeśli są tak dobre jak twoje maile, muszą być świetne” – napisała. Miło było przeczytać coś takiego, chociaż odpowiedział szczerze: „Nie są tak dobre jak moje maile”.

Ustalili z Niallem i Elaine, że pojedą pociągiem z Wiednia do Triestu, żeby ostatnie dni podróży spędzić w letnim domu Marianne,

a potem wszyscy razem wrócą samolotem do Dublina. Padła propozycja jednodniowego wypadu do Wenecji. Minionej nocy wsiedli z plecakami do pociągu i Connell przesłał Marianne esemesa, że następnego dnia po południu powinni być na miejscu i że do tego czasu nie będzie mógł odpowiedzieć porządnie na jej wiadomość. Teraz już z czystych ubrań nie zostało mu prawie nic. Ma na sobie szary T-shirt, czarne dżinsy i brudne białe adidas. W plecaku: brudne ubrania, jeden czysty biały T-shirt, pusta plastikowa butelka na wodę, czysta bielizna, ładowarka do telefonu ze zwiniętym kablem, paszport, dwa opakowania zamiennika paracetamolu, bardzo sfatygowany egzemplarz powieści Jamesa Saltera, a dla Marianne zbiorek wybranych wierszy Franka O'Hary znaleziony w berlińskiej księgarni z anglojęzycznymi wydawnictwami. Jeden szary notes w miękkiej okładce.

Elaine szturcha Nialla, aż głowa opada mu do przodu. Otwiera oczy i pyta, która godzina i gdzie są, a Elaine mu odpowiada. Potem Niall splata palce i rozciąga przed sobą ręce. Jego stawy trzeszczą cicho. Connell wygląda przez okno na mijany krajobraz: suche żółcie i zielenie, pomarańczowa krzywizna dachu, okno rozbłyskujące odbitym słońcem.

W kwietniu ogłoszono, kto zdobył stypendium naukowe. Rektor stanął na schodach przed Examination Hall i odczytał listę stypendystów. Tego dnia niebo było szczególnie niebieskie, delirycznie, jak zabarwiony lód. Connell ubrany był w swoją kurtkę, a Helen stała obok, trzymając go pod rękę. Gdy przyszła pora na anglistykę, odczytano cztery nazwiska, alfabetycznie, i ostatnie brzmiało Connell Waldron. Helen chwyciła go w objęcia. I to było wszystko, wypowiedziano jego nazwisko i kontynuowano odczytywanie listy. Czekał na placu, aż ogłoszą stypendystów z Wydziału Historii i Nauk Politycznych, a gdy usłyszał nazwisko Marianne, rozejrzał się, czy jej gdzieś nie ma. Usłyszał wiwaty grupki jej przyjaciół i oklaski. Wsunął ręce do kieszeni. Uzmysłował sobie wówczas, że to się dzieje naprawdę – naprawdę zdobył stypendium, oboje je zdobyli. Nie pamięta zbyt wiele z tego, co się

działo potem. Jedynie to, że po ogłoszeniu listy zadzwonił do Lorraine, a ona najpierw milczała zaszokowana, a potem wymamrotała:

O mój Boże, Jezus Maria.

Pojawili się przy nim Niall i Elaine, gratulowali mu, poklepywali po plecach i nazywali go „cholernym kujonem”. Connell co chwilę wybuchał śmiechem tylko dlatego, że takie nagromadzenie emocji wymagało jakiegoś uzewnętrznienia, a rozpłakać się nie chciał. Tamtego wieczoru wszyscy świeżo upieczeni stypendyści musieli się stawić w strojach wieczorowych na kolacji w sali jadalnej. Connell pożyczył od kogoś ze swojej grupy smoking; nie pasował idealnie i podczas kolacji czuł się skrępowany, próbując konwersować z siedzącym obok wykładowcą. Chciał spędzać czas z Helen i ze swoimi przyjaciółmi, nie z ludźmi, których nie znał i którzy nic o nim nie wiedzieli.

Dzięki stypendium wszystko jest teraz możliwe. Mieszkanie opłacone, chesne uregulowane, codziennie darmowy posiłek na uczelni. Dlatego mógł przez połowę wakacji podróżować po Europie, wydając pieniądze z nonszalancją bogacza. Wyjaśniał to lub próbował wyjaśnić w swoich e-mailach do Marianne. Dla niej stypendium było zastrzykiem wiary w siebie, przyjemnym potwierdzeniem czegoś, w co i tak zawsze wierzyła: że jest wyjątkowa. Connell nigdy tak naprawdę nie wiedział, czy może myśleć o sobie w ten sposób, wciąż nie wie. Dla niego stypendium było gigantycznym zdarzeniem materialnym, było jak olbrzymi statek wycieczkowy, który pojawia się nagle, nie wiadomo skąd; i teraz oto Connell może zrobić studia magisterskie za friko, jeśli chce, mieszkać w Dublinie za darmo i już nigdy nie martwić się o czynsz, dopóki studiuje. Oto może spędzać popołudnie w Wiedniu, podziwiając *Alegorię malarstwa* Vermeera, na dworze jest upał i jeśli ma ochotę, może kupić sobie potem zimny kufel taniego piwa. Zupełnie jakby coś, co całe życie brał za namalowane tło, okazało się prawdziwe: zagraniczne miasta są prawdziwe, i słynne dzieła sztuki, i sieci metra, i pozostałości muru berlińskiego. Tym właśnie są pieniądze, czymś, dzięki czemu świat staje się prawdziwy. Jest w tym coś strasznie zepsutego i seksownego.

Do domu Marianne docierają o trzeciej, w popołudniowym skwarze. W zaroślach przy bramie brzęczą owady, a na masce samochodu po drugiej stronie ulicy wyleguje się rudy kot. Za bramą Connell widzi dom, taki sam jak na zdjęciach, które mu przesłała: ma kamienną fasadę i białe okiennice. Widzi ogrodowy stolik z dwiema pozostawionymi na blacie filiżankami. Elaine wciska dzwonek i po kilku sekundach ktoś wychodzi zza domu. To Peggy. Ostatnio Connell nabrał przekonania, że Peggy go nie lubi, i teraz obserwuje ją, szukając na to dowodów. On też jej nie lubi, nigdy nie lubił, co jednak nie wydaje mu się szczególnie istotne. Peggy spieszy do bramy, żwir chrzęści pod jej sandałami. Słońce piecze Connella w kark jak czyjeś świdrujące spojrzenie. Peggy otwiera bramę i wpuszcza ich, uśmiechając się szeroko.

Ciao, ciao – mówi. Ma na sobie krótką dżinsową sukienkę, a na nosie wielkie ciemne okulary. Wszyscy podchodzą do domu zwirowym podjazdem, Niall dźwigając nie tylko swój plecak, ale i plecak Elaine. Peggy wyławia z kieszeni sukienki klucze i otwiera drzwi.

W holu przez łukowate wejście schodzi się kilka stopni w dół do kuchni, która jest długim, pełnym światła pomieszczeniem wyłożonym terakotą, z białymi szafkami i stołem przy drzwiach do ogrodu. Marianne stoi na zewnątrz, za domem, wśród wiśniowych drzew, i trzyma kosz z praniem. Ma na sobie białą sukienkę bez pleców i jej skóra wygląda na opaloną. Wiesz na sznurku czyste ubrania. Tego dnia jest bezwietrznie, wiszą więc nieruchomo, w wilgotnych kolorach. Marianne kładzie rękę na klamce i wtedy ich zauważa. To wszystko zdaje się dziać bardzo powoli, choć trwa jedynie kilka sekund. Marianne otwiera drzwi, odstawia kosz na stół i Connell rejestruje przyjemne ściśnięcie w gardle. Jej sukienka wygląda nieskazitelnie i Connell ma świadomość, jak brudny musi się wydawać, nie kąpał się bowiem, odkąd opuścili schronisko wczoraj rano, jego ubrania też nie są zbyt czyste.

Cześć – rzuca Elaine.

Marianne uśmiecha się i mówi *ciao*, jak gdyby parodiowała samą siebie, całuje Elaine w oba policzki, potem Nialla i pyta ich o podróż, a Connell stoi tam, owładnięty uczuciem, które mogło być

jedynie skrajnym wyczerpaniem, narastającym od tygodni zmęczeniem. Wyławia zapach prania. Z bliska zauważa, że jej ramiona są lekko obsypane piegami, a plecy mocno się różowią. Po chwili Marianne odwraca się do niego i cmokają się w policzki. Patrząc mu w oczy, Marianne mówi:

No, witam.

W jej zachowaniu wychwytuje pewne zaciekawienie, jak gdyby zbierała informacje o jego uczuciach. Bardzo długo uczyli się odczytywać siebie nawzajem w ten sposób, co jest pewnego rodzaju prywatnym językiem. Connell czuje, że jego twarz się rumieni, gdy Marianne na niego patrzy, nie chce jednak odwrócić wzroku. On też potrafi czytać z jej twarzy. Wyczytuje, że Marianne chce mu o czymś powiedzieć.

Cześć – rzuca Connell.

Marianne przyjęła propozycję spędzenia trzeciego roku studiów w Szwecji. Wyjeżdża we wrześniu i zależnie od jej planów na Boże Narodzenie możliwe, że Connell nie będzie jej widział do czerwca przyszłego roku. Wszyscy ciągle mu mówią, że będzie za nią tęsknił, lecz do tej pory cieszył się na długą i intensywną korespondencję e-mailową, jaką będą mogli prowadzić pod jej nieobecność. Teraz patrzy w jej chłodne, rejestrujące oczy i myśli sobie: Dobra, będę za nią tęsknił. Budzi to w nim ambiwalentne uczucia, jak gdyby dopuszczał się nielojalności tym, że może sprawia mu przyjemność wygląd Marianne lub jakiś fizyczny aspekt jej bliskości. Nie jest pewien, co przyjaciółom może się w sobie nawzajem podobać, co im wolno, a czego nie.

W serii wiadomości, które ostatnio wymieniali, na temat ich przyjaźni, stosunek Marianne do Connella wyrażał się głównie poprzez niesłabnące zainteresowanie jego opiniami i poglądami, zaciekawienie jego życiem, a także odruch, żeby się z nim konsultować, gdy nie może podjąć w jakiejś sprawie decyzji. On wyrażał swoje uczucia raczej w kategoriach identyfikacji – wspierał ją i cierpiał z nią, kiedy ona cierpiała, potrafił dostrzec jej motywy i sympatyzować z nimi. Marianne uważała, że ma to coś wspólnego z rolami płciowymi. „Myślę, że po prostu bardzo cię lubię jako

człowieka” – odpowiedział defensywnie. „Właściwie to bardzo słodkie, co piszesz” – skomentowała.

Gdy do kuchni schodzi Jamie, wszyscy odwracają się do niego i witają się z nim. Connell wykonuje tylko nieznaczny ruch głową. Jamie rzuca mu drwiący uśmiezek i mówi:

Stary, wyglądasz z lekka nieświeżo.

Jamie, odkąd został chłopakiem Marianne, nieustannie wzbudza w Connellu niechęć i jest obiektem jego drwin. Przez kilka miesięcy, odkąd po raz pierwszy zobaczył ich razem, Connell maniakalnie fantazjował o tym, że kopie Jamiego w głowę tak długo, aż ta nabiera konsystencji mokrych gazet. Pewnego razu po krótkiej wymianie zdań z Jamiem na imprezie Connell wyszedł z domu i rąbnął pięścią w ceglana ścianę tak mocno, że zaczęła mu krwawić ręka. Jamiemu w jakiś sposób udaje się być jednocześnie nudnym i antypatycznym, zawsze ziewa i przewraca oczami, gdy mówi ktoś inny. Jest jednak przy tym najbardziej pewną siebie osobą, jaką Connell kiedykolwiek poznał, i przychodzi mu to bez żadnego trudu. Nic nie jest w stanie go speszyć. Wydaje się, że nie potrafi doświadczyć konfliktu wewnętrznego. Connell może sobie wyobrazić, że Jamie poddusza Marianne gołymi rękami, zupełnie się tym nie przejmując, co zresztą, jeśli jej wierzyć, robi.

Marianne nastawia kawiarkę, natomiast Peggy kroi chleb i układa na talerzach oliwki i szynkę parmeńską. Elaine opowiada im o wygłupach Nialla i Marianne śmieje się wielkodusznie nie dlatego, że te anegdoty są takie zabawne, chce jednak, żeby Elaine poczuła się w tym domu swobodnie. Peggy rozdaje talerze, a Marianne dotyka ramienia Connella i wręcza mu filiżankę kawy. Ta biała sukienka i biała porcelanowa filiżanka sprawiają, że Connell chce powiedzieć: Wyglądasz jak anioł. Nie jest to coś, co Helen miałaby mu za złe, ale nie może mówić takich rzeczy przy ludziach, nie może wypowiadać takich dziwacznych, czułych słów. Popija kawę i zjada trochę chleba. Kawa jest bardzo gorąca i gorzka, a chleb miękki i świeży. Zaczyna odczuwać zmęczenie.

Po posiłku wchodzi na górę, żeby wziąć prysznic. W domu są cztery sypialnie, ma więc jedną tylko dla siebie, z olbrzymim, otwieranym pionowo oknem wychodzącym na ogród. Po kąpieli

ubiera się w jedyne porządne rzeczy, które mu zostały: biały T-shirt i niebieskie dżinsy noszone od czasów liceum. Włosy ma wilgotne. W głowie mu się przejaśniło na skutek wypicia kawy i wysokiego ciśnienia wody pod prysznicem, a także chłodu bawełny na skórze. Przewiesza wilgotny ręcznik przez ramię i otwiera okno. Na ciemnozielonych drzewach wiśnie wiszą jak kolczyki. Myśli przez chwilę o tym porównaniu. Umieściłby je w e-mailu do Marianne, ale nie może do niej wysłać e-maili, gdy przebywają w tym samym domu. Helen nosi kolczyki, zwykle małe złote kółka. Connell pozwala sobie pofantazjować o niej przez krótki czas, bo słyszy, że pozostali i tak są na dole. Wyobraża ją sobie, jak leży na plecach. Mógł o tym pomyśleć pod prysznicem, ale był zbyt zmęczony. Potrzebuje tutejszego hasła do Wi-Fi.

Podobnie jak Connell Helen była w szkole lubiana. Wciąż dokłada starań, by nie stracić kontaktu z dawnymi koleżankami i krewnymi, pamięta o urodzinach, publikuje na Facebooku nostalgiczne zdjęcia. Zawsze odpowiada na zaproszenia i przychodzi punktualnie na imprezy, robi grupowe zdjęcia tak długo, aż wszyscy są zadowoleni z rezultatu. Innymi słowy, jest miła i Connell zaczyna rozumieć, że właściwie lubi miłych ludzi, a nawet chce być jedną z takich osób. Helen ma na swoim koncie poważny związek z chłopakiem o imieniu Rory, z którym zerwała na pierwszym roku studiów. Rory studiuje w Kolegium Uniwersyteckim, więc Connell nigdy się na niego nie natknął, widział tylko jego zdjęcia na Facebooku. Budową i karnacją jest całkiem podobny do Connella, ale wygląda ciapowato i jest niemodnie ubrany. Connell przyznał się Helen kiedyś, że obejrzał go sobie w sieci, a ona zapytała, jakie zrobił na nim wrażenie.

Nie wiem – rzekł Connell. – Wydaje się taki trochę drętwy, nie sądzisz?

Ta uwaga jej zdaniem była przekomiczna. Leżeli w łóżku i Connell obejmował ją ramieniem.

To jest twój typ, podobają ci się sztywniacy? – spytał.

Sam sobie odpowiedz na to pytanie.

Co, ja niby jestem sztywny?

Tak sędzę – oznajmiła. – Ale w pozytywnym sensie, nie lubię tych za bardzo wyluzowanych.

Uniósł się trochę, żeby na nią spojrzeć.

Mówisz poważnie? – spytał. – Nie czuję się urażony, ale szczerze powiedziawszy, wydawało mi się, że jestem, wiesz, cool.

Tylko że taki trochę burak z ciebie.

Burak? A czym to się przejawia?

Masz strasznie mocny akcent ze Sligo – powiedziała.

Nieprawda. Nie wierzę ci. Nikt nigdy mi czegoś takiego nie powiedział. Naprawdę jest aż tak źle?

Cały czas się śmiała. Przesunął dłonią po jej brzuchu, uśmiechając się do siebie, bo ją rozśmieszała.

Rozumiem tylko połowę z tego, co mówisz – powiedziała. – Na szczęście jesteś typem silnego milczka.

On też nie wytrzymał i się roześmiał.

Helen, ranisz mnie – rzekł.

Wsunęła rękę pod głowę.

Naprawdę ci się wydaje, że jesteś cool?

No, teraz już nie.

Uśmiechnęła się do siebie.

To dobrze – rzuciła. – Dobrze, że nie jesteś.

Helen i Marianne poznały się w lutym na Dawson Street. Connell i Helen szli razem, trzymając się za ręce, gdy Connell ujrzał Marianne w czarnym berecie wychodzącą z księgarni Hodges Figgis.

O, cześć – powiedział zatrwożonym głosem. Zastanawiał się, czy nie puścić ręki Helen, ale nie mógł się do tego zmusić.

Cześć – rzuciła Marianne. – Ty pewnie jesteś Helen.

Obydwie dziewczyny prowadziły ze wszech miar sensowną i kulturalną rozmowę, gdy on stał tam w panice, wbijając wzrok w różne otaczające ich przedmioty.

Później Helen zapytała go:

A więc ty i Marianne zawsze byliście tylko przyjaciółmi czy...? Siedzieli wtedy w jego pokoju, przy Pearse Street. Za oknem jeździły autobusy, rzucając na drzwi sypialni snop żółtego światła.

Tak, mniej więcej – rzekł. – W sensie: nigdy nie byliśmy parą.

Ale sypialiście ze sobą.

No, tak jakby. Nie, tak, uczciwie mówiąc, sypialiśmy. Czy to aż tak ważne?

Nie, jestem tylko ciekawa – powiedziała Helen. – Byliście tak zwanymi seksprzyjaciółmi?

Zasadniczo tak. W ostatniej klasie liceum i przez pewien czas w zeszłym roku. To nie było nic poważnego, nic w tym rodzaju.

Helen uśmiechnęła się do niego. Przesuwał zębami po dolnej wardze i uświadomił sobie, żeby przestać, dopiero gdy to zauważyła.

Wygląda, jakby była studentką jakiejś uczelni artystycznej – stwierdziła Helen. – Pewnie uważasz ją za ikonę stylu.

Roześmiał się cicho i wbił spojrzenie w podłogę.

To nie tak – powiedział. – Znamy się od dzieciństwa.

Nie musisz czuć się głupio dlatego, że jest twoją byłą – przekonywała go Helen.

Nie jest moją byłą. Przyjaźnimy się tylko.

Ale zanim zostaliście przyjaciółmi...

W każdym razie nie była moją dziewczyną – rzekł.

Ale kochałeś się z nią.

Zasłonił całą twarz rękoma. Helen roześmiała się.

Od tamtej pory Helen uporczywie starała się zaprzyjaźnić z Marianne, jak gdyby chcąc czegoś dowieść. Gdy widywali się na imprezach, zasypywała ją komplementami na temat fryzury lub stroju, które Marianne przyjmowała lekkim skinieniem głowy, po czym wracała do przedstawiania rzeczowej opinii na przykład o raporcie Magdalene Laundry o sprawie Denisa O'Briena. Obiektywnie Connella interesowały opinie Marianne, dostrzegał jednak, że jej skłonność do wyłuszczenia ich bardzo szczegółowo kosztem lżejszych tematów nie urzekła wszystkich. Pewnego wieczoru, po przydługiej dyskusji na temat Izraela, Helen wydawała się rozdrażniona i gdy wracali pieszo do domu, oświadczyła Connellowi, że jej zdaniem Marianne jest „skoncentrowana na sobie”.

Bo za dużo mówi o polityce? – spytał Connell. – Nie nazwałbym tego skoncentrowaniem na sobie.

Helen wzruszyła ramionami, ale wciągnęła powietrze przez nos, co wskazywało, że jego reakcja jej się nie spodobała.

Była taka sama w liceum – dodał. – Ale ona nie udaje, autentycznie ją to interesuje.

Naprawdę obchodzą ją izraelskie rozmowy pokojowe?

Connell, zaskoczony, odpowiedział po prostu:

Tak.

Szli w milczeniu przez kilka sekund i Connell dodał:

Szczerze mówiąc, mnie też obchodzą. To dosyć ważne.

Helen westchnęła głośno. Zaskoczyło go, że wzdycha w ten naburmuszony sposób, i zaczął się zastanawiać, ile wypila. Szła ze skrzyżowanymi przed sobą rękoma. Nie chcąc, żeby to zabrzmiało moralizatorsko, dodał:

Naturalnie nie ocalimy Bliskiego Wschodu samą rozmową o tym na domówce. Marianne chyba po prostu dużo myśli o tych sprawach.

Nie sądzisz, że może zachowuje się tak, żeby ściągnąć na siebie uwagę? – spytała Helen.

Zmarszczył brwi, starając się przybrać zamyśloną minę. Marianne tak bardzo nie obchodziło, co sądzą o niej ludzie, była tak pewna własnej samooceny, że trudno sobie wyobrazić, aby zależało jej na zainteresowaniu innych. Z tego, co wiedział, Marianne nie lubiła siebie ani trochę, ale pochwały wydawały jej się tak nieistotne jak dezaprobata rówieśników w czasach liceum.

Szczerze? – odparł. – Nie.

Lubi za to najwyraźniej, gdy ty zwracasz na nią uwagę.

Connell przełknął ślinę. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Helen jest tak poirytowana i nie próbuje nawet swej irytacji ukrywać. Wątpił, by Marianne poświęcała mu jakąś szczególną uwagę, chociaż rzeczywiście zawsze słucha, gdy Connell coś mówi, a tej grzeczności niekiedy odmawia innym. Odwrócił głowę, by spojrzeć na przejeżdżający samochód.

Nie zauważyłem – powiedział w końcu.

Odetchnął z ulgą, gdy Helen porzuciła ten konkretny wątek i zajęła się bardziej ogólną krytyką zachowania Marianne.

Za każdym razem, gdy widzimy ją na imprezie, zawsze flirtuje z dziesięcioma chłopakami naraz – oznajmiła Helen. – To dopiero głód męskiej adoracji.

Zadowolony, że nie jest już obiektem krytyki, Connell uśmiechnął się i powiedział:

Tak. W liceum była zupełnie inna.

Chcesz powiedzieć, że nie zachowywała się tak zdzirowato? – spytała Helen.

Czując, że został nagle zapędzony w kozi róg, i żałując, że stracił czujność, Connell znowu zamilkł. Wiedział, że Helen jest miłą osobą, zapominał jednak czasem, jak bardzo staroświeckie ma poglądy. Po pewnym czasie powiedział nieśmiało:

Proszę cię, to moja przyjaciółka, okej? Nie mów o niej w ten sposób.

Helen nie odpowiedziała, ale zaplotła ręce na piersiach jeszcze wyżej. Tak czy siak, nie powinna tak mówić. Później będzie się zastanawiał, czy tak naprawdę bronił Marianne, czy bronił siebie przed sugerowanym zarzutem dotyczącym swojego życia intymnego, sugestią, że jest w jakiś sposób nieczysty, że odczuwa niedopuszczalne pragnienia.

Obecnie wiadomo, choć się o tym nie mówi, że Helen i Marianne specjalnie za sobą nie przepadają. Są różne. Connell uważa, że najlepsze aspekty jego osoby to te, które są najbardziej zgodne z Helen: lojalność, praktyczne w gruncie rzeczy podejście do życia, pragnienie, by uważano go za dobrego chłopaka. Przy Helen nie czuje niczego, co napawałoby go wstydem, nie łąpie się na tym, że wypowiada w trakcie seksu dziwaczne słowa, nie dręczy go nieodparte poczucie, że nie ma swojego miejsca, że nigdy go mieć nie będzie. Marianne cechowała dzikość, którą na pewien czas go zaraziła, przez co czuł się taki jak ona, czuł, że są ofiarami takiego samego nienazwanego duchowego urazu i że ani jedno, ani drugie nigdy nie będzie pasować do tego świata. On jednak nigdy nie był okaleczony tak jak ona. Po prostu tak się czuł przy niej.

Pewnego wieczoru czekał na Helen na uczelni tuż pod Graduates Memorial Building. Wracała z siłowni na drugim końcu kampusu i mieli razem pojechać autobusem do niej. Stał na schodach

wpatrzony w swój telefon, gdy drzwi za nim otworzyły się i z budynku wyszła grupka w eleganckich sukniach i garniturach, wszyscy śmiali się i rozmawiali. Światło w holu za nimi sprawiało, że widoczne były tylko ich ciemne zarysy, toteż potrwało chwilę, nim rozpoznał Marianne. Była ubrana w długą sukienkę w ciemnym kolorze, a włosy miała upięte wysoko, dzięki czemu odsłonięta szyja nabrała smukłości. Gdy ich spojrzenia się spotkały, jej twarz przybrała znajomy wyraz.

Cześć – rzuciła. Nie znał jej towarzyszy; przypuszczał, że są z klubu dyskusyjnego czy czegoś w tym rodzaju.

Cześć – odpowiedział. Czy kiedykolwiek to, co czuje do niej, będzie przypominało jego uczucia wobec innych? Część tych emocji stanowiła jednak świadomość straszliwej władzy, jaką nad nią miał i wciąż ma, i nie przewidywał, żeby kiedykolwiek miał ją stracić.

Wtedy zjawiała się Helen. Zauważył ją dopiero wtedy, gdy go zawołała. Miała na sobie legginsy i sportowe buty, niosła przewieszoną przez ramię torbę, a w świetle latarni na jej czole uwidocznił się wilgotny blask. Poczul do niej gwałtowny przypływ miłości, miłości i współczucia, niemal litości. Wiedział, że jego miejsce jest przy niej. Łączyło ich coś normalnego, był to dobry związek. Życie, które wiedli, było życiem właściwym. Zdjął sportową torbę z jej ramienia i podniósł rękę, żeby pomachać do Marianne na do widzenia. Nie odmachała mu, tylko skinęła głową.

Miłego wieczoru! – zawołała Helen. I poszli na przystanek. Potem czuł się smutny z powodu Marianne, że nic w jej życiu nie wydaje się zdrowe i że musiał się od niej odwrócić. Wiedział, że zadał jej tym ból. W pewnym sensie smucił się też ze swojego powodu. Siedząc w autobusie, nadal wyobrażał ją sobie, jak stoi w drzwiach podświetlona od tyłu: jak cudownie wyglądała, jaką była zachwycającą, imponującą osobą; i ta subtelna zmiana w wyrazie jej twarzy, gdy na niego spojrzała. Nie mógł jednak być taki, jak by chciała. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że Helen coś do niego mówi, przestał więc o tym rozmyślać i zaczął jej słuchać.

Na kolację Peggy gotuje makaron i posilają się przy okrągłym stole w ogrodzie. Niebo ma ekscytujący odcień chlorowanej wody w basenie, rozciąga się nad nimi nieskalane jak połać jedwabiu. Marianne przynosi z domu schłodzoną butelkę musującego wina ze spływającymi po szkle kroplami, które wyglądają jak pot, i prosi Nialla, żeby ją otworzył. Connell przyznaje w myślach, że to słuszna decyzja. Marianne przy takich okazjach zachowuje się nienagannie, jak żona dyplomaty. Connella posadzono między nią a Peggy. Korek wystrzeliwuje nad ogrodzenie i ląduje gdzieś, gdzie nikt nie może go dostrzec. Biała piana wypływa z szyjki i Niall nalewa wino do kieliszka Elaine. Kieliszki są szerokie i płytkie jak spodki. Jamie odwraca swój do góry dnem i pyta:

Nie mamy odpowiednich kieliszków do szampana?

To są kieliszki do szampana – odpowiada Peggy.

Nie, mam na myśli te podłużne – upiera się Jamie.

Chodzi ci o flety – mówi Peggy. – To są płaskie szampanki.

Helen śmiała by się z tej rozmowy i myśląc o tym, jak bardzo by się śmiała, Connell się uśmiecha. Marianne mówi:

To chyba nie jest sprawa życia i śmierci, prawda?

Peggy napełnia swój kieliszek i podaje butelkę Connellowi.

Chcę tylko powiedzieć, że z takich kieliszków nie pije się szampana – mówi Jamie.

Co za snob – stwierdza Peggy.

Ja, snob? – dziwi się Jamie. – Pijemy szampana z sosjerek.

Niall i Elaine zaczynają się śmiać, a Jamie uśmiecha się w mylnym przekonaniu, że śmieją się z jego dowcipnej riposty. Marianne dotyka lekko powieki opuszką palca, jak gdyby usuwała okruszek lub ziarnko piasku. Connell podaje jej butelkę.

To szampanki w starym stylu – wyjaśnia Marianne. – Należały do mojego taty. Skocz do domu po inny kieliszek, jeśli chcesz, stoją w szafce nad zlewem.

Jamie ironicznie otwiera szerzej oczy i mówi:

Nie wiedziałem, że jesteś z nimi tak emocjonalnie związana.

Marianne stawia butelkę na środku stołu i nic nie mówi. Connell nigdy jeszcze nie słyszał, żeby Marianne wspominała o swoim ojcu podczas zwykłej rozmowy, takiej jak ta. Najwyraźniej nikt przy stole

nie zdaje sobie z tego sprawy; Elaine może nawet nie wie, że ojciec Marianne nie żyje. Connell próbuje przechwycić spojrzenie Marianne, ale mu się to nie udaje.

Makaron jest przepyszny – chwali Elaine.

Och – odpowiada Peggy. – Bardzo al dente, prawda? Może za bardzo.

Moim zdaniem dobry – stwierdza Marianne.

Connell wypija łyk wina, które musuje chłodno w ustach, a potem rozplywa się jak powietrze. Jamie zaczyna opowiadać anegdotę o jednym z przyjaciół, który jest na letnim stażu w Goldman Sachs. Connell dopija wino i Marianne dyskretnie mu dolewa.

Dzięki – mówi cicho.

Jej dłoń unosi się na chwilę, jak gdyby miała go dotknąć, ale nie robi tego. Marianne nic nie mówi.

Nazajutrz rano po ogłoszeniu listy stypendystów Connell i Marianne udali się razem na uroczystość zaprzysiężenia. Poprzedniej nocy Marianne zabalowała i wyglądała na skacowaną, co mu się podobało, bo ceremonia miała charakter bardzo formalny, musieli się ubrać w togi i recytować łacińskie formułki. Później poszli razem na śniadanie do kawiarni niedaleko uczelni. Usiedli na zewnątrz przy stoliku obok ulicy i mijali ich ludzie z zakupami w papierowych torbach lub prowadzący głośne rozmowy przez telefon. Marianne wypila jedną filiżankę czarnej kawy i zamówiła croissanta, którego nie skończyła. Connell zjadł duży omlet z szynką i serem oraz dwa tosty z masłem i wypił herbatę z mlekiem.

Marianne wyjawiała, że martwi się o Peggy, która jako jedyna z ich trójki nie otrzymała stypendium. Powiedziała, że będzie jej ciężko. Connell wciągnął głęboko powietrze i milczał. Peggy nie potrzebowała pomocy finansowej, by opłacić czesne, ani zakwaterowania na terenie kampusu, bo mieszkała z rodzicami w Blackrock i oboje rodzice byli lekarzami, Marianne jednak nadal postrzegała stypendium jako kwestię bardziej związaną z samooceną niż sytuacją finansową.

W każdym razie cieszę się, że tobie się udało – powiedziała Marianne.

A ja się cieszę z twojego powodu.

Ale ty zasługujesz na nie bardziej.

Spojrzał na nią. Wytarł usta serwetką.

Finansowo? – spytał.

Och – odparła. – Chodziło mi o to, że jesteś lepszym studentem.

Popatrzyła krytycznie na swojego croissanta. Obserwował ją.

Chociaż naturalnie miałam też na myśli sytuację materialną – dodała. – To trochę absurd, że przy okazji nie sprawdza się dochodów rodziny.

Klasowo pochodzimy z zupełnie różnych środowisk.

Nie myślę o tym specjalnie – przyznała. I szybko dodała: – Przepraszam, palnęłam chyba coś bez sensu. Może powinnam myśleć o tym częściej.

Nie traktujesz mnie jak swojego kumpla z proletariatu?

Posłała mu uśmiech, który bardziej przypominał grymas, i powiedziała:

Zdaję sobie sprawę z tego, że poznaliśmy się dzięki temu, że twoja mama pracuje dla mojej rodziny. Nie sądzę też, żeby moja matka była dobrym pracodawcą, nie płaci Lorraine zbyt dobrze.

Tak, płaci jej nędzne grosze.

Ukroił cienki kawałek omleta. Wolałby, żeby jajko było mniej gumowate.

Dziwię się, że ten temat nie wypłynął wcześniej – stwierdziła. – Myślę, że byłoby całkiem fair, gdybyś miał do mnie pretensje.

Nie, nie mam do ciebie pretensji. Dlaczego niby powinienem mieć?

Odłożył sztućce i spojrzał na nią. Jej twarz wyrażała lekkie zaniepokojenie.

Po prostu dziwnie się czuję z tym wszystkim – wyjaśnił. – Czuję się dziwnie, recytując łacińskie formułki ubrany w smoking. Wiesz, że podczas kolacji wczoraj wieczorem obsługiwali nas studenci? Pracują, żeby zarobić na studia, gdy my siedzimy tam, wsuwając darmowe żarcie, które oni nam podają. Czy to nie jest potworne?

Oczywiście, że tak. Cała idea tak zwanej merytokracji jest z gruntu zła, wiesz, że tak myślę. Ale co mamy zrobić, zrezygnować ze stypendium? Nie wiem, co byśmy w ten sposób osiągnęli.

Cóż, zawsze łatwo jest znaleźć powody, żeby czegoś nie zrobić.

Wiesz, że ty też tego nie zrobisz, więc nie rozbudzaj we mnie poczucia winy – powiedziała.

Potem posilali się, jak gdyby odgrywali spór, w którym obie strony są równie przekonujące, a swoje stanowiska wybrali mniej więcej przypadkowo, po to tylko, żeby odbyć dyskusję. Pod pobliską latarnią uliczną wylądowała duża mewa, której upierzenie było imponująco czyste i delikatne.

Musisz zadać sobie pytanie, jak twoim zdaniem mogłoby wyglądać dobre społeczeństwo – rzekła Marianne. – I jeśli uważasz, że ludzie powinni móc studiować i zdobywać dyplomy z anglistyki, nie możesz mieć wyrzutów sumienia, że sam to robisz, bo masz do tego pełne prawo.

Łatwo ci mówić, bo ty nie masz wyrzutów sumienia z żadnego powodu.

Zacząła grzebać w torebce, szukając czegoś. Spytała wprost:

Tak mnie postrzegasz?

Nie – przyznał. Po czym, nie mając pewności, czy cokolwiek wzbudza w Marianne poczucie winy, dodał: – Nie wiem. Powinienem być się domyślić, przyjeżdżając tu na studia, że tak będzie. Po prostu patrzę na te wszystkie przywileje związane ze stypendium i myślę sobie: Jezu, co by powiedzieli u nas w szkole?

Przez chwilę Marianne milczała. Miał niejasne poczucie, że wyraził się niewłaściwie, ale nie wiedział, gdzie popełnił błąd.

Trzeba przyznać – powiedziała – że zawsze bardzo się przejmowałeś tym, co powiedzą w szkole.

Przypomniawszy sobie wtedy, jak ją wówczas traktowano i jak sam ją potraktował, i zrobiło mu się głupio. Nie była to konkluzja z tej rozmowy, na jaką liczył, uśmiechnął się jednak i powiedział:

Aua.

Zareagowała uśmiechem i podniosła filiżankę z kawą. W tym momencie pomyślał: Jeśli w liceum nasz związek istniał na moich,

to teraz istnieje na jej warunkach. Tylko że ona jest bardziej wielkoduszna niż ja. Jest lepszym człowiekiem.

Gdy opowieść Jamiego dobiega końca, Marianne wchodzi do domu i wraca z jeszcze dwiema butelkami – musującego i czerwonego wina. Niall zaczyna odkręcać drucik na pierwszej butelce i Marianne podaje korkociąg Connellowi. Peggy wstaje, żeby zebrać talerze. Connell odwija folię i gdy Jamie pochyla się i mówi coś do Marianne, wbija korkociąg i zaczyna kręcić. Peggy zabiera jego talerz i odkłada go na stertę innych. Connell składa skrzydełka korkociągu i korek wysuwa się z szyjki z odgłosem przypominającym cmoknięcie.

Niebo zbladło do chłodniejszego odcienia błękitu i na widnokręgu srebrzą się chmury. Connell czuje, że piecze go twarz, zastanawia się, czy nie przesadził ze słońcem. Lubi wyobrażać sobie czasem Marianne starszą, z dziećmi. Wyobraża sobie, że wszyscy są tutaj, we Włoszech, i Marianne robi sałatkę lub coś takiego, i skarży się Connellowi na męża, starszego od siebie, prawdopodobnie intelektualistę; Marianne uważa go za nudziarza. Dlaczego nie wyszłam za ciebie? – mawia wtedy. W tym marzeniu widzi Marianne bardzo wyraźnie, widzi jej twarz, i ma wrażenie, że spędziła całe lata jako dziennikarka, może w Libanie. Siebie nie widzi już tak dobrze, nie wie też, czym się zajmuje. Wie natomiast, co jej odpowie. „Bo nie miałem forsy” – powie. A ona roześmieje się, nie podnosząc wzroku znad sałatki.

Przy stole rozmawiają o jednodniowej wycieczce do Wenecji: którym pociągiem jechać, które galerie odwiedzić. Marianne zapewnia Connella, że spodoba mu się Guggenheim, a Connell jest zadowolony, że przemówiła do niego, że wyróżniła go jako kogoś, kto ceni sztukę współczesną.

Nie wiem, po co się pchamy do tej Wenecji – stwierdza Jamie. – Pełno tam Azjatów, którzy wszędzie cykają zdjęcia.

Broń Boże, żebyś miał spotkać na swej drodze Azjatę – mówi Niall.

Przy stole zapada cisza. Po czym Jamie mówi:

Co?

Z brzmienia jego głosu i opóźnionej reakcji jasno wynika, że jest wstawiony.

To, co właśnie powiedziałeś o Azjatach, jest jakby trochę rasistowskie – odpowiada Niall. – Ale nie zamierzam robić z tego wielkiego halo.

Ach, bo wszyscy Azjaci przy naszym stole się poobrażają, tak? – mówi Jamie.

Marianne wstaje raptownie i mówi:

Idę po deser.

Connell jest rozczarowany tym przejawem tchórzostwa, ale też nic nie mówi. Peggy wchodzi za Marianne do domu i wszyscy przy stole milczą. W ciemnościach krąży gigantyczna ćma i Jamie odgania ją serwetką. Po paru minutach Peggy i Marianne przynoszą z kuchni deser: połówki truskawek w wielkiej misie, talerzyki z białej porcelany i srebrne łyżeczki. Jeszcze dwie butelki wina. Talerzyki podawane są z rąk do rąk i wszyscy nakładają sobie owoce.

Spędziła pół dnia, krojąc te małe cholerstwa – mówi Peggy.

Czuję się strasznie rozpieszczana – stwierdza Elaine.

A gdzie śmietana? – pyta Jamie.

W domu – odpowiada Marianne.

To dlaczego nie przyniosłaś?

Marianne chłodno odsuwa krzesło i wstaje, żeby odejść do kuchni. Jest już prawie ciemno. Jamie prześlizguje się wzrokiem po wszystkich przy stole, chcąc znaleźć kogoś, kto spojrzy na niego i zgodzi się, że miał rację, prosząc o śmietanę, lub że reakcja Marianne jest przesadna. Tymczasem wszyscy najwyraźniej starają się nie patrzeć w jego stronę, więc z głośnym westchnieniem gwałtownie odsuwa swoje krzesło i idzie za nią. Krzesło bezgłośnie przewraca się do tyłu na trawę. Jamie wchodzi przez boczne drzwi do kuchni i zatrząskuje je głośno za sobą. Są jeszcze drugie drzwi, które wychodzą na inną część ogrodu, tę z wiśniowym sadem. Jest ogrodzona i z tego miejsca widać tylko czubki drzew.

Gdy Connell przenosi uwagę z powrotem na zebranych przy stole, zauważa, że Niall się w niego wpatruje. Nie wie, co znaczy to

spojrzenie. Próbuje mrużyć oczy, by przekazać Niallowi swoją konsternację. Niall zerka znacząco w stronę domu, a potem z powrotem na niego. Connell ogląda się przez prawe ramię. W kuchni pali się światło, sączy się żółtawo przez kuchenne drzwi. Patrząc z ukosa, Connell nie widzi, co się dzieje w środku. Elaine i Peggy chwalą truskawki. Gdy milkną, słyszy podniesiony głos dochodzący ze środka budynku, prawie wrzask. Wszyscy nieruchomieją. Wstaje od stołu, żeby pójść do domu, i czuje, jak spada mu gwałtownie ciśnienie. Wypił już butelkę wina, jeśli nie więcej.

Gdy dociera do kuchennych drzwi, widzi Jamiego i Marianne stojących przy blacie w trakcie kłótni. Nie zauważają od razu Connella za szybą. Zatrzymuje się z ręką na klamce. Marianne jest mocno zarumieniona, może od słońca, a może jest wściekła. Jamie niepewnie nalewa do szampanki czerwone wino. Connell naciska klamkę i wchodzi do środka.

W porządku? – pyta.

Oboje spoglądają na niego, przerywając rozmowę. Zauważa, że Marianne drży, jakby było jej zimno. Jamie sarkastycznie podnosi kieliszek w stronę Connella, rozlewając wino na podłogę.

Odstaw to – mówi cicho Marianne.

Że co, przepraszam?

Proszę cię, odstaw ten kieliszek – mówi Marianne.

Jamie uśmiecha się i kiwa głową do siebie.

Chcesz, żebym go odstawił? – pyta. – Dobra. Dobra, patrz, odstawiam.

Puszcza kieliszek, który roztrzaskuje się na podłodze. Marianne wydaje z siebie krzyk, prawdziwy krzyk z głębi gardła, i rzuca się na Jamiego, odchylając prawą rękę do tyłu, jakby chciała go uderzyć. Connell wkracza między nich przy trzasku szkła pod butami i chwyta Marianne za ramiona. Za nim Jamie się śmieje. Marianne próbuje odepchnąć Connella, jej ciało dygocze, a twarz pokryta jest czerwonymi plamami, jakby wcześniej płakała.

Spokojnie, Marianne – mówi Connell.

Ona patrzy na niego. Przypomina sobie ją w szkole, tak bardzo złośliwą i upartą. Wiedział o niej wtedy różne rzeczy. Mierzą się

wzrokiem i po chwili jej sztywność słabnie, ciało Marianne wiotczeje, jakby została postrzelona.

Jesteś, kurwa, jakąś psycholką – cedzi Jamie. – Powinnaś się leczyć.

Connell odwraca Marianne i prowadzi ją w stronę drugich drzwi. Nie opiera mu się.

A wy dokąd? – pyta Jamie.

Connell nie odpowiada. Otwiera drzwi do sadu i Marianne bez słowa przechodzi przez próg. Zamyka za nimi drzwi. W tej części ogrodu, gdzie tylko okno stanowi źródło przefiltrowanego światła, jest już ciemno. Wiśnie błyszczą niewyraźnie na drzewach. Zza ogrodzenia dobiega ich głos Peggy. Schodzą razem po schodach i nic nie mówią. Za nimi gaśnie kuchenne światło. Po chwili słyszą za ogrodzeniem Jamiego, który dołączył do towarzystwa. Marianne wyciera nos wierzchem dłoni. Wiśnie wiszą dookoła, połyskując jak niezliczone widmowe planety. Powietrze jest lekkie i wonne, zielone jak chlorofil. Connell zauważył, że na kontynencie sprzedają gumę do żucia z chlorofilem. Nad nimi niebo jest aksamitnie granatowe. Mrugają gwiazdy, nie dając żadnego światła. Idą razem wzdłuż szpaleru drzew, oddalając się od domu, i w końcu się zatrzymują.

Marianne opiera się o wąski, srebrny pień drzewa i Connell ją obejmuje. Jaka szczupła się wydaje, myśli. Była taka wcześniej? Marianne wciska twarz w jego jedyną czystą koszulkę. Wciąż ma na sobie tę samą białą sukienkę co wcześniej, z narzuconą teraz na nią chustą wyszywaną złotą nicią. Trzyma ją mocno, jego ciało dopasowuje się do niej jak jeden z tych zdrowych ponoć materacy. Marianne rozluźnia się w jego ramionach. Wydaje się teraz spokojniejsza. Ich oddechy wpadają w ten sam wolniejszy rytm. Światło w kuchni zapala się na jakiś czas, a potem znów gaśnie, głosy podnoszą się i cichną. Connell czuje pewność w związku z tym, co robi, ale jest to ślepa pewność, jak gdyby mechanicznie wykonywał zapamiętaną czynność. Zauważa, że jego palce są we włosach Marianne i że delikatnie gładzi ją po karku. Nie wie, jak długo to robi. Marianne pociera oczy nadgarstkami.

Connell wypuszcza ją z objęć. Marianne wymacuje w kieszeni paczkę papierosów i zgniecione pudełko zapalek. Częstuje go.

Pociera zapałkę i błysk płomienia rozświetla w ciemności jej rysy. Jej skóra wydaje się sucha i podrażniona, oczy są spuchnięte. Marianne zaciąga się z sykiem bibułki. Connell przypala swojego papierosa, po czym wyrzuca zapałkę w trawę i przygniata ją butem. Palą w ciszy. Connell odchodzi od drzewa, by obejrzeć dalszą część ogrodu, ale jest zbyt ciemno, żeby coś dostrzec. Wraca do Marianne pod gałęziami i w zamyśleniu zrywa szeroki, woskowaty liść. Marianne trzyma papierosa w ustach i podnosi ręce do włosów, żeby spleść je w węzeł, który wiąże elastyczną gumką z nadgarstka. W końcu dopalają papierosy i gaszą je w trawie.

Mogę dziś nocować w twoim pokoju? – pyta Marianne. – Będę spać na podłodze.

Łóżko jest olbrzymie – odpowiada – nie ma problemu.

Gdy wracają do domu, w środku jest ciemno. W pokoju Connella rozbierają się do bielizny. Marianne ma na sobie biały bawełniany stanik, który sprawia, że jej piersi wyglądają jak drobne trójkąty. Kładą się obok siebie pod kołdrą. Connell zdaje sobie sprawę, że gdyby chciał, mogliby zacząć się kochać. Nikomu by nie powiedziała. Wydaje mu się to dziwnie pocieszające i pozwala sobie pofantazjować, jak by to wyglądało. Hej, powiedziałby cicho. Połóż się na plecach, dobra? I Marianne posłusznie położyłaby się na wznak. Tyle różnych rzeczy zachodzi w tajemnicy między ludźmi. Jaką byłby osobą, gdyby do tego teraz doszło? Bardzo by się różnił od tego, jaki był przedtem? Czy byłby dokładnie taki sam, bez najmniejszej różnicy?

Po pewnym czasie słyszy, że Marianne mówi coś, czego nie zrozumiał.

Nie słyszałem – mówi.

Nie wiem, co jest ze mną nie tak – powtarza Marianne. – Nie wiem, dlaczego nie mogę się zachowywać jak normalni ludzie.

Jej głos brzmi dziwnie chłodno i odlegle, jak nagranie odtworzone wtedy, gdy ona sama już odeszła lub wyjechała.

Pod jakim względem? – pyta Connell.

Nie wiem, dlaczego nie umiem wzbudzić w innych miłości. Myślę, że urodziłam się z jakimś defektem.

Mnóstwo ludzi cię kocha, Marianne. Okej? Twoja rodzina i przyjaciele cię kochają.

Przez kilka sekund Marianne milczy, a potem mówi:

Nie znasz mojej rodziny.

Użył słowa „rodzina” niemal bezwiednie, chciał po prostu powiedzieć coś pocieszającego i nic nieznaczącego. Teraz nie wie, co robić.

Marianne kontynuuje tym samym dziwnym, obojętnym tonem:

Oni mnie nienawidzą.

Connell siada w łóżku, żeby lepiej ją widzieć.

Wiem, że się z nimi kłócisz – mówi – ale to nie znaczy, że cię nienawidzą.

Podczas ostatniej wizyty w domu usłyszałam od brata, że powinnam się zabić.

Connell odruchowo się prostuje, ściągając z siebie kołdrę, jak gdyby miał zamiar wstać. Przesuwa językiem po podniebieniu.

Dlaczego powiedział coś takiego? – pyta.

Nie wiem. Stwierdził, że nikt by za mną nie tęsknił, gdybym umarła, bo nie mam przyjaciół.

Jeśli mówił w ten sposób do ciebie, nie powiedziałaś o tym swojej mamie?

Ona przy tym była – odpowiada Marianne.

Connell porusza szczęką. Czuje pulsowanie w szyi. Próbuje zwizualizować sobie tę scenę, Sheridanów w domu, Alana z jakiegoś powodu mówiącego Marianne, żeby popełniła samobójstwo, trudno jednak wyobrazić sobie jakąkolwiek rodzinę zachowującą się w sposób, który opisała.

Co powiedziała? – pyta. – W sensie: jak zareagowała?

Chyba powiedziała coś w stylu: „Och, nie zachęcaj jej”.

Connell powoli wciąga powietrze przez nos i wydycha przez usta.

I co było powodem? – pyta. – To znaczy, od czego ta kłótnia się zaczęła?

Connell wyczuwa, że w twarzy Marianne coś się zmienia, twardnieje, nie potrafi jednak tego określić.

Myślisz, że zrobiłam coś, czym sobie na to zasłużyłam? – pyta Marianne.

Nie, oczywiście, że niczego takiego nie mówię.

Czasami wydaje mi się, że chyba jednak zasłużyłam. W przeciwnym razie dlaczego tak się dzieje? Ale ilekroć Alan jest z jakiegoś powodu zły, po prostu chodzi za mną po domu. Nic na to nie mogę poradzić. Włazi do mojego pokoju i nie obchodzi go, czy akurat śpię, czy robię coś innego.

Connell wyciera dłonie w prześcieradło.

Podnosi na ciebie rękę? – pyta.

Od czasu do czasu. Rzadziej, odkąd się wyprowadziłam. Szczerze mówiąc, nawet mi to specjalnie nie przeszkadza. Bardziej mnie dołują te psychologiczne zagrywki. Nie wiem, jak to wyjaśnić. To zapewne brzmi...

Connell dotyka czoła. Jego skóra jest wilgotna. Marianne nie kończy zdania o tym, jak to zapewne brzmi.

Dlaczego nigdy nic mi nie powiedziałaś? – pyta.

Marianne milczy. Jest ciemno, ale widzi jej otwarte oczy.

Marianne – mówi. – Przez cały czas, gdy byliśmy razem, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Nie wiem. Może nie chciałam, żebyś pomyślał o mnie, że jestem w jakiś sposób okaleczona. Prawdopodobnie bałam się, że mnie odrzucisz.

W końcu Connell chowa twarz w dłoniach. Palce na powiekach wydają się zimne i lepkie, a w jego oczach pojawiają się łzy. Im mocniej naciska, tym szybciej wypływają na skórę.

Jezu – mówi. Jego głos brzmi chrapliwie i Connell odchrząkuje. – Chodź tu – mówi.

I Marianne przysuwa się do niego. Connell czuje straszliwy wstyd i oszołomienie. Leżą naprzeciwko siebie i Connell ją obejmuje. Mówi jej do ucha:

Przepraszam, okej?

Marianne przytula się do niego, oplata go rękoma i Connell całuje ją w czoło. A jednak zawsze myślał, że jest okaleczona, myślał tak mimo wszystko. Zaciska powieki w poczuciu winy. Ich twarze wydają się teraz rozpalone i wilgotne. Connell myśli o tym, co powiedziała:

Bałam się, że mnie odrzucisz.

Ich usta są tak blisko, że Connell czuje na swoich wargach wilgoć jej oddechu. Zaczynają się całować, usta Marianne mają mroczny posmak wina. Ona przysuwa się do niego, Connell dotyka jej piersi i po kilku sekundach już mógłby w nią wejść, ale wtedy ona mówi:

Nie, nie powinniśmy.

Odsuwa się od niego, ot tak, po prostu. Connell słyszy w ciszy swój oddech, żalosne dyszenie. Czeką, aż się uspokoi, nie chcąc, żeby załamał mu się głos, gdy spróbuje coś powiedzieć.

Naprawdę przepraszam – mówi.

Marianne ściska jego dłoń. To bardzo smutny gest. Nie wierzy, jak głupio się właśnie zachował.

Przepraszam – mówi znowu. Ale Marianne już się od niego odwróciła.

Pięć miesięcy później (grudzień 2013)

Marianne siada w holu budynku Wydziału Lingwistyki i Literatury, by sprawdzić skrzynkę mailową. Nie zdejmuje płaszcza, bo za chwilę będzie wstawać. Obok niej na biurku leży śniadanie, które kupiła właśnie w supermarkecie po drugiej stronie ulicy: jedna czarna kawa z brązowym cukrem, jeden rogalik z cytrynowym nadzieniem. Jada takie śniadania regularnie. Ostatnio zaczęła konsumować je wolniej i te słodkie duże kęsy tężeją wokół jej zębów. Im wolniej przeżuwa i im większą uwagę zwraca na składniki jedzenia, tym mniej czuje się głodna. Następny posiłek zje dopiero o ósmej lub dziewiątej wieczorem.

Ma dwa nowe e-maile, jeden od Connella i jeden od Joanny. Przeskakuje myszą z jednego na drugi, aż w końcu wybiera wiadomość od Joanny.

Tutaj jak zwykle nudy, nic się nie dzieje. Ostatnio zaczęłam wieczorami zostawać w domu i oglądam dziewięcioczęściowy film dokumentalny o amerykańskiej wojnie secesyjnej. Dowiedziałam się mnóstwa nowych rzeczy o generałach tej wojny i opowiem ci wszystko, jak się znowu spotkamy na Skypie. Co słychać? Jak tam Lukas? Zrobił w końcu te zdjęcia czy to dzisiaj? I pytanie zasadnicze... mogę je obejrzeć, gdy będą gotowe?? Czy to byłaby chorobliwa ciekawość? Czekam na newsy od Ciebie. 3maj się.

Marianne bierze do ręki rogalik, odgryza duży kęs i żuje powoli, pozwalając, by się rozpuszczał warstwowo na języku. Przełyka, podnosi do ust kubeczek z kawą. Wypija trochę. Odstawia kubeczek i otwiera wiadomość od Connella.

Nie wiem, co masz dokładnie na myśli w ostatnim zdaniu. Chodzi ci o to, że jesteśmy od siebie daleko czy że zmieniliśmy się jako ludzie? Ja rzeczywiście czuję się teraz trochę innym człowiekiem niż wtedy, ale z zewnątrz może wcale to tak nie wygląda, nie wiem. Nawiasem mówiąc, sprawdziłem Twojego przyjaciela Lukasa na Facebooku, ma, jak to się mówi, „skandynawską urodę”. Niestety tym razem Szwecja nie zakwalifikowała się do mundialu, więc jeśli będziesz mieć chłopaka Szweda, muszę wymyślić inny sposób, żeby się z nim zakumplować. Nie żebym chciał powiedzieć, że ten gość zostanie Twoim chłopakiem lub chciałby ze mną gadać o piłce, gdyby nim został, chociaż nie wykluczam takiej ewentualności. Wiem, że podobają Ci się wysocy przystojniacy, jak sama mówisz, więc czemu nie Lukas, który chyba jest wysoki, a także przystojny (Helen widziała jego zdjęcie i to potwierdza). No, w każdym razie nie chcę Cię naciskać, mam tylko nadzieję, że sprawdziłaś, czy nie jest psychopata. W tych sprawach intuicja czasem Cię zawodzi.

Bez związku, ale zeszłej nocy jechaliśmy taksówką przez Phoenix Park i widzieliśmy mnóstwo saren. To stworzenia o osobliwym wyglądzie. Nocą przypominają widma, a ich oczy mogą odbijać reflektory samochodu w kolorze oliwkowym lub srebrnym, wygląda to jak efekty specjalne. Przystanęły, żeby popatrzeć na taksówkę, i zaraz ruszyły dalej. Wydaje mi się dziwne, gdy te zwierzęta się zatrzymują, bo wydają się tak inteligentne, ale może to dlatego, że kojarzę przystawanie z namysłem. Sarny w każdym razie, muszę powiedzieć, wyglądają niezwykle elegancko. Gdybyśmy byli zwierzętami, można by trafić gorzej. Mają takie mądre pyszczki i ładne, kształtne ciała. Ale też czasem w sposób nieprzewidywalny się płoszą. Wtedy nie przywiodły mi na myśl Ciebie, ale teraz dostrzegam pewne podobieństwo. Mam nadzieję, że Cię nie urażę tym porównaniem. Napisałbym Ci o imprezie, z której wracaliśmy taksówką przez park, ale była naprawdę nudna i nie tak ciekawa jak sarny. Nie spotkałem na niej nikogo, kogo byś dobrze znała. Twój ostatni e-mail był naprawdę świetny,

dziękuję. Jak zawsze czekam z niecierpliwością na kolejne wiadomości.

Marianne sprawdza godzinę w górnym prawym rogu ekranu: 09:49. Przechodzi z powrotem do wiadomości Joanny i klika „Odpowiedz”.

Zdjęcia robi dopiero dzisiaj, właśnie tam idę. Oczywiście, że ci je prześlę, gdy będą gotowe, oraz spodziewam się całej litanii KOMPLEMENTÓW na temat każdej fotografii. Cieszę się, że dowiedziałaś się tylu nowych rzeczy o wojnie secesyjnej. Tymczasem ja nauczyłam się tu tylko, jak powiedzieć „nie, dziękuję” (nej, tack) i „naprawdę nie” (verkligen, nej). Na razie. Buziaki.

Marianne zamyka laptopa, zjada dwa kolejne kęsy rogalika i zawija resztę w pergaminowe opakowanie. Wsuwa komputer do plecaka i wyjmuję miękki filcowy beret, który naciąga na uszy. Resztki rogalika wyrzuca do pobliskiego kosza.

Na dworze wciąż sypie śnieg. Świat na zewnątrz wygląda jak ekran starego, niedostrojonego telewizora. Te zakłócenia obrazu dzielą świat na miękkie fragmenty. Marianne chowa ręce do kieszeni. Płatki śniegu spadają jej na twarz i roztapiają się na skórze. Zimna śnieżynka ląduje na górnej wardze i Marianne wysuwa po nią język. Z głową opuszczoną na zimnym wietrze zmierza do kawalerki Lukasa. Jego włosy są tak jasne, że poszczególne kosmyki wydają się siwe. Czasem znajduje jego włosy na swoich ubraniach, cieńsze niż nici. Lukas ubiera się całkowicie na czarno: czarne koszule, czarne zapinane na suwak bluzy z kapturem, czarne buty na grubych gumowych podeszwach. Jest artystą. Gdy się poznali, Marianne powiedziała mu, że jest pisarką. Skłamała. Teraz unika rozmów na ten temat.

Lukas mieszka niedaleko dworca. Marianne wyjmuje rękę z kieszeni, chucha na palce i wciska guzik domofonu. Lukas odzywa się po angielsku:

Kto tam?

Marianne – odpowiada.

O, jesteś wcześniej – komentuje Lukas. – Wchodź.

Dlaczego mówi „jesteś wcześniej”? – zastanawia się Marianne, wchodząc po schodach. Jego głos przez domofon brzmiał niewyraźnie, ale wydawało jej się, że wypowiedział te słowa z uśmiechem. Czyżby zwrócił uwagę na ten szczegół, żeby powstało wrażenie, że jej za bardzo zależy? Marianne zauważa jednak, że nie obchodzi jej, jak zdesperowana może się wydawać, bo nie ma w niej ukrytej desperacji. Może być tutaj, wspinać się po schodach do mieszkania Lukasa, a może też być w bibliotece uniwersyteckiej albo siedzieć w akademiku i parzyć sobie kawę. Już od kilku tygodni pojawia się to uczucie, uczucie, jakby poruszała się w ochronnej błonie, płynna jak rtęć. Świat zewnętrzny dotyka jej skóry, ale żadnej innej części, niczego w środku. Jakikolwiek więc Lukas ma powód, żeby powiedzieć: „Jesteś wcześniej”, Marianne łapie się na tym, że zupełnie jej to nie obchodzi.

Lukas ustawia sprzęt. Marianne zdejmuje beret i potrząsa nim. Lukas podnosi wzrok, a potem znów spogląda na trójnog.

Przyzwyczajasz się do pogody? – pyta ją.

Marianne odwiesza beret na wieszak na drzwiach i wzrusza ramionami. Zaczyna zdejmować płaszcz.

W Szwecji mamy takie powiedzenie – kontynuuje Lukas. – Nie ma czegoś takiego jak zła pogoda, można się tylko źle ubrać.

Marianne wiesza płaszcz obok beretu.

Co jest nie tak z moim ubraniem? – pyta łagodnie.

To tylko takie powiedzenie – wyjaśnia Lukas.

Szczerze mówiąc, nie jest teraz w stanie stwierdzić: chciał skrytykować jej strój czy nie. Marianne ma na sobie szary sweter z owczej wełny, grubą czarną spódnicę i kozaki do kolan. Lukas nie ma najlepszych manier, przez co w oczach Marianne sprawia czasem wrażenie dziecinnego. Nigdy nie proponuje jej kawy ani herbaty, nawet szklanki wody. Od razu rozgaduje się o tym, co akurat czyta lub co robił od czasu jej ostatniej wizyty. Najwyraźniej nie zależy mu specjalnie na jej zdaniu i niekiedy jej odpowiedzi wprawiają go w oszołomienie lub konsternację, co, jak twierdzi, jest skutkiem jego

kiepskiej angielszczyzny. W rzeczywistości doskonale rozumie, co się do niego mówi. W każdym razie dzisiaj jest inaczej. Marianne zdejmuje kozaki i zostawia je przy drzwiach.

W kącie leży materac, który służy Lukasowi do spania. Okna są ogromne i ciągną się prawie do samej podłogi, z żaluzjami i cienkimi, przydługimi zasłonami. Po pokoju rozrzucone są różne, niezwiązane ze sobą przedmioty: kilka dużych roślin doniczkowych, sterty atlasów, koło od roweru. Ta kolekcja początkowo spodobała się Marianne, gdy jednak później Lukas wyjaśnił, że zebrał te rzeczy specjalnie do jednej z sesji, zaczęły jej się wydawać sztuczne. „Dla ciebie zawsze najważniejsze jest wrażenie” – powiedziała mu kiedyś Marianne. Odebrał to jako komplement związany z jego sztuką. Rzeczywiście ma nieskazitelny gust. Jest wrażliwy nawet na najdrobniejsze uchybienia estetyczne – w malarstwie, kinie, nawet w powieściach i serialach telewizyjnych. Czasem, gdy Marianne wspomina o oglądanym niedawno filmie, Lukas macha ręką i mówi: „Dla mnie niewypał”. Ta wnikliwość, zdała sobie sprawę Marianne, nie czyni z Lukasa dobrego człowieka. Udało mu się wykształcić w sobie znakomitą artystyczną wrażliwość bez prawdziwego wyczucia tego, co jest właściwe, a co nie. To, że coś takiego jest w ogóle możliwe, budzi w Marianne niepokój i sprawia nagle, że sztuka traci dla niej cały swój sens.

Ona i Lukas od kilku już tygodni mają ze sobą układ. Lukas nazywa to „grą”. Jak w każdej grze istnieją reguły. Marianne nie wolno w trakcie gry odzywać się ani nawiązywać kontaktu wzrokowego. Jeśli łamie reguły, później czeka ją kara. Gra nie kończy się po seksie, gra się kończy, gdy Marianne wchodzi pod prysznic. Czasem po zbliżeniu Lukas zatrzymuje ją dłużej, zanim pozwoli jej pójść się wykąpać. Mówi jej różne przykre rzeczy. Trudno stwierdzić, czy Marianne lubi ich słuchać; pragnie je usłyszeć, ale zdaje już sobie sprawę, że może w pewnym sensie pragnąć czegoś, czego wcale nie chce. Zaspokojenie jest cienkie i twarde, nadchodzi zbyt szybko, a potem Marianne ma mdłości i dreszcze. „Jesteś nic niewarta – lubi jej mówić Lukas. – Jesteś niczym”. I Marianne czuje się jak nic, nieobecność, którą trzeba na siłę wypełnić. Nie jest tak, że lubi to uczucie, w jakiś jednak sposób

przynosi jej ono ulgę. Potem bierze prysznic i gra się kończy. Odczuwa przygnębienie tak głębokie, że aż ją odurza, zjada to, co on każe jej zjeść, i nie ma już poczucia, że jej ciało należy do niej, nie bardziej, niż gdyby było śmieciem.

Odkąd przyjechała do Szwecji, a zwłaszcza od rozpoczęcia „gry”, ludzie wydają jej się kształtami wyciętymi z kolorowego papieru, zupełnie nieprawdziwi. Od czasu do czasu ktoś nawiązuje z Marianne kontakt wzrokowy, kontroler biletów w autobusie lub ktoś, kto prosi ją o drobne, i przez krótką chwilę uzmysławia sobie, wstrząśnięta, że to jest naprawdę jej życie, że jest widoczna dla innych ludzi. To uczucie rozbudza w niej pewne tęsknoty: głód i pragnienie, chęć mówienia po szwedzku, fizyczną chęć, by popływać lub potańczyć. Te jednak szybko się rozplývają. W Lund nigdy tak naprawdę nie jest głodna i choć co rano napełnia wodą plastikową butelkę po wodzie Evian, wieczorem większość jej zawartości wylewa do zlewu.

Siedzi teraz na rogu materaca, gdy Lukas włącza i wyłącza lampę i ustawia coś w aparacie fotograficznym.

Nie jestem w pełni przekonany do tego światła – mówi. – Może moglibyśmy zrobić, nie wiem, pierwszą sesję, a potem powtórzyć.

Marianne wzrusza ramionami. Nie rozumie wagi tego, co mówi Lukas. Jako że wszyscy jego przyjaciele rozmawiają po szwedzku, trudno jej ustalić, jak bardzo lubiany lub szanowany jest Lukas. Ludzie często przychodzą do jego pracowni i przenoszą mnóstwo sprzętu z góry na dół, ale czy są wielbicielami jego prac, wdzięcznymi za krztynę zainteresowania? Czy może wykorzystują go ze względu na dogodną lokalizację pracowni, a jednocześnie wyśmiewają za plecami?

Okej, chyba możemy zacząć – odzywa się Lukas.

Czy mam...

Może na razie tylko sweter.

Marianne ściąga go przez głowę, składa na kolanach i zostawia obok. Ma na sobie czarny koronkowy stanik z haftowanymi kwiatkami. Lukas zaczyna manipulować przy aparacie.

Nie dostaje już zbyt wielu wiadomości od reszty: Peggy, Sophie, Teresy, całej paczki. Jamie nie był zachwycony rozstaniem, mówił wszystkim, że nie jest szczęśliwy, i wszyscy mu współczuli. Już przed wyjazdem wyczuwała, że ludzie zaczęli się od niej odwracać. Początkowo było to niepokojące, sposób, w jaki uciekano od niej wzrokiem w pokoju albo w jaki rozmowa urywała się, gdy wchodziła; poczucie, że traci swoją pozycję w towarzystwie, że nikt jej już nie podziwia ani jej nie zazdrości – jak szybko to wszystko wyslizgnęło jej się z rąk. Potem jednak zauważyła, że łatwo można się do tego przyzwyczaić. Zawsze było w niej coś, co mężczyźni chcieli zdominować, i ta chęć dominacji może przypominać do złudzenia pociąg fizyczny, nawet miłość. W liceum chłopcy chcieli ją złamać okrucieństwem i lekceważeniem, na studiach mężczyźni próbowali osiągnąć to samo seksem i popularnością, a wszystko z zamiarem podporządkowania sobie jakiejś siły w niej. Myśl o tym, że ludzie są tak przewidywalni, przygnębiała ją. Ostatecznie nie miało większego znaczenia, czy jest szanowana, czy pogardzana. Czyżby każdy etap jej życia okazywał się tym samym, raz za razem, w kółko tym samym bezwzględny bojem o dominację?

Z Peggy sprawa nie była łatwa. „Jestem twoją najlepszą przyjaciółką”, powtarzała coraz dziwniejszym głosem. Nie mogła się pogodzić z nonszalanckim zachowaniem Marianne.

Zdajesz sobie sprawę, że ludzie o tobie gadają – powiedziała pewnego wieczoru, gdy Marianne się pakowała.

Marianne nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po pauzie oznajmiła refleksyjnie:

Chyba nie zawsze zależy mi na tych samych rzeczach, na których zależy tobie.

Ale mnie zależy na tobie. – Peggy gwałtownie wyrzuciła ręce do góry i dwukrotnie obeszła stół kawowy.

Jestem twoją najlepszą przyjaciółką – powiedziała. – Czego się po mnie spodziewasz?

Zupełnie nie wiem, co znaczy to pytanie.

Znaczy: w jakiej mnie to stawia sytuacji? Bo szczerze mówiąc, wolałabym nie stawać po niczyjej stronie.

Marianne zmarszczyła brwi i zasunęła w walizce kieszeń ze szczotką do włosów.

Chcesz powiedzieć, że nie chcesz stawać po mojej stronie.

Peggy spojrzała na nią, dysząc ciężko z wysiłku po rundkach wokół stolika. Marianne wciąż klęczała przy walizce.

Nie wiem, czy naprawdę rozumiesz, co wszyscy sobie myślą – powiedziała Peggy. – Ludzie są zdegustowani.

Tym, że ja i Jamie się rozstaliśmy?

Całym tym zamieszaniem. Ludzie są autentycznie zdegustowani.

Peggy patrzyła na nią, oczekując odpowiedzi, i Marianne w końcu odpowiedziała:

Okej.

Peggy potarła twarz dłonią i dodała:

Zostawię cię, żebyś się mogła spakować.

Na odchodnym poradziła:

Powinnaś się zastanowić, czy nie zacząć, nie wiem, chodzić do terapii.

Marianne nie rozumiała sugestii. Powinnam pójść na terapię, bo się tym *nie* przejmuję? – pomyślała. Trudno było jednak zbagatelizować coś, co, trzeba przyznać, słyszała zawsze od różnych osób: że nie jest do końca zdrowa na umyśle i potrzebuje pomocy.

Tylko Joanna utrzymuje z nią kontakt. Wieczorami rozmawiają na Skypie o studiach, obejrzanych filmach, artykułach, które czyta Joanna do prac zaliczeniowych. Na ekranie jej twarz zawsze jest słabo oświetlona na tym samym kremowym tle ściany sypialni. Nie maluje się już, czasem nawet nie czesze. Spotyka się teraz z Evelyn ze studiów magisterskich na Wydziale Stosunków Międzynarodowych. Marianne spytała kiedyś, czy Joanna często widuje Peggy, a ta skrzywiła się na ułamek sekundy, na tyle jednak długo, by Marianne zauważyła grymas.

Nie – rzekła Joanna. – Nie widuję się już z tym towarzystwem. Zresztą wiedzą, że byłam po twojej stronie.

Przepraszam, nie chciałam, żebyś przeze mnie się z kimś pokłóciła.

Joanna znowu się skrzywiła, tym razem była to mniej czytelna mina, albo ze względu na słabe oświetlenie i jakość obrazu na

ekranie, albo ambiwalencję, którą próbowała wyrazić.

Cóż, nigdy tak naprawdę się z nimi nie przyjaźniłam – rzekła Joanna. – To byli bardziej twoi przyjaciele.

Myślałam, że wszyscy byliśmy przyjaciółmi.

Tylko z tobą się dogadywałam. Szczerze powiedziawszy, nie uważam, żeby Jamie albo Peggy byli jakimiś szczególnie dobrymi ludźmi. Nie moja sprawa, jeśli chcesz się z nimi przyjaźnić, to tylko moje zdanie.

Zgadzam się z tobą – powiedziała Marianne. – Przypuszczam, że dałam się nabrać na to, jak niby bardzo mnie lubią.

No. Myślę, że gdy przejrzałaś na oczy, uświadomiłaś sobie, jacy są okropni. Mnie było łatwiej, bo za mną nigdy tak naprawdę nie przepadali.

Ten rzeczowy zwrot w ich rozmowie zaskoczył Marianne i czuła się lekko skarcona, chociaż Joanna nadal zwracała się do niej życzliwym tonem. To prawda, Peggy i Jamie nie byli zbyt dobrymi ludźmi; wręcz przeciwnie, przyjemność sprawiało im poniżanie innych. Marianne jest zła na siebie, że dała się podejść, że uwierzyła, iż ma z nimi coś wspólnego, że brała udział w handlu, który oni nazywali przyjaźnią. W szkole wydawało jej się, że jest ponad takie kupczenie kapitałem towarzyskim, ale jej życie studenckie dowiodło, że gdyby w szkole ktoś zechciał z nią rozmawiać, zachowywałaby się tak samo jak reszta. Wcale nie jest lepsza od innych.

Możesz się odwrócić do okna? – prosi Lukas.

Jasne.

Marianne z podciągniętymi do klatki piersiowej nogami odwraca się na materacu.

Możesz zmienić... jakoś opuścić nogi? – mówi Lukas.

Marianne krzyżuje nogi przed sobą. Lukas pochyła trójnog i ustawia ponownie kąt. Marianne przypomina sobie e-mail od Connella, w którym porównuje ją do sarny. Spodobał jej się ten fragment o kształtnych ciałach i mądrych pyszczkach. W Szwecji schudła jeszcze bardziej, jest teraz szczuplejsza, bardzo smukła.

Postanowiła w tym roku nie jechać na Boże Narodzenie do domu. Dużo myśli o tym, jak się wywikłać z tego „rodzinnego koszmaru”. Nocą w łóżku wyobraża sobie scenariusze, w których jest całkowicie wolna, nie pozostając ani w złych, ani w dobrych stosunkach z matką i bratem, po prostu jest neutralnym nie-uczestnikiem ich życia. Większość lat dzieciństwa i dojrzewania zeszło jej na snuciu skomplikowanych planów, jak się odciąć od rodzinnych konfliktów: poprzez zachowanie całkowitego milczenia, utrzymanie obojętnego wyrazu twarzy i bezruchu, zostawienie ich i udanie się bez słowa do swojego pokoju, ciche zatrzaśnięcie za sobą drzwi. Zamknięcie się na klucz w łazience. Wyjście z domu na niesprecyzowaną liczbę godzin i samotne przesiadywanie na szkolnym parkingu. Żadna z tych strategii nie okazała się dobra. Co więcej, jej działania zwiększały tylko prawdopodobieństwo, że zostanie ukarana jako główna prowokatorka. Teraz uzmysławia sobie, że jej próba uniknięcia rodzinnych świąt, kiedy to następuje kulminacja okazywanej sobie wrogości, zostanie zapisana w rodzinnej kronice jako jeszcze jeden przykład jej obraźliwego zachowania.

Gdy teraz myśli o świątach, myśli o Carricklea, świecidełkach rozwieszonych na głównej ulicy, jarzącym się plastikowym Świętym Mikołaju w oknie pubu Keleher's, z ruchomą ręką w sztywnym, powtarzalnym powitaniu. O śnieżynkach z aluminiowej folii w aptece. O zamykających się i otwierających drzwiach do rzeźnika, o głosach wykrzykujących coś na rogu. O oddechu unoszącym się jak mgła na kościelnym parkingu nocą. O Foxfield wieczorem, domach cichych jak śpiące koty, z rozświetlonymi oknami. O choince w dużym pokoju w mieszkaniu Connella, z jeżącą się lametą, przesuniętymi meblami, żeby zrobić miejsce na drzewko, i głośnym, radosnym śmiechem. Było mu bardzo przykro, że się nie zobaczą w święta. „Bez ciebie nie będzie tak samo”, napisał. Zrobiło jej się wtedy głupio i miała ochotę się rozpłakać. Jej życie jest teraz takie jałowe, nie ma w nim już choćby krztyny piękna.

Tak myślę, może byś to zdjęła – proponuje teraz Lukas.

Wskazuje na stanik. Marianne sięga za siebie, odpina haftki i zsuwa ramiączka. Odrzuca stanik poza kadr. Lukas robi kilka zdjęć, opuszcza aparat na trójnogu, który przesuwają kilka centymetrów do

przodu, i kontynuuje sesję. Marianne wpatruje się w okno. Trzask migawki w końcu cichnie i Marianne się odwraca. Lukas wysuwa szufladę stołu. Wyciąga rolkę grubej czarnej wstążki z jakiegoś szorstkiego bawełnianego lub lnianego włókna.

Co to? – pyta Marianne.

Wiesz, co to jest.

Nie zaczynaj znowu.

Lukas stoi tam, rozwijając rolkę, obojętny. Marianne czuje, jak jej kości stają się bardzo ciężkie, zna już to uczucie. Ciężą jej tak, że ledwo może się ruszyć. Milczy i wyciąga przed siebie ręce z łokciami blisko siebie.

Świetnie – rzuca Lukas.

Przyklęka i mocno zawiązuje wstążkę. Marianne ma szczupłe nadgarstki, ale materiał wrzyna się tak mocno, że po obu stronach skóra mimo wszystko lekko się wybrzusza. Brzydzi ją ten widok i dlatego odruchowo odwraca wzrok, znów w stronę okna.

Bardzo dobrze – mówi Lukas.

Wraca do aparatu. Trzask migawki. Marianne zamyka oczy, ale on każe je otworzyć. Jest już zmęczona. Ma wrażenie, że jej ciało ciąży ku podłodze, ku wnętrzu ziemi, coraz niżej. Gdy podnosi wzrok, Lukas odwija kolejny kawałek wstążki.

Nie – protestuje Marianne.

Nie utrudniaj.

Nie chcę.

Wiem – odpowiada Lukas.

Znowu przyklęka. Marianne odsuwa głowę do tyłu, unikając jego dotyku, on zaś szybko kładzie rękę na jej szyi. Ten gest nie budzi w niej strachu, jedynie wyczerpuje ją tak kompletnie, że teraz już nie jest w stanie nic powiedzieć ani zrobić. Głowa opada jej do przodu, bezwładnie. Męczą ją te uniki, a przecież łatwiej się poddać, nie wymaga to żadnego wysiłku. Lukas lekko ściska jej szyję i Marianne kaszle. Po chwili, nic nie mówiąc, puszcza ją. Znów bierze do ręki materiał i robi z niego przepaskę na oczy. Nawet jej oddech wydaje się teraz ciężki. Swędzą ją oczy. Lukas wierzchem dłoni dotyka delikatnie jej policzka i Marianne czuje, że robi jej się niedobrze.

Widzisz, ja cię kocham – mówi Lukas. – I wiem, że ty kochasz mnie.

Przerażona odsuwa się od niego i uderza tyłem głowy w ścianę. Związanymi rękoma usiłuje ściągnąć przepaskę z oczu i udaje jej się przesunąć ją na tyle, by mogła coś widzieć.

Co się dzieje? – pyta Lukas.

Rozwiąż mnie.

Marianne.

Rozwiąż mnie w tej chwili albo dzwonię na policję.

Groźba ta nie wydaje się zbyt realistyczna, bo Marianne ma wciąż związane ręce, wyczuwszy jednak chyba, że nastrój uległ zmianie, Lukas zaczyna rozwiązywać jej przeguby. Marianne dygocze. Gdy tylko pęta są dostatecznie luźne, żeby rozłączyć dłonie, robi to. Ściąga przepaskę, chwyta sweter, wkłada go przez głowę, wsuwa ręce w rękawy. Stoi teraz wyprostowana ze stopami na materacu.

Dlaczego tak się zachowujesz? – pyta Lukas.

Nie podchodź do mnie. Już nigdy nie odzywaj się do mnie w ten sposób.

W jaki sposób? Co ja powiedziałem?

Marianne zgniata podniesiony z materaca stanik, przechodzi przez pokój i wciska go do torebki. Zaczyna wsuwać kozaki, podskakując idiotycznie na jednej nodze.

Marianne – powtarza Lukas. – Co ja takiego zrobiłem?

Mówisz poważnie czy to ma być jakiś rodzaj techniki artystycznej?

Całe życie jest techniką artystyczną.

Marianne wbija w niego spojrzenie. To nieprawdopodobne, ale po tej uwadze Lukas dodaje:

Uważam, że jesteś bardzo uzdolnioną pisarką.

Marianne śmieje się i jest to śmiech przerażenia.

Nie czujesz wobec mnie tego samego – kontynuuje Lukas.

Chcę, żeby było jasne – mówi Marianne. – Nic do ciebie nie czuję. Nic. Okej?

Lukas podchodzi do aparatu, odwrócony do niej plecami, jak gdyby chciał ukryć swoją reakcję. Złośliwy śmiech z jej stanu? – zastanawia się Marianne. Gniew? Nie mogła zranić jego uczuć, rzecz

byłaby zbyt straszna, aby ją w ogóle rozważać. Lukas zaczyna zdejmować urządzenie z trójnoga. Marianne otwiera drzwi mieszkania i zaczyna schodzić po schodach. Czy naprawdę może robić te makabryczne rzeczy, które z nią robi, wierząc jednocześnie, że powoduje nim miłość? Czy świat jest tak potwornym miejscem, że nie da się odróżnić miłości od najpodlejszych, najbardziej upokarzających form przemocy? Na dworze jej oddech unosi się delikatną mgiełką i wciąż pada śnieg – jak bezustanna powtórka tego samego nieskończenie małego błędu.

Trzy miesiące później (marzec 2014)

W poczekalni musi wypełnić kwestionariusz. Fotele w jasnych kolorach ustawione są wokół stolika z dziecięcym liczydłem na blacie. Stolik jest dla niego o wiele za niski, żeby na nim wypełnić arkusze, układa je więc nieporadnie na kolanach. Przy pierwszym pytaniu przebija papier długopisem i zostawia w kartce małe rozdarcie. Spogląda na recepcjonistkę, która przekazała mu kwestionariusz, ta nie patrzy jednak w jego stronę, znów więc spuszcza wzrok. Drugi punkt ma nagłówek „Pesymizm”. Musi zakreślić cyfrę przy jednym z następujących stwierdzeń:

- 0 nie przejmuję się zbyt przyszłością
- 1 często martwię się o przyszłość
- 2 obawiam się, że w przyszłości nic dobrego mnie nie czeka
- 3 czuję, że przyszłość jest beznadziejna i nic tego nie zmieni

Wydaje mu się, że każde z tych stwierdzeń mogłoby być prawdziwe, a jednocześnie kilka mogłoby być prawdziwych. Wsuwa końcówkę długopisu między zęby. Czytając czwarte zdanie, które z jakiegoś powodu jest oznaczone cyfrą 3, czuje mrowienie w miękkich tkankach wewnątrz nosa, jakby to właśnie zdanie go przywoływało. To prawda, czarno widzi swoją przyszłość i sądzi, że będzie tylko coraz gorzej. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej ten punkt do niego przemawia. Nie musi się nawet zastanawiać, on to czuje: ma wrażenie, jakby składnia tego zdania zrodziła się w jego głowie. Pociera mocno językiem o podniebienie, starając się przybrać neutralny wyraz skupienia na twarzy. Nie chcąc alarmować kobiety, która odbierze kwestionariusz, zakreśla punkt 2.

O poradni usłyszał od Nialla. Jego przyjaciel powiedział konkretnie: To nic nie kosztuje, więc czemu nie skorzystać. Niall jest człowiekiem praktycznym i okazuje współczucie w sposób

praktyczny. Ostatnio Connell nie widuje się z nim zbyt często, ponieważ ma teraz mieszkanie w ramach stypendium i nie spotyka się właściwie z nikim. Zeszłej nocy spędził półtorej godziny, leżąc na podłodze swojego pokoju, bo był zbyt zmęczony, żeby odbyć podróż z łazienki z powrotem do łóżka. Za sobą miał łazienkę, a przed sobą łóżko, jedno i drugie w zasięgu wzroku, ale w jakiś sposób nie mógł się ruszyć ani do przodu, ani do tyłu, jedynie w dół, na podłogę, i po prostu leżał bez ruchu na dywanie. No proszę, leżę na dywanie, pomyślał. Czy życie tutaj jest aż tak dużo gorsze niż tam, na łóżku, a nawet w jakimś zupełnie innym miejscu? Nie, życie jest dokładnie takie samo. Życie to coś, co się zabiera ze sobą we własnej głowie. Równie dobrze mogę leżeć tutaj, wdychając do płuc obrzydliwy kurz z dywanu, stopniowo czując, jak prawa ręka drętwieje pod ciężarem ciała, bo jest to w zasadzie takie samo doświadczenie jak każde inne.

0 jestem z siebie zadowolony

1 nie jestem z siebie zadowolony

2 czuję do siebie niechęć

3 nienawidzę siebie

Spogląda na kobietę za szybą. W tej chwili po raz pierwszy uprzytamnia sobie, że między nią a ludźmi w poczekalni umieszczono szklaną przegrodę. Czyżby sobie wyobrażano, że osoby pokroju Connella stwarzają dla niej zagrożenie? Że studenci, którzy tu przychodzą i cierpliwie wypełniają kwestionariusze, którzy powtarzają kilkakrotnie swoje nazwiska, żeby kobieta za biurkiem mogła je wpisać do komputera – że ci ludzie chcą jej zrobić krzywdę? Sądzą, że ponieważ Connell czasem godzinami leży na podłodze, któregoś dnia może kupić w internecie broń półautomatyczną i dokonać zbiorowego mordu w centrum handlowym? Nie przeszło mu nawet przez myśl, żeby zrobić coś takiego. Ma poczucie winy, gdy choćby zająknie się podczas rozmowy telefonicznej. Dostrzega jednak, co się kryje za takim rozumowaniem: ludzie o niezdrowej psychice są w jakiś sposób

skażeni i potencjalnie niebezpieczni. Jeśli nie zaatakują kobiety za biurkiem wskutek niekontrolowanych agresywnych odruchów, możliwe, że zarażą ją drogą oddechową jakimś mikroblem, który sprawi, że zacznie masochistycznie rozpamiętywać wszystkie swoje nieudane związki. Zakreśla 3 i przechodzi dalej.

0 nie myślę o odebraniu sobie życia

1 myślę o samobójstwie – ale nie mógłbym tego dokonać

2 pragnę odebrać sobie życie

3 popełnię samobójstwo, jak będzie odpowiednia sposobność

Znów ogląda się na kobietę. Nie chce się przed nią, osobą zupełnie obcą, przyznać, że chciałby się zabić. Zeszłej nocy na podłodze fantazjował o tym, że będzie leżał całkowicie nieruchomo, aż umrze z odwodnienia, jakkolwiek długo miałoby to trwać. Może kilka dni, ale dni odprężających, kiedy to nie musiałby nic robić ani na niczym się skupiać. Kto znajdzie jego ciało? Wszystko jedno. Ta fantazja, powtarzana w ciągu wielu tygodni i za każdym razem udoskonalana, kończy się w momencie śmierci: gdy spokojna powieka zamyka się cicho na dobre. Zaznacza 1.

Po odpowiedzi na pozostałe pytania, wszystkie nader osobiste, a ostatnie dotyczące życia intymnego, składa kartki i podaje je recepcjonistce. Nie wie, czego się spodziewać, przekazując te szalenie wrażliwe informacje obcej kobiecie. Przełyka ślinę, ale gardło ma tak ściśnięte, że czuje ból. Kobieta odbiera arkusze, jakby oddawał zaległą pracę zaliczeniową, i posyła mu nijaki, pogodny uśmiech.

Dziękuję – mówi. – Teraz proszę poczekać, aż zostanie pan wywołany.

Connell stoi tam na miękkich nogach. Ta kobieta trzyma w dłoni najbardziej osobiste informacje, jakie kiedykolwiek komukolwiek przekazał. Jej nonszalancja sprawia, że ma ochotę poprosić ją o zwrot kwestionariusza, jak gdyby źle zrozumiał charakter tej wymiany, i może jednak powinien wypełnić go inaczej. Zamiast tego mówi:

Okej. – I znowu siada.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Jego brzuch wydaje cichy, jęklivy dźwięk, ponieważ Connell nie zjadł śniadania. Ostatnio jest zbyt zmęczony, żeby wieczorami sobie gotować, więc zapisuje się na kolację na stronie internetowej stypendystów i posila się w sali jadalnej. Przed kolacją wszyscy wstają, żeby odmówić modlitwę – po łacinie. Potem jedzenie serwują inni studenci, ubrani na czarno, żeby odróżniali się od poza strojem identycznych studentów, których obsługują. Posiłki są zawsze takie same: na początek solona zupa pomarańczowa z bułką i masełkiem zawiniętym w folię. Potem sztuka mięsa w sosie i ziemniaki krążące w srebrnych misach. Na koniec deser, jakieś wilgotne słodkie ciasto lub sałatka owocowa składająca się głównie z winogron. Wszystko jest podawane szybko i zabierane równie szybko, podczas gdy z portretów na ścianach spoglądają groźnie mężczyźni w bogatych, paradnych strojach z minionych stuleci. Jedząc w tych warunkach samotnie, pod słuchując rozmowy innych, lecz nie mogąc do nich dołączyć, Connell czuje się głęboko i niemal niezdolnie odizolowany od własnego ciała. Po posiłku odmawia się kolejną modlitwę z okropnym odgłosem krzesel odsuwanych od stołów. Nim wybije siódma, Connell jest na ciemnym Front Square, gdzie już świecą latarnie.

Do poczekalni wychodzi teraz kobieta w średnim wieku w długim szarym kardiganie i mówi:

Connell?

Connell usiłuje wykrzywić twarz w uśmiechu, a potem, poniekąd dalszych prób, pociera szczękę i kiwa głową.

– Mam na imię Yvonne – przedstawia się kobieta. – Pozwolisz ze mną?

Connell podnosi się i wchodzi za nią do niewielkiego gabinetu. Yvonne zamyka za nimi drzwi. Z jednej strony stoi biurko z szumiącym głośno wiekowym komputerem Microsoft; z drugiej dwa fotele w kolorze mięty, jeden naprzeciwko drugiego.

No dobrze – mówi Yvonne. – Możesz usiąść, gdzie chcesz.

Connell siada w fotelu twarzą do okna, za którym widzi tył betonowego budynku i rdzewiejącą rynnę. Yvonne siada

naprzeciwko i podnosi okulary z łańcuszka na szyi. Wkłada je i zerka na podkładkę.

Okej – mówi. – Może porozmawiajmy najpierw, jak się czujesz.

Aha. Niezbyt dobrze.

Przykro mi. Kiedy to się zaczęło?

Hm – mówi. – Kilka miesięcy temu. W styczniu, zdaje się.

Yvonne wciska długopis i coś zapisuje.

W styczniu – powtarza. – Dobrze. Czy coś się wtedy wydarzyło, czy zacząłeś tak się czuć bez konkretnego powodu?

Kilka dni po Nowym Roku Connell dostał esemesa od Rachel Moran. Była wtedy druga w nocy i Connell wracał z Helen z jakiejś imprezy. Ustawiwszy telefon pod odpowiednim kątem, otworzył wiadomość: był to esemes grupowy, który trafił do wszystkich ich znajomych ze szkoły, z pytaniem, czy ktoś ma kontakt z Robem Hegartym. Od kilku godzin nikt go nie widział. Helen spytała, co to za wiadomość, i z jakiegoś powodu Connell odpowiedział:

Och, nic takiego, grupowe życzenia. Szczęśliwego Nowego Roku.

Następnego dnia ciało Roba wyłowiono z rzeki Corrib.

Connell później dowiedział się od znajomych, że w tygodniach poprzedzających śmierć Rob dużo pił i wydawał się przygnębiony. Connell nie miał o tym pojęcia, w tamtym semestrze rzadko bywał w domu, właściwie z nikim się nie widywał. Zajrzał na Facebooka, żeby sprawdzić, kiedy ostatnio Rob wysłał mu wiadomość, i było to na początku 2012 roku: zdjęcie z imprezy, Connell obejmujący jedną ręką w pasie koleżankę Marianne, Teresę. W swojej wiadomości Rob pytał: „Posuwasz ją?? SUPER haha”. Connell nie odpowiedział. Nie widział Roba w czasie świąt, nie miał pewności, czy w ogóle się z nim spotkał zeszłego lata. Próbując przywołać precyzyjny obraz twarzy Roba, Connell przekonał się, że nie potrafi: początkowo pojawiała się, cała i rozpoznawalna, ale po chwili rysy oddalały się od siebie, rozpływały, zamazywały.

W późniejszych dniach ludzie ze szkoły zamieszczali posty o zapobieganiu samobójstwom. Od tamtej pory stan umysłu Connella stopniowo, tydzień po tygodniu, się pogarszał. Jego niepokój, wcześniej chroniczny i niezbyt intensywny, pełniący funkcję pewnego rodzaju uniwersalnego hamulca, nasilił się. Czuje

mrowienie w dłoniach przed najdrobniejszymi interakcjami, takimi jak zamówienie kawy lub odpowiedź na pytanie na zajęciach. Raz lub dwa przeżył poważne napady paniki: hiperwentylacja, bóle w klatce piersiowej, dreszcze na całym ciele. Poczucie oddzielenia od zmysłów, niemożność jasnego rozumowania lub zinterpretowania tego, co widzi lub słyszy. Wszystko zaczyna wyglądać i brzmieć inaczej, wolniej, sztucznie, nierealnie. Za pierwszym razem myślał, że wariuje, że cała struktura poznawcza pozwalająca mu rozumieć świat na dobre się rozpadła, i wszystko od tej pory będzie nieodróżnialnym zamętą dźwięku i koloru. Po kilku minutach atak mija, a on leży na materacu złany potem.

Teraz podnosi wzrok na Yvonne, osobę wyznaczoną przez uczelnię do wysłuchania jego problemów za pieniądze.

Jeden z moich kolegów popełnił w styczniu samobójstwo – informuje. – Kolega z liceum.

Och, to smutne. Bardzo mi przykro.

Na studiach właściwie nie utrzymywaliśmy kontaktu. On był w Galway, a ja tutaj, wiadomo. Chyba teraz mam wyrzuty sumienia, że nie starałem się bardziej podtrzymywać tej znajomości.

To zrozumiałe – mówi Yvonne. – Ale bez względu na to, jak bardzo się smucisz z powodu swojego kolegi, to, co się z nim stało, nie jest twoją winą. Nie jesteś odpowiedzialny za decyzje, które sam podjął.

Nie odpisałem na ostatnią wiadomość, którą mi wysłał. To znaczy: dawno temu, ale ja nawet nie odpisałem.

Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo bolesne, oczywiście, bardzo bolesne. Wydaje ci się, że nie wykorzystałeś okazji, aby pomóc komuś, kto cierpiał.

Connell niemo kiwa głową i pociera oko.

Gdy tracimy kogoś, kto ginie śmiercią samobójczą, jest całkiem naturalne, że się zastanawiamy, czy było coś, co mogliśmy zrobić, żeby tej osobie pomóc – wyjaśnia Yvonne. – Jestem pewna, że wszyscy, którzy znali twojego kolegę, mają teraz te same wyrzuty sumienia.

Ale inni przynajmniej próbowali pomagać.

Brzmi to bardziej agresywnie i płaczliwie, niż Connell zamierzał. Ku jego zaskoczeniu Yvonne, zamiast od razu odpowiedzieć, po prostu patrzy na niego, patrzy zmrużonymi oczami zza szkieł okularów. Kiwa głową. Po czym podnosi plik kartek ze stołu i rzeczowo trzyma je przed sobą.

Cóż, przejrzałam kwestionariusz, który dla nas wypełniłeś – mówi. – I będę z tobą szczerą: to, co tu widzę, wygląda dosyć niepokojąco.

O. Tak?

Kobieta przerzuca papiery. Connell widzi na pierwszej kartce małe rozcięcie, które zrobił długopisem.

To coś, co nazywamy „skalą depresji Becka” – tłumaczy. – Na pewno sam doszedłeś, jak to działa, za każde pytanie dajemy punkty od zera do trzech. Teraz tak, ktoś taki jak ja na tym teście mógłby uzyskać, powiedzmy, od zera do pięciu punktów, a ktoś, kto cierpi na łagodną depresję, może oczekiwać wyniku na poziomie piętnastu, szesnastu punktów.

Okej – mówi. – Rozumiem.

A tutaj mamy czterdzieści trzy punkty.

Aha. Okej.

Co nas sytuuje w strefie bardzo poważnej depresji – mówi. – Myślisz, że to jest zgodne z twoim doświadczeniem?

Connell znowu pociera oko. Uduje mu się odpowiedzieć cicho:

Tak.

Widzę, że masz bardzo negatywne odczucia wobec siebie, miewasz myśli samobójcze, tego typu rzeczy. Będziemy musieli się tym bardzo poważnie zająć.

Aha.

W tym momencie Yvonne zaczyna przedstawiać możliwości terapeutyczne. Mówi, że zamierza go skierować do uczelnianego internisty, by porozmawiał z nim o kuracji lekami.

Rozumiesz, że ja nie mam możliwości wypisywania recept – wyjaśnia.

Connell kiwa głową, już lekko zniecierpliwiony.

Tak, wiem o tym – mówi.

Nie przestaje pocierać oczu, swędzą go. Yvonne proponuje mu szklankę wody, on jednak odmawia. Terapeutka zaczyna zadawać pytania o rodzinę, o matkę, gdzie mieszka i czy ma rodzeństwo.

Jakaś dziewczyna lub chłopak w tym momencie w twoim życiu? – pyta.

Nie – odpowiada Connell. – Nikogo takiego.

Helen przyjechała z nim na pogrzeb do Carricklea. Rano przed uroczystością oboje w milczeniu ubrali się w jego pokoju, gdy zza ściany dochodził do nich szum suszarki do włosów Lorraine. Connell włożył swój jedyny garnitur, który kupił na komunię kuzyna, gdy miał szesnaście lat. Teraz marynarka była ciasna w ramionach, co czuł, gdy podnosił ręce. Dręczyło go poczucie, że źle wygląda. Helen siedziała przed lustrem i robiła sobie makijaż, a Connell stał za nią, żeby zawiązać krawat. Wyciągnęła do góry rękę, aby dotknąć jego twarzy.

Wyglądasz super – powiedziała.

Z jakiegoś powodu poczuł złość, jakby to była najbardziej niewrażliwa i wulgarna rzecz, jaką mogła w tej chwili powiedzieć. Nie odezwał się. Helen opuściła rękę i poszła włożyć buty.

Zatrzymali się w przedsionku kościoła, żeby zamienić słowo z kimś, kogo znała Lorraine. Włosy Connella były mokre od deszczu i bez przerwy je przyglądał, nie patrząc na Helen, nic nie mówiąc. Wtem przez otwarte drzwi kościoła ujrzał Marianne. Wiedział, że przylatuje ze Szwecji na pogrzeb. W drzwiach wyglądała bardzo szczupło i blado, ubrana w czarny płaszcz, z mokrym parasolem w ręku. Nie widział jej od czasu Włoch. Wydawało mu się, że robi wrażenie chorej. Włożyła parasol do stojaka przy wejściu.

Marianne.

Wypowiedział jej imię na głos bez zastanowienia. Podniosła wzrok i dostrzegła go. Jej twarz przywodziła na myśl biały kwiatek. Objęła go za szyję, a on mocno ją przytulił. Wyłowił z ubrania zapach wnętrza jej domu. Ostatni raz, gdy się widzieli, wszystko było normalne. Rob wciąż jeszcze żył, Connell mógł mu wysłać wiadomość, nawet zadzwonić do niego i porozmawiać, wtedy to

było możliwe, wcześniej też. Marianne przyłożyła dłoń do jego głowy od tyłu. Wszyscy stali tam i im się przyglądali, czuł to. Gdy zrozumieli, że nie mogą się tak dłużej obejmować, odsunęli się od siebie. Helen szybko poklepała go po ramieniu. Ludzie przechodzili przez kruchtę do nawy kościoła, a z ich płaszczy i parasoli na posadzkę bezszelestnie skapywały krople deszczu.

Chodźmy może złożyć kondolencje – zaproponowała Lorraine.

Ustawili się razem ze wszystkimi, by uścisnąć dłonie rodzinie. Matka Roba, Eileen, nie przestawała płakać, słyszeli ją na drugim końcu kościoła. Gdy doszli do połowy kolejki, Connellowi zaczęły się trząść nogi. Żałował, że nie stoi obok niego Lorraine zamiast Helen. Było mu niedobrze. Gdy w końcu przyszła pora na niego, ojciec Roba, Val, ścisnął mu dłoń i powiedział:

Dobry z ciebie chłopak. Słyszałem, że tam, w Trinity, dokonujesz wielkich rzeczy.

Dłonie Connella były mokre od potu.

Współczuję – powiedział cienkim głosem. – Bardzo mi przykro.

Val nie puszczał jego ręki i patrzył mu w oczy.

Porządny z ciebie gość – powtórzył. – Dzięki, że przyszedłeś.

I było po wszystkim. Connell usiadł w pierwszej wolnej ławce cały rozdygotany. Helen zajęła miejsce obok niego, wyglądała na skrępowaną i skubała rąbek spódnicy. Podeszła Lorraine i podała mu chusteczkę z torebki, którą wytarł sobie czoło i nos. Ścisnęła go za ramię.

– W porządku? – powiedziała. – Zrobiłeś swoje, teraz się uspokój.

I Helen odwróciła twarz, jakby zażenowana.

Po mszy pojechali na cmentarz, a potem z powrotem do Tavern na kanapki i herbatę w sali bankietowej. Za barem dziewczyna, która w liceum chodziła do klasy niżej, w białej koszuli i kamizelce, serwowała piwo. Connell nalał herbaty Helen, a potem sobie. Stali pod ścianą niedaleko tac z herbatą, popijając w milczeniu. Filiżanka Connella dzwoniła na spodku. Podeszedł Eric i stanął obok nich. Miał zawiązany lśniący niebieski krawat.

Jak leci? – rzucił Eric. – Wieki się nie widzieliśmy.

Tak, wiem – odparł Connell. – Minęło trochę czasu, fakt.

Kto to? – spytał Eric, ruchem głowy wskazując Helen.

Helen – dokonał prezentacji Connell. – Helen, poznaj Erica.

Eric wyciągnął rękę i Helen ją uścisnęła, z wyrazem skupienia na twarzy starając się utrzymać filiżankę w lewej dłoni.

Jesteś jego dziewczyną, tak? – chciał wiedzieć Eric.

Zerknąwszy na Connella, kiwnęła głową i odpowiedziała:

Tak.

Eric puścił jej dłoń, szczerząc zęby w uśmiechu.

Tylko że pewnie dublinianka, co?

Uśmiechnęła się nerwowo i powiedziała:

Zgadza się.

Pewnie przez ciebie ten koleś teraz w ogóle nie bywa w domu – rzekł Eric.

Nie jej wina, tylko moja – wtrącił Connell.

Przecież zwyczajnie się nabijam.

Przez kilka sekund stali i rozglądali się po sali w milczeniu. Helen odchrząknęła i zwróciła się dyskretnie do Erica:

Bardzo mi przykro z powodu twojego przyjaciela.

Eric odwrócił się i posłał jej pełen galanterii ukłon. Po czym znowu zaczął rozglądać się po sali.

Tak, trudno uwierzyć – rzekł. Nalał sobie herbaty z dzbanka za nimi. – Nie spodziewałem się Marianne – dodał. – Myślałem, że wyjechała do Szwecji czy gdzieś.

Bo wyjechała – powiedział Connell. – Wróciła specjalnie na pogrzeb.

Bardzo schudła, no nie?

Eric pociągnął tęgi łyk herbaty i przełknął, cmokając. Marianne, odłączony od innej grupy, zaczęła się zbliżać do stolika z herbatą.

O wilku mowa – rzekł Eric. – Marianne, szacun, że przyjechałaś aż ze Szwecji.

Podziękowała mu i zaczęła nalewać sobie herbatę do filiżanki, mówiąc, że miło go widzieć.

Poznałaś już Helen? – spytał Eric.

Marianne odstawiła filiżankę na spodek.

Oczywiście – powiedziała. – Studiujemy na tej samej uczelni.

Czyli przyjaźń kwitnie – skwitował Eric. – W sensie, że zero rywalizacji.

Zachowuj się – upomniwała go Marianne.

Connell patrzył, jak Marianne nalewa sobie herbaty, patrzył na jej uśmiech, żartobliwe „zachowuj się” i poczuł podziw dla jej naturalności, swobody, z jaką porusza się po świecie. W szkole wyglądało to inaczej, całkiem odwrotnie. Wtedy Connell był tym, który wiedział, jak się zachowywać, natomiast Marianne po prostu działała wszystkim na nerwy.

Po pogrzebie płakał, ale płacz nic mu nie dał. W piątej klasie, gdy Connell strzelił gola dla szkolnej drużyny, Rob wbiegł na boisko, żeby go uściskać. Wykrzykiwał imię Connella i zaczął obsypywać jego głowę euforycznymi pocałunkami. Było tylko 1:1, a na zegarze pozostawało wciąż dwadzieścia minut. Ale taki był wtedy ich świat. Na co dzień uczucia tłumili tak starannie, wciskali w coraz mniejsze przestrzenie, że pozornie drobne wydarzenia nabierały szalonej, przeraźliwej wagi. W czasie meczu mogli się dotykać i płakać. Connell wciąż pamięta ten zbyt mocny uścisk. A w wieczór balu maturalnego Rob pokazywał im zdjęcia nagiej Lisy. Nic nie liczyło się dla Roba bardziej niż aprobatą innych; żeby dobrze o nim myśleli, żeby osiągnąć odpowiedni status w grupie. Zdradziłby każdą tajemnicę, zapomniałby o każdym akcie dobroci za obietnicę społecznej akceptacji. Connell nie miał prawa go za to krytykować. Był taki sam lub jeszcze gorszy. Po prostu chciał być normalny, ukrywać te zakamarki siebie, które go zawstydzaly lub dezorientowały. Dopiero Marianne mu pokazała, że można inaczej. Potem życie było już inne; może nigdy nie zrozumiał, jak bardzo inne.

W nocy po pogrzebie leżeli z Helen w jego pokoju w ciemności, nie śpiąc. Helen zapytała go, dlaczego nie przedstawił jej żadnemu ze swoich przyjaciół. Szeptała, żeby nie zbudzić Lorraine.

No, przecież przedstawiłem cię Ericowi – powiedział Connell.

Dopiero gdy o to poprosił. Szczerze mówiąc, odniosłam wrażenie, jakbyś nie chciał tak naprawdę, żeby mnie poznał.

Connell zamknął oczy.

To był pogrzeb – rzekł. – No wiesz, ktoś właśnie umarł. Nie sędzę, żeby to była najlepsza okazja do nawiązywania znajomości.

Skoro nie chciałeś, żebym tu z tobą przyjeżdżała, to po co mi to proponowałeś?

Powoli wciągnął i wypuścił powietrze.

No dobrze – powiedział. – W takim razie przepraszam, że ci to proponowałem.

Usiadła sztywno obok niego.

Co to niby ma znaczyć? Żałujesz, że tam byłam?

Nie, mówię tylko, że jeśli przedstawiłem fałszywy obraz tego, jak to będzie wyglądało, to przepraszam.

Wcale nie chciałeś, żebym tam z tobą była, prawda?

Sam nie chciałem tam być, szczerze mówiąc – odparł. – Przepraszam, jeśli się umęczyłaś, ale to był w końcu pogrzeb. Nie wiem, czego się spodziewałaś.

Słyszał, jak Helen wciąga szybko powietrze przez nos.

Marianne jakoś nie ignorowałaś – wytknęła mu.

Nikogo nie ignorowałem.

Ale jej widok szczególnie cię ucieszył, nie mam racji?

Kurwa mać, Helen – powiedział cicho.

Co?

Jak to się dzieje, że każda sprzeczka wraca do tego samego? Nasz przyjaciel niedawno się zabił, a ty naskakujesz na mnie z powodu Marianne, poważnie? No bo nawet jeśli się ucieszyłem, że ją widzę, czy przez to staję się potworem?

Gdy Helen znowu się odezwała, brzmiało to jak ciche syczenie.

Doskonale wiesz, że tolerowałam tę twoją przyjaciółkę – oświadczyła. – Ale czego się po mnie spodziewasz, mam udawać, że nie widzę, jak się gapisz na inną w mojej obecności?

Nie gapiłem się na nią.

A i owszem, w kościele.

Cóż, nie robiłem tego umyślnie – rzekł. – Wierz mi, w kościele nie byłem w nastroju do amorów, okej? Możesz mi w tej kwestii zaufać.

Dlaczego musisz się przy niej tak dziwnie zachowywać?

Zmarszczył brwi, wciąż leżał z zamkniętymi oczami, twarzą do sufitu.

To, jak się przy niej zachowuję, jest moją normą – powiedział. – Może po prostu jestem dziwny.

Helen nic już nie powiedziała. W końcu położyła się obok niego.

Dwa tygodnie później było po wszystkim, rozstali się. Connell był wtedy tak wycieńczony i nieszczęśliwy, że nie potrafił zareagować. Przytrafiały mu się różne rzeczy, napady płaczu, ataki paniki, ale zdawały się spadać na niego z zewnątrz, nie były emanacją wnętrza. W środku nie czuł nic. Był jak produkt z zamrażarki, który za szybko się rozmroził z wierzchu, podczas gdy środek pozostał twardy jak kamień. Paradoksalnie wyrażał więcej emocji niż kiedykolwiek wcześniej w swoim życiu, jednocześnie czując mniej, nic nie czując.

Yvonne kiwa powoli głową i porusza współczująco ustami.

Masz wrażenie, że się z kimś zaprzyjaźniłeś tutaj, w Dublinie? – pyta. – Z kimś, kto byłby ci bliski, z kim mógłbyś porozmawiać o tym, co czujesz?

Może z Niallem. To on mi powiedział o tym miejscu.

O studenckiej poradni psychologicznej.

Właśnie – potwierdza Connell.

O, to dobrze. Troszczy się o ciebie. Niall, okej. I on też studiuje tutaj, w Trinity.

Connell odkasłuje, próbując się pozbyć suchości w gardle, i mówi:

Tak. Mam jeszcze jedną przyjaciółkę, z którą jesteśmy dosyć blisko, ale ona w tym roku wyjechała na Erasmusa.

Znasz ją ze studiów?

Chodziliśmy razem do liceum, ale teraz też studiuje w Trinity. Marianne. Znała Roba i w ogóle. Tego kolegę, który zmarł. Ale w tym roku jest za granicą, jak powiedziałem.

Patrzy, jak Yvonne zapisuje imię w notesie, strzeliste wierzchołki dużego M. Teraz skajpuje z Marianne prawie co wieczór, czasem po kolacji, a czasem późno, gdy Marianne wraca z miasta. Nigdy nie nawiązują do tego, co się wydarzyło we Włoszech. Jest wdzięczny, że nie poruszyła tego tematu. Gdy rozmawiają, strumień wideo ma wysoką jakość, często jednak rozjeżdża się z dźwiękiem, przez co Marianne staje się ruchomym obrazem, czymś, co się ogląda. Ludzie

na studiach mówili o niej różne rzeczy, odkąd wyjechała. Connell nie jest pewien, czy Marianne wie, co osoby pokroju Jamiego o niej wygadują. Tak naprawdę nawet się z nimi nie zadaje, ale słyszał niejedno. Jakiś pijany koleś na imprezie powiedział mu, że Marianne kręca różne perwersje i że w internecie są jej zdjęcia. Connell nie wie, czy to prawda. Wpisywał jej dane do przeglądarki, ale nigdy nic nie wyskoczyło.

To ktoś, z kim możesz porozmawiać o tym, co czujesz? – pyta Yvonne.

Tak, mam w niej duże wsparcie. Jest, hm... Trudno ją opisać, jeśli się jej nie zna. Jest naprawdę bystra, dużo bardziej niż ja, ale powiedziałbym, że podobnie postrzegamy świat. I oczywiście całe życie mieszkaliśmy w tym samym miejscu, więc gdy jej tutaj nie ma, jest mi dziwnie.

Na to wygląda.

Po prostu nie ma zbyt wielu ludzi, z którymi dobrze się rozumiem – wyjaśnia. – Wie pani, mam z tym problem.

Sądziysz, że to nowy problem czy coś, z czym się borykasz od jakiegoś czasu?

Podejrzewam, że to nic nowego. Powiedziałbym, że w szkole czasami nachodziło mnie to uczucie alienacji czy jak je nazwać. Ale wszyscy mnie tam lubili i w ogóle. Tutaj mam wrażenie, że ludzie aż tak za mną nie przepadają.

Przerywa i Yvonne najwyraźniej postanawia uszanować tę pauzę, nie odzywając się.

Jak z Robem, tym kolegą, który zmarł – kontynuuje Connell. – Nie powiedziałbym, że na tym najgłębszym poziomie się rozumieliśmy, ale byliśmy kumplami.

Jasne.

Nie łączyło nas zbyt wiele, mam na myśli zainteresowania i tak dalej. A jeśli chodzi o kwestie polityczne, prawdopodobnie nie mieliśmy takich samych poglądów. Tylko że w szkole te sprawy tak naprawdę się nie liczyły. Po prostu byliśmy w tej samej paczce, więc się kumlowaliśmy, wie pani.

Rozumiem – mówi Yvonne.

I robił rzeczy, którymi nie byłem zachwycony. Jego zachowanie wobec dziewczyn czasami pozostawiało wiele do życzenia. Wie pani, mieliśmy wtedy po osiemnaście lat, wszyscy zachowywaliśmy się jak kretyni. Ale te rzeczy chyba mnie trochę odstręczały.

Connell skubie paznokcieć kciuka, a potem opuszcza rękę z powrotem na kolana.

Pewnie myślałem, że jakoś lepiej się tu odnajdę – kontynuuje. – Wie pani, myślałem, że poznam tu więcej ludzi, którzy myślą podobnie, nie wiem. Ale prawdę mówiąc, niektórzy są tutaj dużo gorsi niż ci ze szkoły. W tym sensie, że wszyscy tylko mówią o tym, ile kasy zarabiają ich starzy, porównują się z innymi. Dosłownie, byłem świadkiem takich rozmów.

Robi wdech, czując, że mówi za szybko i za dużo, nie chce jednak przerywać.

Wydaje mi się, że wyjechałem z Carricklea z nadzieją, że moje życie może wyglądać inaczej – wyznaje. – Tymczasem tutaj jest beznadziejnie, a tam nie mogę wrócić. To znaczy po tamtych przyjaźniach nic nie zostało. Rob nie żyje, jego już nigdy nie zobaczę. Tamto życie nigdy nie wróci.

Yvonne przesuwając po stole w jego stronę pudełko z chusteczkami. Connell zerka na nie, wzór w zielone palmowe liście, a potem z powrotem na Yvonne. Dotyka swojej twarzy i uzmysławia sobie, że zaczął płakać. Bez słowa wyciąga z pudełka chusteczkę i wyciera twarz.

Przepraszam – mówi.

Yvonne przechwytuje jego spojrzenie, on jednak nie potrafi stwierdzić, czy go słuchała i czy go zrozumiała lub próbowała zrozumieć, co mówi.

Tutaj w czasie terapii możemy spróbować popracować nad twoimi emocjami, nad twoimi myślami i reakcjami – wyjaśnia Yvonne. – Nie możemy zmienić twojej sytuacji, możemy tylko zmienić to, jak na tę sytuację będziesz reagował. Rozumiesz, co mam na myśli?

Aha.

Na tym etapie sesji Yvonne zaczyna mu wręczać zestawy zadań z dużymi komiksowymi strzałkami wskazującymi różne ramki.

Connell odbiera je i udaje, że zamierza później wypełnić. Terapeutka podaje mu też kilka skserowanych kartek z poradami o tym, jak radzić sobie z lękiem, i Connell zapewnia, że je przeczyta. Drukuje mu zaświadczenie, które ma zabrać do przychodni studenckiej, z informacją o jego depresji, i Connell obiecuje, że wróci na następną sesję za dwa tygodnie. Po czym wychodzi z gabinetu.

Kilka tygodni temu Connell wziął udział w spotkaniu z pisarzem odwiedzającym Trinity College. Usiadł samotnie na końcu auli, skrzepowany, bo frekwencja była niska i wszyscy inni zbili się w grupki. Była to jedna z tych wielkich sal bez okien w Arts Block, ze składanymi stolikami przy siedzeniach. Jeden z wykładowców wygłosił krótkie i pochlebne wprowadzenie na temat twórczości autora, a potem sam pisarz, dosyć młody, może trzydziestoletni, stanął za katedrą i podziękował władzom uczelni za zaproszenie. Wtedy już Connell żałował swojej decyzji o przyjściu na spotkanie. Było ono w każdym calu sztapowe i konwencjonalne, całkowicie wyzute z energii. Nie wiedział, po co w ogóle wziął w nim udział. Przeczytał zbiór opowiadań pisarza i uznał, że są nierówne, choć autor miejscami potrafił pisać wrażliwie i wnikliwie. Teraz, pomyślał, nawet to wrażenie zostało zniwelowane, gdy zobaczył pisarza w tych okolicznościach, odseparowanego od wszystkiego, co spontaniczne, czytającego na głos z własnej książki publiczności, która już ją znała. Sztuczność recytacji sprawiła, że zawarte w jego utworach obserwacje pobrzmiwały fałszem, oddzieliły pisarza od ludzi, o których pisał, jak gdyby obserwował ich wyłącznie z myślą o tym, by móc porozmawiać o nich ze studentami z Trinity. Connell nie potrafił określić, jaki sens mają takie spotkania, jaka jest z nich korzyść, co znaczą. Biorą w nich udział wyłącznie osoby chcące być tego rodzaju osobami, które biorą w nich udział.

Po spotkaniu przed aulą zorganizowano mały poczęstunek z winem. Connell już miał odejść, ale ugrzązł w grupie głośno rozprawiających studentów. Gdy próbował się precyzyjnie, jedna ze studentek zawołała:

O, cześć, Connell!

Rozpoznał ją: Sadie Darcy-O'Shea. Chodziła z nim na niektóre zajęcia na anglistyce, wiedział też, że udziela się w kółku literackim. Była tą dziewczyną, która na pierwszym roku rzuciła mu prosto w twarz, że jest „geniuszem”.

Hej – odpowiedział.

Podobało ci się spotkanie?

Wzruszył ramionami.

Było okej – rzekł. Czuł się nieswojo i chciał odejść, ona jednak cały czas mówiła. Wtarał dłonie o koszulkę.

Nie zachwycił cię?

Nie wiem, nie widzę sensu w organizowaniu takich imprez.

Spotkań autorskich?

Właśnie – odparł Connell. – Widzisz, tak naprawdę nie rozumiem, po co one komu.

Wszyscy nagle odwrócili wzrok i Connell podążył za ich spojrzeniami. Z auli wyłonił się właśnie pisarz i szedł w ich kierunku.

Cześć, Sadie – przywitał się.

Connell nie domyślił się wcześniej, że Sadie może znać pisarza prywatnie, i zrobiło mu się głupio w związku z tym, co powiedział.

Tak cudownie czytałeś – entuzjazmowała się Sadie.

Poirytowany i zmęczony Connell przesunął się na bok, by pisarz mógł do nich dołączyć, ale zanim udało mu się wymknąć, Sadie chwyciła go za ramię i oznajmiła:

Connell właśnie mówił, że nie widzi sensu w organizowaniu spotkań autorskich.

Pisarz spojrział z roztargnieniem w kierunku Connella i pokiwał głową.

No, też tak uważam – rzekł. – Straszne nudy, prawda?

Connell zauważył, że drewniany styl jego recytacji charakteryzuje też jego sposób mówienia i poruszania się, i zrobiło mu się przykro, że wydał tak negatywną opinię o literaturze kogoś, kto być może jest tylko pozbawiony wdzięku.

Cóż, nam się podobało – stwierdziła Sadie.

Jak się nazywasz, Connell jak? – spytał pisarz.

Connell Waldron.

Pisarz kiwnął głową. Wziął ze stołu kieliszek czerwonego wina i pozwolił, by reszta wróciła do rozmowy. Z jakiegoś powodu, chociaż w końcu nadarzyła się okazja, by się ulotnić, Connell nie wyszedł. Pisarz wypił trochę wina, a potem znów na niego spojrzał.

Podobała mi się pańska książka – rzekł Connell.

O, dzięki – rzucił pisarz. – Wybiera się pan na drinka do Stag's Head? Zdaje się, że potem wszyscy tam idą.

Wyszli z pubu, dopiero gdy go zamykano. Przeprowadzili przyjacielską dysputę o spotkaniach autorskich i chociaż Connell nie odzywał się wiele, pisarz wziął jego stronę, co go ucieszyło. Później spytał Connella, skąd jest, i Connell odpowiedział, że z miasteczka o nazwie Carricklea w hrabstwie Sligo. Pisarz pokiwał głową. Znam, tak – powiedział. – Kiedyś była tam kręgielnia, pewnie od lat już jej nie ma.

Aha – potwierdził nieco zbyt szybko Connell. – Miałem tam kiedyś urodziny, jak byłem mały. W tej kręgielni. Już jej nie ma, rzecz jasna. Jak pan mówił.

Pisarz pociągnął łyk piwa i zapytał:

Jak się panu studiuje w Trinity, podoba się panu?

Connell zerknął na Sadie za stołem; bransoletki na jej nadgarstkach uderzały o siebie.

Trochę trudno mi się dopasować, jeśli mam być szczery – rzekł.

Pisarz znowu kiwnął głową.

To niekoniecznie musi być coś złego – stwierdził. – Z tego może się zrodzić pierwszy zbiór opowiadań.

Connell roześmiał się i spuścił wzrok. Wiedział, że to żart, ale sama myśl o tym, że może nie cierpi na próżno, była przyjemna.

Wie, że na studiach dla wielu osób zainteresowanych literaturą książki to głównie sposób, by stworzyć wizerunek osoby czytanej i kulturalnej. Gdy tego wieczoru w pubie Stag's Head ktoś napomknął o protestach przeciwko polityce zaciskania pasa, Sadie wyrzuciła ręce do góry i powiedziała:

Tylko bez polityki, bardzo proszę!

Początkowa ocena spotkań autorskich, którą wyraził Connell, nie została podważona. Kultura jest rodzajem performansu społecznego,

a literaturę fetyszyzuje się za zdolność zabierania ludzi wykształconych w fałszywą emocjonalną podróż, żeby mogli później czuć się lepsi od ludzi niewykształconych, o których podróżach emocjonalnych lubią czytać. Nawet jeśli sam pisarz jest przyzwoity, a jego książka naprawdę odkrywczą, wszystkie książki ostatecznie sprzedaje się jako symbol statusu i w tym marketingu uczestniczą do pewnego stopnia wszyscy pisarze. Przypuszczalnie w ten sposób branża zarabia. Literatura, przynajmniej taka, jaka jawi się na tych spotkaniach z czytelnikami, nie ma żadnego potencjału jako forma oporu wobec czegośkolwiek. Mimo to Connell tego wieczoru wrócił do domu i przejrzał notatki do nowego opowiadania, i poczuł w swoim ciele dawny puls przyjemności, jaki daje obejrzenie popisowego gola, migotanie światła pomiędzy liśćmi, fragment muzyki z okna przejeżdżającego samochodu. Życie podsuwa te chwile radości na przekór wszystkiemu.

Cztery miesiące później (lipiec 2014)

Opadają jej powieki, aż ekran telewizora jest już tylko świetlistym zielonym prostokątem.

Zasypiasz? – pyta ją.

Marianne odpowiada dopiero po chwili:

Nie.

Connell kiwa głową, nie odrywając wzroku od meczu. Wypija łyk coli i pozostały na dnie łód stuka delikatnie w szklance. Jej kończyny na materacu są ciężkie. Leży w pokoju Connella w jego domu na osiedlu Foxfield i razem oglądają mundialowy mecz Holandii z Kostaryką o awans do półfinału. Jego pokój wygląda tak samo jak w czasach liceum, chociaż od tamtej pory jeden róg plakatu ze Stevenem Gerrardem odzepił się od ściany i zawinął do środka. Wszystko inne jest jednak identyczne: abażur, zielone zasłony, nawet poszewki na poduszki z pasiastym wykończeniem.

W przerwie mogę cię podrzucić do domu – proponuje Connell.

Marianne przez chwilę się nie odzywa. Jej powieki zamykają się drżąco, a potem się podnoszą, szerzej, żeby widzieć zawodników biegających po murawie.

Czy ja ci przeszkadzam? – pyta go.

Nie, ależ skąd. Po prostu wyglądasz na śpiącą.

Dasz mi się napić trochę coli?

Connell podaje jej szklankę, a ona podnosi się, czując się jak małe dziecko. Ma sucho w ustach, a cola jest zimna i pozbawiona smaku. Wypija dwa tęgie łyki i oddaje mu szklankę, wycierając usta wierzchem dłoni. Connell, odbierając szklankę, nie odwraca wzroku od telewizora.

Chce ci się pić – stwierdza. – W lodówce na dole jest jeszcze cola, jeśli chcesz.

Marianne kręci w odpowiedzi głową i znów się kładzie, zaplatając ręce na karku.

Gdzie zniknąłeś wczoraj w nocy? – pyta.

Och, nie wiem, wyskoczyłem na chwilę na papierosa.

I co, w końcu całowałaś się z tą dziewczyną?

Nie.

Marianne zamyka oczy, wachluje się ręką.

Jest mi strasznie gorąco – mówi. – Nie uważasz, że tu jest za ciepło?

Możesz otworzyć okno, jeśli chcesz.

Marianne próbuje dopełznąć do okna i dosięgnąć klamki, tak aby nie musieć się podnosić. Nieruchomieje na chwilę, sprawdzając, czy Connell ją wyręczy. Tego lata Connell pracuje w bibliotece uniwersyteckiej, ale przyjeżdża do Carricklea co weekend, odkąd wróciła ze Szwecji. Jeżdżą razem samochodem po okolicy, do Strandhill albo do wodospadu Glencar. Connell często skubie paznokcie i mało mówi. W zeszłym miesiącu oznajmiła mu, że nie musi czuć się w obowiązku jej odwiedzać, jeśli nie ma na to ochoty, a on odpowiedział beznamiętnie:

To akurat jedyna rzecz, która mi sprawia przyjemność.

Marianne teraz siada na łóżku i sama otwiera okno. Światło dnia już gaśnie, ale powietrze na zewnątrz jest ciepłe i nieruchome.

Jak ona się nazywała, jeszcze raz? – pyta go. – Ta dziewczyna za barem.

Niamh Keenan.

Podobasz jej się.

Wątpię, żebyśmy mieli wspólne zainteresowania – odpowiada Connell. – Wczoraj szukał cię Eric, widziałas się z nim?

Marianne siada po turecku na łóżku, twarzą do Connella. On opiera się o wezglowie, przyciskając szklankę z colą do piersi.

Tak, widziałam – odpowiada Marianne. – To było bardzo dziwne.

Dlaczego? Co się stało?

Był mocno napity. Nie wiem. Z jakiegoś powodu postanowił, że chce mnie przeprosić za to, jak się zachowywał w liceum.

Naprawdę? – mówi Connell. – Rzeczywiście dziwne.

Odwraca się znów do ekranu, więc Marianne czuje, że może swobodnie przyjrzeć się jego twarzy. Connell prawdopodobnie zauważa jej badawcze spojrzenie, ale uprzejmie nie komentuje. Lampka nocna miękko rozświetla jego rysy, wydatną kość

policzkową, brew zmarszczoną w wyrazie łagodnej koncentracji, delikatny blask potu nad górną wargą. Obserwowanie twarzy Connella zawsze sprawia Marianne pewną przyjemność, którą mogą modulować przeróżne inne uczucia wynikające z wzajemnych zależności między rozmową i nastrojem. Jego oblicze jest dla niej jak ulubiony utwór muzyczny, który za każdym razem, gdy go słyszy, brzmi nieco inaczej.

Trochę mówił o Robie – relacjonuje Marianne. – Stwierdził, że Rob chciałby przeprosić. To znaczy trudno powiedzieć, czy nawiązywał do czegoś, co powiedział mu Rob, czy też dokonywał jakiejś psychologicznej projekcji.

Szczerze mówiąc, jestem pewien, że Rob chciałby przeprosić.

Och, wolę o tym nie myśleć. Wolę nie myśleć, że dręczyło go w jakiś sposób sumienie. Tak naprawdę nigdy nie miałam mu tego za złe. No wiesz, to nie było nic wielkiego, byliśmy gówniarzami.

Nie zgadzam się – mówi Connell. – Dokuczał ci przecież.

Marianne nic nie mówi. To prawda, dokuczali jej, Eric raz powiedział przy wszystkich, że jest „płaska jak deska”, a Rob, zaśmiewając się, przecisnął się do Erica, żeby szepnąć mu coś na ucho, potwierdzenie albo jakąś inną obelgę, zbyt wulgarną, by wypowiedzieć ją na głos. Na pogrzebie w styczniu wszyscy opowiadali o tym, jak wspaniałym człowiekiem był Rob, pełnym życia, jakim oddanym synem i tak dalej. A jednocześnie brakowało mu pewności siebie, miał obsesję na punkcie akceptacji rówieśników, co sprawiało, że bywał okrutny. Nie po raz pierwszy Marianne myśli, że okrucieństwo nie rani tylko ofiary, lecz także sprawcę, może nawet głębiej i trwalej. Gdy się nad tobą znęcają, nie dowiadujesz się niczego odkrywczego na własny temat; natomiast jeśli sam się nad kimś znęcasz, dowiadujesz się o sobie czegoś, czego nie można zapomnieć.

Po pogrzebie przeglądała wieczorami stronę Roba na Facebooku. Mnóstwo ludzi ze szkoły zostawiło tam komentarze; pisali, jak bardzo im go brakuje. Jaki jest sens, zastanawiała się Marianne, wpisywania czegoś na profilu osoby, która nie żyje? Co te wiadomości, te reklamy żalu, naprawdę dla nich znaczą? Jakie są zasady etykiety, gdy pojawiają się na linii czasu? Trzeba je

„polubić”, okazując wsparcie? Przewinąć w poszukiwaniu czegoś lepszego? Wtedy jednak złościło ją wszystko. Myśląc o tym teraz, nie rozumie, dlaczego tak ją to uwierało. Żadna z tych osób nie zrobiła niczego złego. Po prostu w ten sposób opłakiwały zmarłego. Oczywiście wpisywanie się na jego facebookowej stronie było bez sensu, ale wszystko inne też nie miało sensu. Jeśli ludzie zachowywali się absurdalnie w żałobie, to tylko dlatego, że ludzkie życie jest bezsensowne i żałoba tę prawdę demaskuje. Marianne żałuje, że nie może wybaczyć Robowi, nawet gdyby jej przebaczenie nic dla niego nie znaczyło. Gdy teraz o nim myśli, jego twarz jest zawsze zasłonięta, odwrócona, za drzwiami szafki w szatni, za zamkniętym oknem samochodu. Kim byłś? – zastanawia się teraz, gdy nie ma już nikogo, kto odpowiedziałby na to pytanie.

Przyjechałaś przeprosiny? – pyta Connell.

Marianne kiwa głową, wpatrując się we własne paznokcie.

Oczywiście, że tak – mówi. – Nie jestem pamiętliwa.

Na szczęście dla mnie – odpowiada Connell.

Rozlega się gwizdek kończący pierwszą połowę meczu i piłkarze ze spuszczoneymi głowami rozpoczynają powolny marsz do szatni. Wciąż jest 0:0. Marianne wyciera nos. Connell siada prosto i odstawia szklankę na stolik nocny. Marianne myśli, że znów proponuje jej podwózkę do domu, tymczasem on mówi:

Masz ochotę na lody?

Odpowiada twierdząco.

Za sekundę wracam – mówi. Wychodząc, zostawia drzwi pokoju otwarte.

Marianne mieszka teraz w domu po raz pierwszy, odkąd skończyła liceum. Matka i brat cały dzień są w pracy i Marianne nie ma do roboty nic prócz przesiadywania w ogrodzie i podglądania dżdżownic wwiercających się w glebę. W ciągu dnia parzy kawę, zamiata podłogi, ściera kurze. Dom nigdy nie jest porządnie sprzątnięty, ponieważ Lorraine dostała pracę na pełen etat w hotelu i nie zatrudnili nikogo na jej miejsce. Bez Lorraine mieszkanie tu nie jest już tak przyjemne. Czasem Marianne robi sobie jednodniowe

wypady do Dublina, razem z Joanną przechadzają się po galerii Hugh Lane w sukienkach z odsłoniętymi ramionami i popijają wodę z butelek. Dołącza do nich dziewczyna Joanny, Evelyn, jeśli się nie uczy ani nie pracuje, i zawsze jest niezmiernie życzliwa wobec Marianne i zainteresowana tym, co się u niej dzieje. Marianne tak się cieszy, że Joanna i Evelyn są razem, że czuje się szczęściarą, mogąc widzieć je obok siebie czy nawet słyszeć, jak Joanna mówi do Evelyn wesoło przez telefon: „Okej, kocham cię, do zobaczenia”. Dla Marianne jest to okno wychodzące na prawdziwe szczęście, chociaż takie, którego sama nie może otworzyć ani się przez nie przecisnąć.

Któregoś tygodnia wybrali się z Connellem i Niallem na demonstrację przeciwko wojnie w Strefie Gazy. Były tam tysiące ludzi niosących plakaty, megafony i transparenty. Marianne chciała wtedy, żeby jej życie coś znaczyło, chciała zatrzymać każdy przejaw przemocy silnych przeciwko słabszym i pamiętała okres sprzed kilku lat, kiedy czuła się tak mądra, młoda i silna, że wydawało jej się to osiągalne, teraz jednak wiedziała, że wcale nie jest silna, że do śmierci będzie żyła w świecie ekstremalnej przemocy przeciwko niewinnym i pomóc może najwyżej garstce ludzi. O wiele trudniej było pogodzić się z myślą, że można pomóc niewielu, jakby wołała nikomu nie pomagać niż ograniczać się do czegoś tak drobnego i skromnego, ale to też nie do końca prawda. Demonstracja była bardzo głośna i powolna, mnóstwo osób waliło w bębny i skandowało nierówno hasła, nagłośnienie włączało się i wyłączało z trzaskiem. Przymaszerowali przez most O'Connella nad płynącą spokojnie w dole Liffey. Było gorąco i Marianne spiekła sobie ramiona.

Wieczorem Connell odwiózł ją do Carricklea, chociaż powiedziała, że wróci pociągiem. Oboje byli w czasie jazdy bardzo zmęczeni. Gdy mijali Longford, w radiu leciała właśnie piosenka White Lies, popularna, gdy chodzili do liceum, i nie dotykając pokrętła głośności ani nie podnosząc głosu, żeby przekrzyczeć muzykę, Connell powiedział:

Wiesz, że cię kocham.

Nie dodał nic innego. Marianne odparła, że też go kocha. Pokiwał głową i jechał dalej, jak gdyby zupełnie nic się nie stało, bo i w pewnym sensie tak było.

Brat Marianne pracuje teraz w radzie hrabstwa. Wieczorami wraca do domu i krąży po pokojach, szukając jej. Marianne ze swojej sypialni potrafi wyczuć, że to on, bo brat nigdy nie zdejmuje w domu butów. Puka do jej drzwi, jeśli nie znajduje jej w salonie albo w kuchni.

Chcę tylko pogadać – mówi. – Dlaczego się zachowujesz, jakbyś się mnie bała? Możemy przez chwilę porozmawiać?

Marianne musi wtedy podejść do drzwi, a on chce wrócić do kłótni z poprzedniego wieczoru; gdy mu mówi, że jest zmęczona i chce się położyć, on nie odchodzi, dopóki Marianne nie przeprosi za poprzednią kłótnię, więc Marianne przeprasza, a on mówi:

Uważasz mnie za potwora.

Marianne zastanawia się, czy to prawda.

Próbuję być dla ciebie miły – mówi Alan – ale ty zawsze odtrącasz każdy przyjacielski gest.

Marianne wątpi, żeby to była prawda, wie jednak, że on jest o tym przekonany. Przeważnie nie dzieje się nic gorszego, tylko to, nic, tylko to, oraz długie puste dni tygodnia wypełnione ścieraniem kurzów i wyciskaniem mokrych gąbek w zlewie.

Connell wchodzi teraz na górę i rzuca jej loda na patyku w błyszczącym papierku. Marianne chwyta go i od razu przykładą do policzka, napawając się cudownym chłodem. Connell siada, opierając się o wezgłowie, i zaczyna otwierać opakowanie.

Widujesz w Dublinie Peggy? – pyta go Marianne. – Czy kogoś z tamtej paczki?

Connell nieruchomieje, papierek szeleści pod jego palcami.

Nie – mówi. – Myślałem, że się do siebie nie odzywacie.

Ale ja tylko pytam, czy masz z nimi jakiś kontakt.

Nie. Nie miałbym im zresztą zbyt wiele do powiedzenia.

Marianne rozrywa papierek i wysuwa z niego loda na patyku o smaku pomarańczowo-waniliowym. Na języku – maleńkie płatki

szronu bez smaku.

Ale słyszałem, że Jamie nie jest szczęśliwy – dodaje Connell.

Przypuszczam, że wygadywał różne paskudne rzeczy na mój temat.

No. Ja oczywiście z nim nie rozmawiałem. Ale coś mi się obilo o uszy, tak.

Marianne unosi brwi, jakby rozbawiona. Gdy pierwszy raz usłyszała plotki, które o niej krążyły, wcale nie było jej do śmiechu. Pytała wielokrotnie Joannę: kto o niej mówi, co się mówi? Przyjaciółka nie chciała jej powiedzieć. Stwierdziła, że za kilka tygodni wszyscy i tak zainteresują się czymś innym.

Ludzie są niedojrzali w swoim nastawieniu do seksualności – oznajmiła wtedy. – Ich obsesja na punkcie twojego życia intymnego jest prawdopodobnie bardziej fetyszystyczna niż to, co robiłaś.

Marianne wróciła nawet do Lukasa i kazała mu skasować wszystkie zdjęcia z nią, zresztą i tak żadnego z nich nie umieścił w sieci. Wstyd spowijał ją jak całun. Prawie nic spod niego nie widziała. Materiał tłumił jej oddech, drapał skórę. Zupełnie jakby jej życie się skończyło. Jak długo trwało to uczucie? Dwa tygodnie, dłużej? Potem opuściło ją i pewien krótki rozdział jej młodości dobiegł końca. Wyszła z niego cało, było, minęło.

Nigdy mi o tym nie mówiłeś – zwraca się do Connella.

Cóż, słyszałem, że Jamie był wkurzony, że z nim zerwałaś, a potem rozповідаł o tobie różne świństwa. Ale to nawet nie plotki, tak się zachowują faceci. Nikt tego nie brał poważnie.

Myślę, że to bardziej kwestia utraty dobrego imienia.

To w takim razie jakim cudem reputacja Jamiego pozostaje bez szwanku? – pyta Connell. – To on robił z tobą te wszystkie rzeczy.

Marianne podnosi wzrok. Connell skończył już jeść swojego loda i teraz bawi się suchym drewnianym patyczkiem. Jej została jeszcze śliska główka waniliowych lodów lśniąca w świetle lampki nocnej.

Z facetami jest inaczej – mówi Marianne.

Tak, zaczynam to dostrzegać.

Marianne wylizuje patyk do czysta i przez chwilę mu się przygląda. Connell przez kilka sekund nic nie mówi, po czym komentuje:

To miło, że Eric cię przeprosił.

Wiem – odpowiada Marianne. – Ludzie z liceum, odkąd wróciłam, są dla mnie całkiem mili. Mimo że wcale nie staram się nawiązać z nimi kontaktu.

Może powinnaś.

Dlaczego? Sądzisz, że jestem niewdzięczna?

Nie, mam na myśli tylko to, że chyba czujesz się trochę samotna – mówi.

Marianne milczy, z patyczkiem między palcem wskazującym a środkowym.

Przyzwyczaiłam się – stwierdza. – Tak naprawdę całe życie jestem samotna.

Connell kiwa głową, marszcząc brwi.

Tak – mówi. – Wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Z Helen nie czułeś się samotny, prawda?

Nie wiem. Czasami. Z nią nie czułem się cały czas w stu procentach sobą.

Marianne kładzie się teraz płasko na plecach, z głową na poduszce i gołymi nogami wyciągniętymi na kołdrze. Wpatruje się w lampę sufitową – ten sam abażur sprzed lat, brudna zieleń.

Connell – mówi. – Pamiętasz, jak tańczyliśmy zeszłej nocy?

Tak.

Przez chwilę Marianne chce tylko leżeć tutaj, przedłużając intensywną ciszę i wpatrując się w abażur, czerpiąc zmysłową przyjemność z samego przebywania z nim znowu w tym pokoju i nakłaniania go do rozmowy, ale czas płynie.

I co w związku z tym? – pyta Connell.

Czy ja powiedziałam wtedy coś, co cię zirytowało?

Nie. Co masz na myśli?

Gdy odszedłeś i po prostu mnie tam zostawiłeś – mówi Marianne. – Czułam się trochę dziwnie. Pomyślałam, że może zniknąłeś, bo zależało ci na tej całej Niamh czy jak jej tam, dlatego o nią pytałam. Nie wiem.

Nie odszedłem. Zapytałem cię, czy chcesz wyjść zapalić, a ty powiedziałaś, że nie.

Marianne podpira się na łokciach i patrzy na niego. Jest teraz zarumieniony, uszy ma czerwone.

Nie pytałeś – mówi. – Powiedziałeś: „Wychodzę na papierosa” i odszedłeś.

Nie, spytałem, czy chcesz wyjść na papierosa, a ty pokręciłaś głową.

Może nie słyszałam cię dobrze.

Na pewno – odpowiada. – Pamiętam doskonale, co powiedziałem. Ale trzeba przyznać, że muzyka grała głośno.

Zapada po raz kolejny milczenie. Marianne kładzie się na wznak, znów wpatruje się w lampę, czuje, jak i jej twarz płonie.

Myślałam, że jesteś na mnie zły – mówi.

Przepraszam. Nie byłem. – Po pauzie dodaje: – Myślę, że nasza przyjaźń byłaby dużo łatwiejsza pod pewnymi względami, gdyby... pewne rzeczy były inne.

Marianne podnosi rękę do czoła. Connell milknie.

Gdyby co było inne? – pyta Marianne.

Nie wiem.

Marianne słyszy jego oddech. Wie, że przyparła go do muru, i nie chce naciskać jeszcze bardziej.

Wiesz, nie będę kłamał – mówi Connell – rzecz jasna czuję do ciebie pewien pociąg. Nie próbuję się usprawiedliwiać. Wydaje mi się po prostu, że sytuacja byłaby mniej zagmatwana, gdyby w naszej relacji nie było tego elementu.

Marianne przesuwą dłoń do żeber, czuje powolne unoszenie się przepony.

Myślisz, że byłoby lepiej, gdybyśmy w przeszłości nigdy ze sobą nie sypiali? – pyta.

Nie wiem. Trudno mi jest sobie wyobrazić moje życie w ten sposób. No bo nie wiem, gdzie wtedy bym poszedł na studia i gdzie byłbym teraz.

Marianne milczy, trzymając dłoń płasko na brzuchu, i pozwala, by ta myśl przez chwilę krążyła między nimi.

Zabawne, ile podejmujemy decyzji, bo kogoś lubimy – kontynuuje Connell – a potem całe nasze życie jest inne. Myślę, że jesteśmy w tym dziwnym wieku, kiedy życie może się zmienić diametralnie

za sprawą nawet drobnych decyzji. Ale ty miałaś na mnie ogólnie pozytywny wpływ, w sensie, że jestem teraz chyba zdecydowanie lepszą osobą. Dzięki tobie.

Marianne leży tam, oddychając głośno. Szczypią ją oczy, lecz nie wykonuje żadnego ruchu, żeby ich dotknąć.

Gdy na pierwszym roku byliśmy razem – pyta go – czułeś się wtedy samotny?

Nie. A ty?

Nie. Czasem ogarniała mnie frustracja, owszem, ale nie czułam się samotna. Nigdy nie czuję się samotna, gdy jestem z tobą.

Aha – mówi Connell. – Szczerze mówiąc, to był jakby idealny okres w moim życiu. Wcześniej tak naprawdę chyba nigdy nie byłem szczęśliwy.

Marianne mocno napiera dłonią na brzuch, wyciskając z siebie powietrze, po czym robi wdech.

Naprawdę chciałam, żebyś mnie wczoraj pocałował – wyznaje.

O.

Jej pierś podnosi się znowu i wolno opada.

Ja też chciałem – mówi Connell. – Chyba się nie zrozumieliśmy.

Cóż, nic się nie stało.

Connell odchrząkuje.

Nie wiem, co jest dla nas najlepsze – mówi. – Oczywiście miło mi słyszeć to, co mówisz. A jednocześnie nasze próby w przeszłości nigdy nie kończyły się dobrze. Wiesz, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, nie chciałbym tego stracić za nic w świecie.

Jasne, wiem, co masz na myśli.

Jej oczy są teraz wilgotne i musi je potrzebować, żeby nie popłynęły łzy.

Mogę się zastanowić? – pyta Connell.

Oczywiście.

Nie chcę, żebyś sobie pomyślała, że jestem niewdzięcznikiem.

Marianne kiwa głową, wycierając nos. Zastanawia się, czy mogłaby odwrócić się w stronę okna, żeby jej nie widział.

Jesteś dla mnie wielkim wsparciem, naprawdę – kontynuuje Connell. – Mam na myśli moją depresję i tak dalej, żeby nie zagłębiać się w temat, bardzo mi pomogłaś.

Nie jesteś mi nic winien.

Nie, wiem. Nie to miałem na myśli.

Marianne siada, zsuwa nogi z łóżka i chowa twarz w dłoniach.

Zaczynam się niepokoić – mówi Connell. – Nie pomyślałaś sobie, mam nadzieję, że cię odrzucam.

Nie musisz się niepokoić. Wszystko w porządku. Może już wróć do domu, jeśli pozwolisz.

Mogę cię podwieźć.

Nie chcesz przegapić drugiej połowy – odpowiada Marianne. – Przejdę się, w porządku.

Zaczyna wkładać buty.

Szczerze mówiąc, zapomniałem, że jest jakiś mecz – mówi Connell.

Nie wstaje jednak ani nie szuka kluczyków. Marianne podnosi się i wygładza spódnice. Connell siedzi na łóżku i przygląda się jej ze skupieniem, niemal zatroskaniem na twarzy.

Dobra – rzuca Marianne. – To cześć.

Connell sięga po jej rękę, a ona bez namysłu mu ją podaje. Przez chwilę Connell przesuwając kciukiem po jej dłoni. Potem podnosi ją do ust i całuje. Marianne czuje się błogo przytłoczona ciężarem jego władzy nad nią, ekstatycznej bezdennej głębi swego pragnienia, by go zadowolić.

To przyjemne – mówi.

Connell przytakuje. Marianne czuje nisko w swoim ciele rozkoszny ucisk w okolicach miednicy, w plecach.

Po prostu się niepokoję – mówi Connell. – To chyba dosyć oczywiste, że nie chcę, żebyś odchodziła.

Ledwo słyszalnym głosem Marianne odpowiada:

Dla mnie nie jest oczywiste, czego chcesz.

Connell podnosi się i staje przed nią. Jak wytresowane zwierzę Marianne stoi bez ruchu z rozedrganym każdym nerwem. Chce głośno jęknąć. Connell kładzie dłonie na jej biodrach i Marianne pozwala mu się pocałować w rozchyłone usta. Wrażenie jest tak silne, że robi jej się słabo.

Tak bardzo tego chcę – wyznaje.

Bardzo się cieszę, że tak mówisz. Wyłączę telewizor, okej?

Marianne osuwa się na łóżko, gdy Connell wyłącza aparat. Siada obok niej i znów się całują. Jego dotyk ma niemal narkotyczne działanie. Ogarnia ją przyjemna beztroska, chce, i to bardzo, się rozebrać. Kładzie się na kołdrze, a on pochyla się nad nią. Minęły całe lata. Marianne czuje, jak jego penis wciska się w jej biodro, i wstrząsa nią porażająca siła pożądania.

Hmm – mruczy Connell. – Tęskniłem za tobą.

Z innymi nie jest tak samo.

Cóż, inne nie podobają mi się tak bardzo jak ty.

Znowu ją całuje i Marianne czuje na swoim ciele jego dłonie. Jest otchłanią, do której Connell może sięgnąć, pustką, którą on może wypełnić. Na oślep, mechanicznie zaczyna się rozbierać i słyszy, jak Connell rozpina pasek. Jakże elastyczny wydaje się czas, rozciągany dźwiękiem i ruchem. Marianne leży na brzuchu i wciska twarz w materac, a on dotyka tylnej części jej uda. Jej ciało jest jedynie przedmiotem i chociaż było przekazywane z rąk do rąk, na różne sposoby wykorzystywane, zawsze w jakiś sposób należało do niego i Marianne ma ochotę mu je teraz zwrócić.

Prawdę mówiąc, nie mam gumek – informuje Connell.

W porządku, biore pigułki.

Connell dotyka jej włosów. Marianne czuje, jak opuszki jego palców muskają jej kark.

W tej pozycji? – pyta ją.

Jak chcesz.

Kładzie się na niej, z jedną dłonią podpartą na materacu przy jej twarzy, drugą w jej włosach.

Dawno tego nie robiłem – przyznaje.

Nie szkodzi.

Gdy Connell już w niej jest, Marianne słyszy raz za razem własny głos, dziwne, dzikie okrzyki. Chce do niego przyłgnąć, ale nie może i czuje, jak jej prawa ręka ściska bezsilnie kołdrę. Connell pochyla się, jego twarz jest teraz bliżej jej ucha.

Marianne? – mówi. – Możemy to powtórzyć, powiedzmy, w przyszły weekend i tak dalej?

Kiedy tylko chcesz.

Chwyta jej włosy, nie ciągnie ich, jedynie ściska w rękę.

Kiedy chcę, naprawdę? – pyta.

Możesz robić ze mną, co tylko chcesz.

Z jego gardła dochodzi jakiś odgłos i Connell wsuwa się w nią jeszcze mocniej.

Jak dobrze – mówi.

Jej głos jest teraz zachrypnięty.

Podoba ci się, gdy tak mówię? – pyta go.

Tak, bardzo.

Powiesz mi, że należę do ciebie?

Jak to? – pyta Connell.

Marianne nie odpowiada, jedynie dyszy ciężko w kołdrę i czuje własny oddech na twarzy. Connell milczy teraz, czekając, aż Marianne coś powie.

Uderzysz mnie? – pyta Marianne.

Przez kilka sekund Marianne nie słyszy niczego, nawet jego oddechu.

Nie – odpowiada Connell. – Tego bym chyba nie chciał. Przepraszam.

Marianne nic nie mówi.

Dobrze? – pyta ją.

Marianne wciąż się nie odzywa.

Chcesz przestać? – pyta.

Marianne kiwa głową. Czuje, jak unosi się z niej jego ciężar. Znowu czuje się pusta i nagle robi jej się zimno. Connell siada na łóżku i nasuwa na siebie kołdrę. Marianne wciąż leży na brzuchu, nie poruszając się, żaden dopuszczalny ruch nie przychodzi jej do głowy.

Wszystko w porządku? – pyta Connell. – Przepraszam, nie chciałem tego robić, myślę po prostu, że to byłoby dziwne. To znaczy nie dziwne, ale... nie wiem. To nie byłby chyba dobry pomysł.

Zaczynają ją boleć piersi od leżenia w tej pozycji i czuje mrowienie na twarzy.

Uważasz, że jestem dziwna? – pyta Marianne.

Tego nie powiedziałem. Miałem na myśli, wiesz: nie chcę, żeby znowu się między nami skwasiło.

Robi jej się potwornie gorąco, jest to cierpki żar, na całej skórze, który ogarnia także oczy. Marianne siada, przodem do okna, odgarnia z twarzy włosy.

Myślę, że pójde już do domu, jeśli nie masz nic przeciwko – mówi.

Dobra. Skoro chcesz.

Marianne odnajduje swoje rzeczy i ubiera się. On też zaczyna się szykować, mówi, że przynajmniej odwiezie ją do domu, Marianne odpowiada jednak, że chce się przejść. Rozgrywa się teraz między nimi komiczna rywalizacja, kto ubierze się szybciej, ale Marianne, która zaczęła wcześniej, kończy pierwsza i zbiega po schodach. Zanim zamknie za sobą drzwi, on jest już na podeście. Na ulicy Marianne czuje się jak nadąsany dzieciak, zatrzasnąwszy w ten sposób przed nim drzwi. Coś ją naszło, ale nie wie co. To jej przypomina, co czuła w Szwecji, pewnego rodzaju nicość, jakby nie było w niej życia. Nienawidzi osoby, którą się stała, osoby bez wiary, że ma siłę cokolwiek w sobie zmienić. Jest kimś, kogo brzydzi się nawet on, przekroczyła sferę tego, co Connell jest w stanie tolerować. W liceum oboje znajdowali się w tym samym miejscu, oboje zagubieni i na swój sposób cierpiący, i od tamtej pory wierzyła, że gdyby mogli wrócić razem do tego miejsca, byłoby tak samo. Teraz wie, że w tym czasie Connell coraz lepiej przystosowywał się do świata, ten proces trwał nieprzerwanie, choć bywał bolesny, ona natomiast staczała się, oddalała coraz bardziej od normalności, stając się kimś nierozpoznawalnie zdeprawowanym, i nie zostało już nic, co by ich łączyło.

Gdy otwiera kluczem drzwi do własnego domu, jest już po dziesiątej. Samochodu matki nie ma na podjeździe, a w holu jest chłodno i pusto. Marianne zdejmuje sandały i kładzie je na stojaku, zawiesza torebkę na wieszaku, przeczesuje palcami włosy.

W głębi holu Alan wychodzi z kuchni z butelką piwa w rękę.

Gdzie, do cholery, byłeś? – pyta.

U Connella.

Alan przechodzi pod schody, kołysząc butelką w opuszczonej ręce.

Nie powinnaś tam chodzić.

Marianne wzrusza ramionami. Wie, że zanosi się na konfrontację, ale nie może zrobić nic, żeby jej zapobiec. Osacza ją zewsząd i nie ma takiego ruchu, obronnego gestu, który pomógłby jej przed nią uciec.

Myślałam, że go lubisz – mówi Marianne. – Tak było, gdy chodziliśmy do szkoły.

No ale skąd miałem wiedzieć, że to psychol? Bierze leki i w ogóle, wiedziałaś o tym?

Myślę, że całkiem nieźle sobie teraz radzi.

Dlaczego się koło ciebie kręci, hm? – pyta Alan.

Obawiam się, że sam musisz go o to zapytać.

Marianne próbuje przesunąć się w stronę schodów, ale Alan kładzie wolną rękę na poręczy.

Nie chcę, żeby ludzie rozpowiadali na mieście, że ten świr posuwa moją siostrę – mówi Alan.

Proszę cię, mogę już iść do siebie?

Alan bardzo mocno ściska butelkę piwa.

Masz się trzymać od niego z daleka – rozkazuje. – Ostrzegam cię. Ludzie o tobie gadają.

Nie wyobrażam sobie, jak wyglądałoby moje życie, gdybym się przejmowała tym, co myślą o mnie inni.

Nim Marianne zdaje sobie sprawę, co się dzieje, Alan podnosi rękę i rzuca w nią butelką. Rozbija się za nią na podłodze. Na pewnym poziomie Marianne wie, że nie zamierzał w nią trafić; stoją w odległości zaledwie kilku metrów od siebie, a butelka chybiła całkowicie. Mimo wszystko Marianne mija go i wbiega po schodach. Czuje, jak jej ciało owiewa chłodne powietrze z wnętrza domu. Alan odwraca się i rusza za nią, udaje jej się jednak dobiec do swojego pokoju i zatrzasnąć drzwi, zanim zdążył ją dopaść. Alan próbuje przekreślić gałkę i Marianne musi użyć wszystkich sił, żeby mu to uniemożliwić. W końcu Alan kopie w drzwi. Jej ciało dygocze od adrenaliny.

Wariatka! – woła Alan. – Otwieraj, kurwa, te drzwi! Ja nic nie zrobiłem!

Z czołem przytkniętym do gładkiej drewnianej powierzchni Marianne odkrzykuje:

Zostaw mnie w spokoju, proszę! Idź spać, okej? Posprzątam na dole. Nic nie powiem matce.

Otwórz drzwi.

Marianne z zamkniętymi oczami całym ciężarem napiera na drzwi, mocno ściskając gałkę. Od najmłodszych lat jej życie nie było normalne, wie o tym. Czas jednak tyle spraw przysłonił, tak jak liście przykrywają kawałek ziemi, by w końcu się z nią zmieszać. Rzeczy, które wtedy się stały, leżą pogrzebane w glebie jej ciała. Stara się być dobra. W głębi ducha wie jednak, że jest zła, zepsuta, niemoralna i wszelkie wysiłki, żeby być taka, jak należy, mieć właściwe opinie, mówić właściwe rzeczy, maskują jedynie to, co jest w niej ukryte, jej niegodziwość.

Raptem czuje, że gałka wyslizguje jej się z dłoni, i zanim udaje jej się cofnąć, drzwi otwierają się z hukiem. Gdy uderzają ją w twarz, słyszy jakiś trzask, a potem czuje coś dziwnego w głowie. Odsuwa się i do pokoju wchodzi Alan. Dzwoni jej w uszach, ale nie jest to dźwięk, raczej fizyczne wrażenie, jakby w jej czaszce pocierano o siebie dwie metalowe płyty. Coś leci jej z nosa. Jest świadoma obecności Alana w pokoju. Jej dłoń wędruje do twarzy. Z nosa cieknie naprawdę mocno. Odsunawszy dłoń, widzi, że palce pokryte są krwią, ciepłą. Alan coś mówi. Krew musi spływać jej po twarzy. Obraz przed oczami przekręca się ukośnie i dzwonienie się nasila.

Teraz będziesz chciała zrzucić winę na mnie, tak? – mówi Alan.

Marianne znów podnosi rękę do nosa. Krew leci tak szybko, że nie może zatamować jej palcami. Zalewa usta, spływa po podbródku, czuje to. Widzi, jak spada ciężkimi kroplami na niebieskie włókna dywanu.

Pięć minut później (lipiec 2014)

W kuchni Connell wyciąga puszkę piwa i siada przy stole, żeby ją otworzyć. Mija minuta, otwierają się drzwi wejściowe i słyszy pogrzągnięcie kluczy Lorraine.

Cześć – mówi na tyle głośno, żeby go usłyszała.

Lorraine wchodzi do kuchni i zamyka drzwi. Jej buty na linoleum wydają lepki odgłos, jak cmokanie. Connell zauważa na abażurze pod sufitem dużą ćmę, jest nieruchoma. Lorraine kładzie mu delikatnie dłoń na czubku głowy.

Marianne już poszła? – pyta.

No.

Jaki wynik meczu?

Nie wiem – odpowiada. – Chyba były karne.

Lorraine odsuwa krzesło i siada obok. Zaczyna wyjmować szpilki z włosów i kładzie je na stole. Connell pociąga łyk piwa i przed przełknięciem pozwala, by się ogrzało w ustach. Ćma u góry porusza skrzydłami. Roleta nad zlewem jest podniesiona, Connell widzi więc niewyraźny zarys ciemnych drzew na tle nieba.

A mnie miło minął dzień, dziękuję, że pytasz – mówi Lorraine.

Przepraszam.

Co to za markotna mina? Coś się stało?

Connell kręci głową. Gdy w zeszłym tygodniu widział się z Yvonne, powiedziała mu, że „robi postępy”. Eksperci od zdrowia psychicznego zawsze używają tego rodzaju higienicznego słownictwa, wyrazów czystych jak wytarte białe tablice, wolnych od skojarzeń, bezpłciowych. Pytała o jego poczucie „przynależności”.

Mówiłeś kiedyś, że czujesz się uwięziony między dwoma miejscami – powiedziała – ani w domu, ani tutaj nie czujesz się jak u siebie. Wciąż masz takie wrażenie?

Wzruszył tylko ramionami. Lekarstwa i tak wykonują w mózgu swoją chemiczną robotę, bez względu na to, co zrobi lub powie. Codziennie rano wstaje i bierze prysznic, zjawia się na dyżurze

w bibliotece, tak naprawdę nie fantazjuje o skokach z mostu. Zażywa leki, życie toczy się dalej.

Gdy szpilki ułożone są już na stole, Lorraine zaczyna palcami rozpuszczać włosy.

Słyszałeś, że Isa Gleeson jest w ciąży? – pyta.

Tak, słyszałem, aha.

Twoja dawna przyjaciółka.

Connell podnosi puszkę piwa i waży ją w dłoni. Isa była jego pierwszą dziewczyną, jego pierwszą eks. Po zerwaniu wydzwaniała do niego do domu i Lorraine często odbierała te telefony. W swoim pokoju, schowany w pościeli, słyszał głos matki, która mówiła:

Przepraszam cię, skarbie, w tej chwili nie może podejść. Może porozmawiasz z nim w szkole.

Gdy ze sobą chodzili, nosiła aparat ortodontyczny, prawdopodobnie ma to już za sobą. Isa, tak. Był przy niej nieśmiały. Wyprawiała strasznie głupie rzeczy, żeby wzbudzić w nim zazdrość, ale udawała niewiniątko, jak gdyby dla obojga nie było jasne, co robi: może naprawdę myślała, że on tego nie widzi, a może sama tego nie widziała. Nie cierpiał tego. Coraz bardziej się od niej dystansował, aż w końcu napisał jej esemesa, że nie chce być już jej chłopakiem. Nie widzieli się całe lata.

Nie wiem, dlaczego nie usunie – mówi Connell. – Myślisz, że jest jedną z tych przeciwniczek aborcji?

Ach, więc to jedyny powód, dla którego kobiety decydują się na dzieci? Bo mają niepostępowe poglądy?

Z tego, co słyszałem, nie jest z ojcem dziecka. Nie wiem, czy w ogóle ma pracę.

Gdy cię urodziłam, też nie miałam pracy – przypomina Lorraine.

Connell wpatruje się w misterny krój pisma na puszcze piwa, gdzie kreska w literze B wywija się do tyłu i z powrotem do siebie.

I nie żałujesz tego? – pyta Connell. – Wiem, że nie chcesz ranić moich uczuć, ale powiedz szczerze. Nie sądzisz, że miałybyś lepsze życie, gdybyś nie zdecydowała się na dziecko?

Lorraine odwraca się do niego z zastygłą twarzą.

O Boże – mówi. – Dlaczego pytasz? Marianne jest w ciąży?

Co? Nie.

Lorraine śmieje się, przyciska dłoń do piersi.

To dobrze – mówi. – Jezu.

To znaczy przypuszczam, że nie jest – dodaje Connell. – A gdyby była, nie miałoby to nic wspólnego ze mną.

Jego matka nieruchomieje z dłonią wciąż na mostku, po czym odpowiada dyplomatycznie:

No cóż, nie moja sprawa.

Co to ma znaczyć? Myślisz, że cię okłamuję? Wierz mi, w tej sferze nic się między nami nie dzieje.

Przez kilka sekund Lorraine milczy. Connell wypija trochę piwa i odstawia puszkę na stół. To szalenie irytujące; jego matka myśli, że on i Marianne ze sobą śpią, tymczasem tego wieczoru zbliżyli się po raz pierwszy od bardzo dawna, a po wszystkim Connell płakał samotnie w swoim pokoju.

A więc przyjeżdżasz w każdy weekend po to tylko, żeby się zobaczyć ze swoją ukochaną matką? – mówi Lorraine.

Wzrusza ramionami.

Jeśli nie chcesz, żebym przyjeżdżał, to przestanę – oznajmia.

Oj, daj spokój.

Lorraine podnosi się, żeby nalać do czajnika wody. Connell przygląda jej się leniwie, gdy matka wkłada do ulubionej filiżanki torebkę z herbatą, po czym znowu pociera oczy. Ma wrażenie, że zrujnował życie każdemu, kto kiedykolwiek choćby trochę go lubił.

W kwietniu Connell wysłał Sadie Darcy-O'Shei jedno ze swoich opowiadań, to jedyne naprawdę gotowe. Odpisała niecałą godzinę później:

Connell, rewelacja! Opublikujmy je, proszę! Buziaki

Gdy przeczytał tę wiadomość, poczuł w całym ciele pulsowanie tętna, głośne i mocne, jakby zamienił się w maszynę. Musiał się położyć i wbić wzrok w biały sufit. Sadie była redaktorką studenckiego pisma literackiego. W końcu usiadł i napisał odpowiedź:

Cieszę się, że Ci się spodobało, ale nie sądzę, by nadawało się do publikacji, w każdym razie dziękuję.

Sadie odpowiedziała natychmiast:

BARDZO PROSZĘ! BUZIAKI

Całe ciało Connella dudniło jak fabryka. Jeszcze nikt nigdy nie czytał żadnego z jego utworów. Było to dzikie, zupełnie nowe terytorium doświadczenia. Chodził przez chwilę po pokoju i masował szyję. Po czym napisał:

OK, a gdyby tak opublikować pod pseudonimem, co Ty na to? Musisz też obiecać, że nikomu nie powiesz, kto jest autorem, nawet osobom z redakcji. OK?

Sadie odpisała:

Ha, ha ale tajemniczy, wspaniale! Dziękuję Ci, Skarbie! Nie pisnę ani słówka aż po grób buziaki

Jego opowiadanie ukazało się, niezredagowane, w majowym wydaniu. Świeżo wydrukowany egzemplarz znalazł rano w Arts Block i przekartkował pismo, szukając strony, gdzie widniało pod pseudonimem „Conor McCready”. To nawet nie brzmi jak prawdziwe nazwisko, pomyślał. Wszędzie dookoła ludzie schodzili się na poranne zajęcia, trzymając kubki z kawą i rozmawiając. Już na pierwszej stronie tekstu Connell zauważył dwa błędy. Musiał wtedy na kilka sekund zamknąć pismo i wziąć kilka głębokich wdechów. Studenci i członkowie kadry nadal go mijali, nie bacząc na jego wzburzenie. Ponownie otworzył periodyk i wznowił lekturę. Następnym błędem. Chciał wpełznąć pod roślinę w doniczce, wkopać się w ziemię. I to wszystko, koniec koszmaru związanego z publikacją jego opowiadania. Nikt nie wiedział, że on jest autorem, nie mógł

więc wysondować niczyjej opinii, nigdy też od nikogo nie usłyszał, czy opowiadanie było dobre. Z czasem zaczął wierzyć, że opublikowano je przede wszystkim dlatego, że Sadie nie miała dość materiału do nowego numeru. W sumie doświadczenie to przyniosło mu dużo więcej stresu niż przyjemności. A mimo to trzymał dwa egzemplarze czasopisma, jeden w Dublinie, drugi pod materacem w domu.

Czemu Marianne wyszła tak wcześnie? – pyta Lorraine.

Nie wiem.

Dlatego jesteś w tak podłym nastroju?

Co sugerujesz? Że usycham z tęsknoty za nią, to chcesz powiedzieć?

Lorraine rozkłada ręce, jakby chciała oznajmić, że nie wie, i znowu siada, by poczekać na zagotowanie się wody. Connell czuje się teraz zażenowany, co go złości. Cokolwiek łączy go z Marianne, nigdy nic dobrego z tego nie wyszło. Efektem były tylko cierpienie i konsternacja. Nie potrafi pomóc Marianne, choćby stawał na głowie. Jest w niej coś przerażającego, jakaś potężna pustka w głębi jej istoty. Jakby się czekało na windę, a gdy drzwi się otwierają, za nimi nie ma nic, ziele jedynie straszna ciemna otchłań szybu, który ciągnie się w nieskończoność. Marianne brakuje jakiegoś pierwotnego instynktu, samoobronnego lub samozachowawczego, dzięki któremu inni ludzie wydają się bardziej zrozumiali. Naciskasz, spodziewając się jakiegoś oporu, tymczasem wszystko po prostu ugina się przed tobą. Mimo to w każdej chwili położyłby się i umarł za nią, co jest jedyną rzeczą w nim samym, która sprawia, że czuje się kimś wartościowym.

To, co się wydarzyło tego wieczoru, było nieuniknione. Wie, jak mógłby rzecz przedstawić Yvonne czy nawet Niallowi lub jakiemuś innemu wymyślonemu interlokutorowi: Marianne to masochistka, a Connell jest zwyczajnie zbyt miłym facetem, żeby uderzyć kobietę. Ostatecznie dosłownie na tym poziomie rozegrał się ów incydent. Poprosiła go, żeby ją uderzył, a gdy odmówił, nie chciała się dłużej kochać. Dlatego więc, mimo zgodności faktów, ma wrażenie, że

byłoby to nieuczciwe przedstawienie sprawy? Co jest brakującym ogniwem, usuniętym elementem tej historii, który by wyjaśniał, co tak bardzo wytrąciło z równowagi ich oboje? Musi to mieć związek z ich przeszłością, tyle wie. Już od czasów liceum rozumiał, jaką ma nad nią władzę. Jak Marianne reaguje na jego spojrzenie, dotyk. Jak jej twarz nabiera koloru i jak ona cała nieruchomieje, jakby czekała na rozkaz. Rozumiał swoją tyraniczną władzę nad kimś, kto innym wydaje się tak silny. Nigdy nie był w stanie pogodzić się z myślą o utracie tej mocy, tego klucza do pustego domu, pozostawionego do wykorzystania w przyszłości. Wręcz przeciwnie, pielęgnował ją, dobrze o tym wie.

Co im zatem zostało? Wydaje się, że połowiczne rozwiązania nie są już możliwe. Zbyt wiele się między nimi wydarzyło. A więc to już koniec, są dla siebie nikim? Co to by w ogóle znaczyło – że jest dla niej nikim? Mógłby jej unikać, ale gdy znowu ją zobaczy, nawet jeśli tylko wymienia spojrzenia w sali wykładowej, to spojrzenie nie może nie zawierać niczego. Nie mógłby tego chcieć. Naprawdę były chwile, kiedy pragnął umrzeć, ale nigdy nie chciał, żeby Marianne o nim zapomniała. To jedyna część siebie, którą chce chronić, część istniejąca w niej.

Woda zaczyna się gotować. Lorraine zgarnia do dłoni ułożone obok siebie szpilki i wsuwa je do kieszeni. Wstaje, nalewa wrzątek do filiżanki, dodaje mleka i wstawia butelkę do lodówki. Connell ją obserwuje.

No – mówi Lorraine. – Pora się kłaść.

Okej. Śpij dobrze.

Słyszy za sobą, jak matka dotyka klamki drzwi, ale te się nie otwierają. Odwraca się i Lorraine wciąż tam stoi, wpatrzona w niego.

Nie żałuję, jeśli chcesz wiedzieć – mówi. – Że cię urodziłam. To była najlepsza decyzja w moim życiu. Kocham cię nad wszystko i jestem strasznie dumna, że jesteś moim synem. Mam nadzieję, że nie muszę ci tego mówić.

Connell patrzy na nią. Odchrząkuje szybko.

Ja też cię kocham – mówi.

No to dobranoc.

Matka zamyka za sobą drzwi. Connell wsłuchuje się w jej kroki na schodach. Po kilku minutach wstaje, wylewa do zlewu resztki piwa i cicho wrzuca puszkę do pojemnika na śmieci.

Na stole zaczyna dzwonić jego telefon. Jest ustawiony na wibrowanie, więc kręci się na blacie, odbijając światło. Connell podchodzi, żeby złapać aparat, zanim spadnie na podłogę, i dostrzega, że dzwoni Marianne. Nieruchomieje. Zerka na ekran. W końcu odbiera.

Hej – mówi.

Słyszysz jej ciężki oddech w słuchawce. Pyta ją, czy dobrze się czuje.

Bardzo cię przepraszam – mówi. – Czuję się jak ostatnia kretynka.

Jej głos w telefonie jest zniekształcony, jakby była mocno przeziębiona albo trzymała coś w ustach. Connell przełyka ślinę i podchodzi do kuchennego okna.

W związku z tym, co dzisiaj? – pyta. – Ja też o tym myślę.

Nie, nie o to chodzi. To naprawdę głupstwo. Po prostu potknęłam się i trochę się poobijałam. Przepraszam, że ci zawracam głowę. To nic takiego. Po prostu nie wiem, co robić.

Connell kładzie rękę na krawędzi zlewu.

Gdzie jesteś? – pyta.

W domu. To nic poważnego, tylko boli, to wszystko. Naprawdę nie wiem, po co dzwonię. Przepraszam.

Mogę po ciebie przyjechać?

Marianne milczy przez chwilę. Stłumionym głosem odpowiada:

Tak, jeśli masz czas.

Już jadę – mówi. – Zaraz wsiadam do samochodu, okej?

Ściskając telefon między uchem a barkiem, wydobywa spod stołu lewy but i go wkłada.

Naprawdę miło z twojej strony – mówi mu do ucha Marianne.

Widzimy się za kilka minut. W tej chwili wychodzę. Dobrze? Do zobaczenia.

Pod domem wsiada do samochodu i uruchamia silnik. Zaczyna grać radio i Connell szybkim ruchem je wyłącza. Nie oddycha normalnie. Po zaledwie niecałym piwie czuje się odurzony, niedostatecznie czujny albo zbyt czujny, niespokojny.

W samochodzie jest za cicho, ale Connell nie może znieść myśli o grającym radiu. Czuje, że jego dłonie na kierownicy są wilgotne. Skręcając w lewo w jej ulicę, widzi, że w pokoju Marianne pali się światło. Włącza kierunkowskaz i parkuje na pustym podjeździe. Gdy zatrzaskuje za sobą drzwi, odgłos ten odbija się echem od kamiennej fasady domu.

Wciska dzwonek i niemal od razu drzwi się otwierają. Marianne stoi w progu z prawą ręką na drzwiach, a lewą zasłania twarz, ściskając zmiętą chusteczkę. Oczy ma zapuchnięte, jakby płakała. Connell zauważa, że jej T-shirt, spódnica i część lewego nadgarstka są zakrwawione. Fragmenty jego pola widzenia drżą, zmieniając ostrość, jakby ktoś podniósł świat i nim potrząsnął. Mocno.

Co się stało? – pyta.

Na schodach za nią rozlegają się głośnie kroki. Connell, jak gdyby oglądając tę scenę przez jakiś kosmiczny teleskop, po chwili w holu widzi jej brata.

Skąd ta krew? – pyta Connell.

Chyba mam złamany nos – wyjaśnia Marianne.

Kto to? – odzywa się za nią Alan. – Kto jest pod drzwiami?

Trzeba cię zawieźć do szpitala? – dopytuje Connell.

Marianne kręci głową, mówi, że sprawdziła w internecie i wizyta w szpitalu nie jest konieczna. Jeśli ból nie ustąpi, może jutro pójść do lekarza. Connell kiwa głową.

To jego sprawa? – pyta.

Marianne przytakuje. W jej oczach pojawia się strach.

Idź do samochodu – mówi Connell.

Marianne patrzy na niego, nie poruszając rękoma. Wciąż przytyka do twarzy chusteczkę. Connell potrząsa kluczykami.

Idź – rozkazuje.

Marianne odsuwa rękę od drzwi i otwiera dłoń. Connell wsuwa do niej kluczyki i Marianne, nie odrywając od niego wzroku, wychodzi na zewnątrz.

A ty dokąd? – odzywa się Alan.

Connell stoi teraz tuż przed progiem. Kolorowa mgiełka zasnuwa podjazd, gdy patrzy, jak Marianne wsiada do samochodu.

Co tu się dzieje? – pyta Alan.

Gdy już Marianne siedzi bezpiecznie w środku, Connell zamyka drzwi, toteż są teraz z Alanem sami.

Co ty wyprawiasz? – mówi Alan.

Connell, którego wzrok jest teraz jeszcze bardziej zamglony, nie potrafi stwierdzić, czy Alan jest wściekły, czy przestraszony.

Musimy pogadać – odpowiada Connell.

Obraz w jego polu widzenia faluje tak bardzo, że Connell musi położyć dłoń na drzwiach, żeby nie stracić równowagi.

Ja nic nie zrobiłem – oznajmia Alan.

Connell podchodzi do niego, aż Alan opiera się o poręcz schodów. Wydaje się teraz mniejszy i zalekany. Woła matkę, odwracając głowę i wykręcając jak najdalej szyję, na schodach nikt jednak się nie pojawia. Twarz Connella jest mokra od potu. Oblicze Alana ukazuje mu się jedynie jako wzór różnokolorowych kropek.

Jeśli jeszcze raz dotkniesz Marianne, zabiję cię – mówi Connell. – Okej? To wszystko. Powiedz jej choćby jedno złe słowo, a wrócę tu i cię zabiję, tyle.

Connellowi wydaje się, chociaż nie widzi ani nie słyszy zbyt dobrze, że Alan w tym momencie płacze.

Rozumiesz, co powiedziałem? – kontynuuje. – Powiedz tak lub nie.

Tak – mówi Alan.

Connell odwraca się, wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

W samochodzie Marianne czeka w milczeniu z jedną ręką przytkniętą do twarzy, a drugą leżącą bezwładnie na kolanach. Connell siada za kierownicą i wyciera rękawem usta. Są zamknięci w hermetycznej ciszy samochodu. Connell spogląda na nią. Jest lekko pochylona do przodu, jakby coś ją bolało.

Przepraszam, że ci zawracam głowę – mówi Marianne. – Przepraszam. Nie wiedziałam, co robić.

Nie przepraszaj. Dobrze, że po mnie zadzwoniłaś. Okej? Spójrz na mnie przez sekundę. Już nikt nigdy cię w ten sposób nie skrzywdzi.

Marianne patrzy na niego zza zasłony białych chusteczek i Connell, widząc otwartość w jej spojrzeniu, znowu czuje nad nią swoją władzę.

Wszystko będzie dobrze – obiecuje. – Zaufaj mi. Kocham cię, nie pozwolę, żeby coś takiego znowu cię spotkało.

Przez sekundę lub dwie Marianne przytrzymuje jego spojrzenie i w końcu zamyka oczy. Rozsiada się wygodniej w fotelu, opierając głowę o zagłówek, i wciąż przyciska chusteczki do twarzy. Ta poza zdaje się wyrażać olbrzymie znużenie albo ulgę.

Dziękuję – mówi Marianne.

Connell uruchamia silnik i zjeżdża z podjazdu. Wzrok mu się uspokoił, przedmioty w polu widzenia na powrót stężały, a poza tym znów może normalnie oddychać. Nad nimi drzewa poruszają w ciszy pojedynczymi srebrzystymi liśćmi.

Siedem miesięcy później (luty 2015)

W kuchni Marianne zalewa kawę gorącą wodą. Chmury za oknem wiszą nisko, jakby wełniane; gdy kawa się parzy, Marianne podchodzi do szyby i opiera o nią czoło. Stopniowo para z ust przysłania widok uczelni: drzewa tracą kontury, budynek starej biblioteki jest ciężką chmurą. Studenci przechodzący przez Front Square w zimowych kurtkach, skuleni, rozmazują się, aż znikają całkowicie. Marianne nie jest już ani podziwiana, ani napiętnowana. Ludzie o niej zapomnieli. Jest teraz normalna. Przechodzi obok i nikt nie podnosi wzroku. Pływa w uczelnianym basenie, posila się w sali jadalnej z wilgotnymi włosami, wieczorami spaceruje po boisku do krykieta. Dublin jest dla niej nieziemsko piękny w deszczową pogodę, gdy szary kamień czernieje, a deszcz szeleści w trawie i szepcze na mokrych dachówkach. Płaszcz przeciwdeszczowe błyszczą w podwodnym kolorze ulicznych latarni. Deszcz srebrzy się jak monety w blasku samochodowych reflektorów.

Marianne wyciera szybę rękawem i podchodzi do szafki po filiżanki. Pracuje dzisiaj od dziesiątej do drugiej, a potem ma zajęcia z nowożytnej historii Francji. W pracy odpowiada na e-maile, informując ludzi, że jej szef nie może się z nimi spotkać. Nie jest dla niej jasne, czym on się dokładnie zajmuje. Nigdy nie jest dostępny dla żadnej z osób, które chcą się z nim widzieć, Marianne zakłada więc, że albo jest szalenie zajęty, albo wiedzie próżniacze życie. Gdy zjawia się w biurze, często prowokacyjnie zapala papierosa, jakby chciał poddać Marianne próbie. Jaka jest jednak natura tej próby? Marianne siedzi przy swoim biurku i oddycha normalnie. Jej szef lubi powtarzać, jak bardzo jest inteligentny. Słuchanie go jest nudne, ale nie męczące. Pod koniec tygodnia wręcza jej kopertę z gotówką. Joanna była w szoku, gdy się o tym dowiedziała.

A z jakiej racji on ci płaci gotówką? – zapytała. – To jakiś diler narkotykowy czy co?

Marianne odpowiedziała, że jest chyba deweloperem czy kimś takim.

Rany – jęknęła Joanna. – To jeszcze gorzej.

Marianne wciska tłoczek w dzbanku z kawą i napełnia dwie filiżanki. W jednej: jedna czwarta łyżeczki cukru, odrobina mleka. W drugiej – tylko czarna kawa, bez cukru. Ustawia je jak zwykle na tacy, idzie korytarzem i rogiem tacy stuka w drzwi. Żadnej odpowiedzi. Opiera tacę lewą ręką na biodrze i prawą otwiera drzwi. W pokoju panuje zaduch, zalatuje potem i zwietrzałym alkoholem, żółte zasłony są wciąż zaciągnięte. Robi na biurku miejsce na tacę, a potem siada w obrotowym fotelu, żeby wypić swoją kawę. Ma nieco cierpki posmak, trochę jak zapach powietrza wokół niej. Marianne lubi tę część dnia, zanim zacznie pracę. Gdy jej filiżanka jest pusta, wyciąga rękę i podnosi brzeg zasłony. Białe światło zalewa biurko.

Po chwili z łóżka dobiega głos Connella.

Właściwie już nie śpię.

Jak się czujesz?

Nieźle.

Przynosi mu do łóżka filiżankę czarnej, gorzkiej kawy. Connell przetacza się w pościeli i podnosi ku niej zmrużone oczy. Marianne siada na materacu.

Przepraszam za tę noc – mówi Connell.

Wiesz, Sadie ma do ciebie słabość.

Tak myślisz?

Connell opiera poduszkę o wezgłowie i odbiera filiżankę z jej rąk. Po jednym dużym łyku znów spogląda na Marianne spod przymrużonych powiek tylko prawym okiem.

Nie jest ani trochę w moim typie – dodaje.

Z tobą nigdy nie wiadomo.

Connell kręci głową, pociąga kolejny łyk kawy.

Już ty wiesz – mówi. – Często dopatrujesz się w ludziach tajemnicy, ale ja tak naprawdę nie jestem w żaden sposób tajemniczy.

Marianne rozważa jego słowa, gdy on dopija kawę.

Podejrzewam, że na swój sposób każdy jest tajemnicą – stwierdza Marianne. – To znaczy nigdy nie jesteś w stanie nikogo poznać tak naprawdę itede.

Aha. I ty w to wierzysz?

Tak się mówi.

Więc czego nie wiem o tobie? – pyta Connell.

Marianne uśmiecha się, ziewa i z podniesionymi dłońmi wzrusza ramionami.

Ludzie są o wiele bardziej czytelnii, niż im się wydaje – dodaje Connell.

Mogę pierwsza wziąć prysznic? Czy ty chcesz się wykąpać?

Nie, idź. Mogę skorzystać z twojego laptopa, żeby sprawdzić pocztę i tak dalej?

Jasne, śmiało – zgadza się Marianne.

W łazience światło jest niebieskie, chłodne. Marianne otwieraabinę prysznicową i odkręca kurek, a potem czeka, aż woda się ogrzeje. Tymczasem szybko szczotkuje zęby, wypłukuje starannie białą pianę do odpływu i rozpuszcza włosy związane na karku w węzeł. Potem zsuwa z siebie szlafrok i wiesza go na drzwiach łazienki.

Wcześniej, w listopadzie, gdy odszedł nowy redaktor studenckiego pisma literackiego, Connell zaproponował, że go zastąpi do czasu, aż znajdą kogoś innego. Przez kilka miesięcy nikt się nie zgłosił i Connell nadal redaguje pismo. Zeszłego wieczoru odbyła się impreza z okazji zamknięcia nowego numeru i Sadie Darcy-O'Shea przyniosła wazę różowego ponczu na wódce, z pływającymi w nim kawałeczkami owoców. Sadie lubi pokazywać się na tych imprezach, żeby ścisnąć Connella za ramię i prowadzić z nim rozmowy w cztery oczy na temat jego „kariery”. Wczoraj wypił tyle ponczu, że przewrócił się, gdy próbował wstać. Marianne miała wrażenie, że była to w pewnym sensie wina Sadie, chociaż wina niezaprzeczalnie leżała po stronie Connella. Później, gdy Marianne odwiozła go do domu i położyła w łóżku, poprosił ją o szklanę

wody, którą rozlał na siebie i na kołdrę, a chwilę potem urwał mu się film.

Latem po raz pierwszy Marianne przeczytała jedno z opowiadań Connella. To było szczególne uczucie, siedzieć z wydrukowanymi stronami, zagiętymi w lewym górnym rogu, bo nie miał zszywacza; uczucie, że poznaje się go lepiej jako osobę. W pewien sposób w trakcie lektury czuła się bardzo blisko niego, jak gdyby była świadkiem jego najintymniejszych myśli, ale czuła też, że jest od niej odwrócony, skupiony na jakimś własnym skomplikowanym zadaniu, w którym ona nigdy nie będzie współuczestniczyć. Oczywiście Sadie też nie, nie tak naprawdę, ale ona przynajmniej pisze i ma własne zakotwiczone w wyobraźni życie. Życie Marianne rozgrywa się w prawdziwym świecie, zaludnionym przez prawdziwe postaci. Myśli o Connellu mówiącym: Ludzie są dużo bardziej czytelnymi, niż im się wydaje. A jednak on ma coś, czego jej brakuje, wewnętrzną egzystencję, która nie zawiera drugiej osoby.

Kiedyś się zastanawiała, czy ją kocha. W łóżku mawiał czule:

Będiesz robić dokładnie to, co ci powiem, dobrze?

Wiedział, jak jej dać to, czego pragnie, jak ją otworzyć, sprawić, by była słaba, bezsilna, czasem zapłakana. Zrozumiał, że nie trzeba jej zadawać bólu: mógł jej pozwolić podporządkować się z własnej woli, bez przemocy. To wszystko działo się najwyraźniej na najgłębszym poziomie jej osobowości. Ale na jakim poziomie działo się w jego przypadku? To była dla niego tylko gra czy przysługa, którą jej wyświadczał? Czy czuł to samo co ona? W zwyczajnym życiu na co dzień okazywał cierpliwość i wrażliwość wobec jej uczuć. Opiekował się nią, gdy chorowała, czytał jej prace semestralne, siedział i słuchał, gdy opowiadała o swoich pomysłach, głośno spierając się sama ze sobą i zmieniając co jakiś czas zdanie. Ale czy ją kochał? Czasami miała ochotę zapytać: Tęskniłbyś za mną, gdybyśmy nie byli ze sobą? Zadała mu to samo pytanie na opuszczonym osiedlu, gdy chodzili jeszcze do liceum. Odpowiedział, że tak, wtedy jednak była w jego życiu jedyna, miał tylko ją, a tak już miało nigdy nie być.

Na początku grudnia przyjaciele pytali ich o plany na święta. Marianne od ostatniego lata nie odwiedziła ani razu swojej rodziny.

Matka nie próbowała się z nią kontaktować. Alan słał esemesy, w których pisał rzeczy typu: „Mama z tobą nie rozmawia, mówi, że przynosisz rodzinie wstyd”. Marianne nie odpowiadała. Układała sobie w głowie rozmowę na dzień, kiedy jej matka w końcu się z nią skontaktuje, zastanawiając się, jakie padną oskarżenia, przy których prawdach będzie obstawać. Nigdy jednak do tej rozmowy nie doszło. Jej urodziny minęły bez słowa z domu. A potem nadszedł grudzień i zamierzała zostać na święta sama na uczelni, zając się pracą dyplomową na temat irlandzkich instytucji penitencjarnych po odzyskaniu niepodległości. Connell chciał, żeby pojechała z nim do Carricklea.

Lorraine bardzo by się ucieszyła, mogąc cię gościć – powiedział. – Zadzwoń do niej, powinnaś z nią o tym porozmawiać.

Ostatecznie to Lorraine zadzwoniła do Marianne i osobiście zaprosiła ją do swojego domu na święta. Ufając, że Lorraine wie, co jest właściwe, Marianne przyjęła zaproszenie.

W samochodzie po drodze z Dublina do rodzinnego miasteczka Marianne i Connell bez przerwy paplali, żartując i naśladując różne głosy, żeby się nawzajem rozśmieszać. Myśląc o tym teraz, Marianne zastanawia się, czy czuli się stremowani. Gdy dojechali na osiedle Connella, było ciemno, w oknach świeciło się mnóstwo kolorowych lampek. Connell wyciągnął z bagażnika torby i zaniósł je do domu. W salonie Marianne usiadła przy kominku, gdy Lorraine parzyła herbatę. Choinka, wciśnięta między telewizor i kanapę, migła według powtarzalnego schematu. Wszedł Connell z filiżanką herbaty i postawił ją na poręczy fotela Marianne. Zanim usiadł, zatrzymał się przy drzewku i poprawił na nim łańcuch. Wyglądał rzeczywiście dużo lepiej tam, gdzie go ułożył. Twarz i dłonie Marianne rozgrzały się od ognia. Weszła Lorraine i zaczęła opowiadać Connellowi o tym, którzy krewni już złożyli jej wizytę, a których spodziewa się następnego dnia, i tak dalej. Marianne czuła się tak rozluźniona, że mało brakowało, a zamknęłyby oczy i zasnęła.

W domu Waldronów w czasie świąt panował duży ruch. Goście przychodzili i wychodzili do późna, dzierżąc zapakowane puszki z ciasteczkami lub butelki whiskey. Na wysokości kolan biegały dzieci, wykrzykując coś niezrozumiale. Pewnego wieczoru ktoś

przyniósł PlayStation i Connell do drugiej w nocy grał w FIFA World Cup z jednym ze swoich młodszych kuzynów, ich ciała zieleniły się w świetle ekranu, a na twarzy Connella malował się wyraz niemal religijnej nabożności. Marianne i Lorraine większość czasu spędzały w kuchni, gdzie płukały w zlewie brudne kieliszki, otwierały pudełka czekoladek i bez końca nalewały wodę do czajnika. Raz usłyszały głos dolatujący z frontowego pokoju:

To Connell ma dziewczynę?

Na co inny głos odpowiedział:

Tak, jest w kuchni.

Lorraine i Marianne wymienili spojrzenia. Usłyszały łomot kroków, po czym w drzwiach zjawił się nastolatek w koszulce piłkarskiej United. Na widok Marianne, która stała przy zlewie, chłopak natychmiast się spieszył i wbił wzrok w swoje stopy.

Cześć – rzucił. Skinął w jej stronę głową, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, a potem wycofał się powoli do salonu. Lorraine uważała, że to było bardzo zabawne.

W sylwestra widzieli w supermarkecie matkę Marianne. Była ubrana w ciemną garsonkę i żółtą jedwabną bluzkę. Zawsze wydawała się taka „poukładana”. Lorraine pozdrowiła ją uprzejmie, ale Denise przeszła obok bez słowa, patrząc przed siebie. Nikt nie wiedział, o co ma pretensję. W samochodzie, po zakupach, Lorraine odwróciła się w fotelu pasażera, żeby uścisnąć rękę Marianne. Connell włączył silnik.

Co ludzie w miasteczku o niej myślą? – spytała Marianne.

O kim, o twojej matce? – spytała Lorraine.

To znaczy: jak ludzie ją postrzegają?

Z pełnym współczucia wyrazem twarzy Lorraine powiedziała łagodnie:

Przypuszczam, że ma opinię dość dziwnej osoby.

Wtedy po raz pierwszy Marianne o tym usłyszała czy nawet pomyślała.

Connell nie włączał się do tej rozmowy. Chciał wyjść na sylwestra do pubu Kelleher's. Powiedział, że będą tam wszyscy ze szkoły. Marianne zaproponowała, że zostanie w domu, a on przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym rzekł:

Nie, powinnaś wyjść.

Marianne leżała na łóżku twarzą do dołu, gdy on przebierał się w świeżą koszulę.

Nie chcę, broń Boże, nie wypełnić rozkazu – powiedziała. Connell spojrzał do lustra i przechwycił jej spojrzenie.

Nie radzę – rzucił.

Kelleher's tego wieczoru pękał w szwach, było tam gorąco i parno. Connell miał rację, przyszli wszyscy ze szkoły. Nie przestawali machać do znajomych i pozdrawiać ich samym ruchem ust. Przy barze dopadła ich Karen i uściskała Marianne; pachniała jakimiś delikatnymi, ale bardzo przyjemnymi perfumami.

Tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała Marianne.

Chodźcie potańczyć z nami – zaproponowała Karen. Connell zaniósł drinki na parkiet, gdzie stali Rachel z Erikiem, a także Lisa z Jackiem i Ciara Heffernan z rocznika niżej. Eric z jakiegoś powodu uklonił im się teatralnie. Prawdopodobnie już się zdążył upić. Było zbyt głośno, żeby móc normalnie rozmawiać. Connell trzymał drinka Marianne, gdy ona zdejmowała płaszcz i chowała go pod stołem. Nikt tak naprawdę nie tańczył, wszyscy stali tylko i wykrzykiwali sobie coś do uszu. Karen od czasu do czasu wykonywała śmieszne bokierskie ciosy, jakby się biła z powietrzem. Dołączali do nich inni, również tacy, których Marianne nie widziała nigdy przedtem, rzucali się sobie w objęcia i coś wykrzykiwali.

O północy, gdy wszyscy życzyli sobie szczęśliwego nowego roku, Connell objął Marianne i ją pocałował. Inni przyglądali się im i czuła wręcz fizyczny nacisk ich spojrzeń na skórę. Może nie dowierzali do tej pory albo wciąż utrzymywała się niezdrowa fascynacja czymś, co kiedyś było skandalem. Może po prostu byli ciekawi chemii między dwojgiem ludzi, którzy w ostatnich kilku latach najwyraźniej nie potrafili od siebie odejść. Marianne musiała przyznać, że ona też prawdopodobnie by się przyglądała. Gdy przestali się obejmować, Connell spojrzał jej w oczy i powiedział:

Kocham cię.

Śmiała się wtedy zaczerwieniona. Miał nad nią moc, ale postanowił ją ocalić, była uratowana. To było tak do niego niepodobne: zachowywać się w ten sposób w miejscu publicznym,

że pewnie wszystko robił umyślnie, żeby ją zadowolić. Jakie to dziwne – czuć się tak zupełnie pod kontrolą drugiej osoby, lecz także jakie zwyczajne. Nikt nie może się całkowicie uniezależnić od innych ludzi, po co więc próbować, pomyślała, lepiej pobiec w przeciwnym kierunku, uzależnić się od ludzi we wszystkim, pozwolić im uzależnić się od ciebie, czemu nie? Wie, że Connell ją kocha, już się nad tym nie zastanawia.

Wychodzi teraz spod prysznica i zawija się w niebieski ręcznik. Lustro jest zaparowane. Otwiera drzwi, Connell patrzy na nią.

Hej – rzuca Marianne.

Zatęchłe powietrze pokoju chłodzi jej skórę. Connell siedzi w łóżku z jej laptopem na kolanach. Marianne podchodzi do swojej komody, wyjmując czystą bieliznę, zaczyna się ubierać. Connell przygląda się jej. Marianne wiesza ręcznik na drzwiach szafy i wsuwa ręce do rękawów koszuli.

Coś się stało? – pyta.

Właśnie dostałem wiadomość.

O? Od kogo?

Connell wpatruje się w osłupieniu w ekran laptopa, a potem przenosi wzrok na nią. Oczy ma zaczerwienione i śpiące. Marianne zapina guziki koszuli. Connell siedzi z uniesionymi kolanami pod kołdrą, blask laptopa odbija się na jego twarzy.

Connell, od kogo? – powtarza.

Z uczelni w Nowym Jorku. Wygląda na to, że proponują mi miejsce na studiach magisterskich. No wiesz, zajęcia z kreatywnego pisanie.

Marianne stoi na środku pokoju. Jej włosy wciąż są wilgotne i woda powoli wsiąka w materiał koszuli.

Nie mówiłeś, że starałeś się o miejsce – mówi.

On tylko na nią patrzy.

To znaczy: gratuluję – dodaje Marianne. – Wcale się nie dziwię, że cię przyjęli, dziwię się tylko, że mi o tym nie wspomniałeś.

Connell kiwa głową, z twarzą pozbawioną wyrazu, a potem znów spogląda na ekran laptopa.

Nie wiem – odpowiada. – Powinienem ci być powiedzieć, ale naprawdę sądziłem, że mam marne szanse.

Cóż, to nie powód, żeby mi nie mówić.

Wszystko jedno – dodaje Connell. – Przecież i tak nie pojedę. Nie wiem nawet, dlaczego wysłałem to podanie.

Marianne zdejmuje ręcznik z drzwi szafy i zaczyna powoli wycierać końcówki włosów. Siada w fotelu przy biurku.

Sadie wiedziała, że się tam wybierasz? – pyta.

Co? Dlaczego pytasz?

No więc wiedziała?

No tak – odpowiada. – Ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

Dlaczego jej powiedziałeś, a mnie nie?

Connell wzdycha, pociera oczy palcami i wzrusza ramionami.

Nie wiem – mówi. – To ona zaproponowała, żebym do nich napisał. Szczerze mówiąc, uważałem, że to głupi pomysł, dlatego ci o nim nie mówiłem.

Kochasz ją?

Connell przez kilka sekund wpatruje się z drugiego końca pokoju w Marianne, nie poruszając się ani nie przerywając kontaktu wzrokowego. Trudno powiedzieć, co wyraża jego twarz. W końcu Marianne odwraca wzrok, żeby przesunąć ręcznik.

Żartujesz? – pyta Connell.

Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytanie?

Mieszasz tu dużo spraw, Marianne. Ja nawet nie lubię Sadie jako kumpelki, okej? Szczerze powiedziawszy, działa mi na nerwy. Nie wiem, ile razy mam ci to powtarzać. Przepraszam, że ci nie powiedziałem o tych studiach, ale proszę cię, jakim cudem na tej podstawie wyciągasz wniosek, że kogoś kocham?

Marianne cały czas wyciera końcówki włosów w ręcznik.

Nie wiem – odzywa się w końcu. – Czasem mam wrażenie, że chcesz być wśród ludzi, którzy cię rozumieją.

Właśnie, czyli z tobą. Gdybym miał ułożyć listę osób, które zdecydowanie mnie nie rozumieją, Sadie zajmowałaby jedno z czołowych miejsc.

Marianne znów milknie. Connell zamknął już laptopa.

Przepraszam, że ci nie powiedziałem, okej? – mówi. – Czasem czuję się zażenowany, mówiąc ci o takich rzeczach, bo są po prostu głupie. Jeśli mam być szczery, wciąż mi bardzo imponujesz i nie chcę, żebyś myślała, że jestem, nie wiem, niemądry.

Marianne trze włosy ręcznikiem, czując szorstkość, węzłowatość poszczególnych kosmyków.

Powinieneś jechać – mówi. – Do Nowego Jorku. Powinieneś przyjąć tę propozycję, powinieneś jechać.

Connell nic nie mówi. Marianne podnosi wzrok. Ściana za nim jest żółta jak kawał masła.

Nie – odzywa się Connell.

Jestem pewna, że dostaniesz dofinansowanie.

Dlaczego tak mówisz? Myślałem, że chcesz tu zostać w przyszłym roku.

Ja mogę zostać, a ty możesz wyjechać – mówi Marianne. – To tylko rok. Myślę, że powinieneś to zrobić.

Connell wydaje dziwny odgłos niezdecydowania, prawie jak śmiech. Dotyka szyi. Marianne odkłada ręcznik i zaczyna powoli rozczesywać splątane włosy.

To jakiś absurd – stwierdza Connell. – Bez ciebie nie jadę do Nowego Jorku. Gdyby nie ty, nawet tu by mnie nie było.

To prawda, myśli Marianne, nie byłoby go tutaj. Byłby w jakimś zupełnie innym miejscu, wiódłby inne życie. Inaczej nawet zachowywałby się wobec kobiet, jego romantyczne aspiracje byłyby inne. I sama Marianne byłaby całkowicie inną osobą. Czy w ogóle zaznałaby szczęścia? I jakiego rodzaju? Przez te wszystkie lata byli jak dwie drobne rośliny rosnące na tym samym splachetku ziemi, splatające się, wyginające, żeby zrobić miejsce jedno drugiemu, przyjmujące nieprawdopodobne pozycje. Ale ostatecznie zrobiła coś dla niego, umożliwiła mu nowe życie i już zawsze może czuć z tego powodu satysfakcję.

Za bardzo bym za tobą tęsknił – kwituje Connell. – Chorowałbym z tęsknoty, serio.

Na początku. Z czasem byś wyzdrowiał.

Siedzą teraz w ciszy, Marianne starannie szczotkuje włosy, wyszukuje kołtuny i powoli, cierpliwie je rozczesuje. Niecierpliwość

nie ma już sensu.

Wiesz, że cię kocham – mówi Connell. – Nigdy nie będę czuł tego samego do nikogo innego.

Marianne kiwa głową, okej. Connell mówi prawdę.

Szczerze powiedziawszy, nie wiem, co robić – wyznaje. – Powiedz, że chcesz, żebym został, a zostanę.

Marianne zamyka oczy. Prawdopodobnie już nie wróci, myśli. Albo wróci zmieniony. Tego, co mają teraz, nie zdołają odzyskać. Dla niej jednak ból samotności będzie niczym w porównaniu z bólem, który czuła kiedyś, bólem bycia niegodną. Ofiarował jej dobro i teraz należy ono do niej. Tymczasem jego życie otwiera się przed nim we wszystkich kierunkach jednocześnie. Zrobili dla siebie dużo dobrego. Naprawdę, myśli Marianne, naprawdę. Ludzie naprawdę mogą się nawzajem odmienić.

Powinieneś jechać – mówi. – Ja tu zawsze będę. Wiesz o tym.

Podziękowania

Dzięki: przede wszystkim Johnowi Patrickowi McHugh, który był z tą powieścią na długo, zanim skończyłam ją pisać; rozmowy z nim i jego wskazówki w ogromnym stopniu przyczyniły się do jej powstania; Thomasowi Morrisowi za jego przemyślane i szczegółowe komentarze do rękopisu; Davidowi Hartery'emu i Timowi MacGabhannowi za przeczytanie wczesnych wersji pierwszych rozdziałów i za przekazanie mądrych rad; Kenowi Armstrongowi, Iarli Mongeyowi i wszystkim członkom grupy pisarskiej z Castlebar za ich wsparcie w pierwszych latach mojego pisarstwa; Tracy Bohan za to, że robi za mnie praktycznie wszystko oprócz samego pisania książki; Mitzi Angel, dzięki której jest to lepsza powieść, a ja jestem lepszą pisarką; rodzinie Johna; mojej rodzinie, zwłaszcza rodzicom; Kate Oliver i Aoife Comey, jak zawsze, za ich przyjaźń; i Johnowi – za wszystko.

¹ Irlandzki działacz robotniczy (1868–1916).

² Nadmorskie miasteczko leżące 12 km na południe od centrum Dublina.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Jerzy Kozłowski
*The translator would like to thank Literature Ireland and Tyrone Guthrie Centre for
their hospitality and making his stay in Ireland a unique experience*

Redakcja: Marianna Sokołowska
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Grzegorz Krzymianowski

Projekt okładki: © R. Kikuo Johnson

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7935-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo